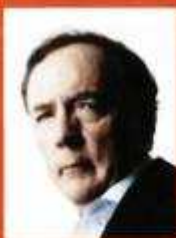


Z WASZYNGTONU DO AFRYKI: ALEX CROSS NA TROPIE OKRUTNEGO MORDERCY..

JAMES PATTERSON TROPICIEL





JAMES PATTERSON

Niezwykle płodny James Patterson jest obecnie najchętniej czytany pisarzem Ameryki. Sławę przyniósł mu thriller *W sieci pajaka*, w którym po raz pierwszy pojawia się czarnoskóry policjant i psycholog Alex Cross, specjalizujący się w tropieniu seryjnych zabójców (w postać tę dwukrotnie wcielił się na dużym ekranie Morgan Freeman). Kolejne – wciągające mieszanki nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszałamiającego tempa narracji i nieustającego ani na chwilę napięcia – umocniły pozycję Pattersona na czele światowych rankingów sprzedaży.

Masakra w waszyngtońskiej dzielnicy Georgetown, której ofiarą padła pięcioosobowa rodzina, rozpoczyna się seria wyjątkowo przerażających i brutalnych zbrodni. Inna rodzina ginie przed meczetem – zabójcy z zimną krwią obcinają ofiarom głowy. Policyjna obława kończy się kolejną tragedią – eksploduje stacja benzynowa, jest kilkoro zabitych. W nocnym klubie zostaje zamordowany syn ambasadora Nigerii w USA. Na czele bandy młodocianych degeneratów, odpowiedzialnych za morderstwa, stoi człowiek używający pseudonimu Tygrys. Dla Alexa Crossa dopadnięcie go to sprawa osobista – wśród ofiar jest Ellie Cox, przyjaciółka detektywa z czasów studenckich, autorka niewydanej książki o przemyśle na Czarnym Lądzie. Cross porzuca znane sobie tereny i śladem Tygrysa wyrusza do Afryki. Polowanie na zabójcę zmienia się w dramatyczną walkę o przetrwanie – afrykańska ziemia rządzi się zupełnie innymi prawami, niż cywilizowana Ameryka...

ISBN 978-83-7659-076-9



9 788376 590769

JAMES PATTERSON

TROPICIEL

Z angielskiego przełożył

RAFAŁ LISOWSKI



Tytuł oryginału: CROSS COUNTRY

Copyright © James Patterson 2008 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2010

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski/Andrzej Kuryłowicz

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-077-6

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7659-076-9

(oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

X.II. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I/oprawa miękka Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Jill i Aviego Glazerów

Prolog

Wtargnięcie

1

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Rodzina miała na nazwisko Cox. Ojciec był wziętym adwokatem, ale to matka, Ellie Randall Cox, stanowiła cel. Już teraz, tej nocy, już za kilka minut. Moment był doskonały, wręcz idealny.

Dwumetrowy, ważący sto piętnaście kilogramów zabójca znany jako Tygrys rozdał członkom swego zespołu broń — a także gram kokainy do podziału. Wydał tylko jedno polecenie, którego dziś mieli się trzymać: Matka jest moja. Resztę zamordować.

Dodatkowo mieli przestraszyć wścibskich Amerykanów. Tygrys wiedział, co tutejsi myślą o naruszaniu miru domowego, kochanych rodzinach i morderstwach z zimną krwią. Tyle mają reguł, które dyktują, jak żyć. Aby ich pokonać, trzeba złamać wszystkie te głupiutkie święte zasady.

Obserwował dom z ulicy. Drewniane żaluzje w oknach na parterze rzucały poziome cienie na poruszających się wewnątrz domowników — nieświadomych, że na dworze gromadzą się mordercze siły.

Chłopcy czekali niecierpliwie u boku Tygrysa, a on z kolei czekał,

aż instynkt podpowie mu, że nadeszła pora uderzyć.

— Teraz — powiedział. — Ruszamy!

Ledwie zginając kolana, rozpoczął bieg. Wyskoczył z kryjówki w cieniu iglaka i pędził tak szybko, że trudno by zliczyć kroki.

Jeden sprężysty skok i Tygrys znalazł się na werandzie domu. Po-tem trzy mocne uderzenia i drzwi frontowe się rozleciały, praktycznie eksplodowały do wewnątrz. Wpadli do środka, cały zespół zabójców, wszystkich pięciu.

Chłopcy, z których żaden nie skończył jeszcze osiemnastu lat, kręcili się wokół herszta, pakowali w sufit salonu kule z beretty, wymachiwali prymitywnymi nożami myśliwskimi i wykrzykiwali trudne do zrozumienia polecenia, ponieważ ich angielszczyzna była dużo słabsza niż Tygrysa.

Mieszkające tu dzieci krzyczały jak prosiaki. Ich ojciec, prawnik, zerwał się i usiłował osłonić je sflaczałym, tłustym cielskiem.

— Jesteś żalosny! — krzyknął do niego Tygrys. — Nawet nie potrafisz ochronić rodziny we własnym domu.

Wkrótce troje domowników zebrano przed kominkiem, przyozdobionym kartkami z życzeniami urodzinowymi zaadresowanymi do „Mamy”, „Mojjej kochanej Ellie” oraz „Świąteczka dobroci”.

Przywódca bandy pchnął naprzód najmłodszego ze swych chłopców, który wybrał sobie pseudonim Nike i miał zaraźliwe poczucie humoru.

— No dalej — powiedział Tygrys. — *Just do it**

* *Just do it* (ang.) — „Zrób to”, slogan reklamowy firmy Nike.

Mały miał jedenaście lat i był tak śmiały jak krokodyl w mulistej rzece. Uniósł pistolet dużo większy niż jego dłoń i wypalił w czoło drżącego ojca.

Chłopcy zawyli z zadowolenia, zaczęli strzelać we wszystkich kierunkach, przewracać antyczne meble, tłuc lustra i okna. Dzieci Coxów płakały i tuliły się do siebie.

Wyjątkowo przerażający chłopak o twarzy bez wyrazu, ubrany w koszulkę Houston Rockets, władował cały magazynek w panoramiczny telewizor, a następnie przeładował.

— Rozpirzyć tę chatę! — zawołał.

2

Matka, „kochana Ellie”, „Światelko dobroci”, w końcu z krzykiem zbiegła po schodach do swoich małych *akata**.

* *Akata* — określenie używane przez Afrykanów w odniesieniu do Afroamerykanów, często pogardliwe.

— Nie mieszaj ich do tego! — wrzasnęła do wysokiego, muskularnego herszta. — Wiem, kim jesteś!

— Oczywiście, że wiesz, matko — powiedział Tygrys i uśmiechnął się do rosłej, postawnej kobiety.

Tak naprawdę nie pragnął jej skrzywdzić. Dla niego to tylko praca. Bardzo dobrze płatna, ważna dla kogoś tu, w Waszyngtonie.

Dwójka dzieci rozpaczliwie rzuciła się w kierunku matki. Ich bieg zmienił się w absurdalną zabawę w kotka i myszkę. Chłopcy Tygrysa kulami dziurawili kanapę, za którą skryły się zdyszone maluchy.

Gdy wyłoniły się po drugiej stronie, Tygrys jedną ręką podniósł chłopca z podłogi. Dziewczynka w piżamie z Pełzakami była nieco sprytniejsza i pobiegła po schodach. Przy każdym kroku błyskała różowymi piętami.

— Biegnij, kochanie! — wrzasnęła matka. — Przez okno! Biegnij! Nie zatrzymuj się!

— Nie ma mowy — odezwał się Tygrys. — Dzisiaj nikt stąd nie wyjdzie, matko.

— Nie rób tego! — błagała. — Puść je! To tylko dzieci!

— Wiesz, kim jestem — odrzekł Tygrys. — Wobec tego wiesz, jak to się skończy. Zawsze wiedziałaś. Patrz, co sprowadziłaś na siebie i swoją rodzinę. To ty im to zrobiłaś.

Część pierwsza

Spóźniony

Rozdział 1

Najtrudniej rozwiązywać te zagadki, które napotyka się na samym końcu, ponieważ brakuje dowodów, nie ma czego odkrywać, chyba że jakimś cudem zdołamy wrócić do samego początku — wszystko przewiniemy i odtworzymy raz jeszcze.

Jechałem swoim mercedesem R350, kwintesencją wygody i kultury, rozmyślając o tym, że jazda na miejsce zbrodni to w tej chwili dziwne uczucie. Potem dotarłem do celu. Wysiadłem z pojazdu pełen sprzecznych uczuć towarzyszących powrotowi na ciemną stronę.

Czy robię się zbyt miękki? Ta myśl przemknęła mi przez głowę, ale szybko ją porzuciłem. Nie byłem miękki. Jeśli już, to wciąż zbyt twardy, zbyt nieustępliwy, zbyt bezkompromisowy.

Potem pomyślałem, że w przypadkowym, bezsensownym morderstwie jest coś szczególnie przerażającego — a na takie wyglądała najnowsza zbrodnia, przynajmniej tak wszyscy sądzili. To mi powiedziano, gdy odebrałem w domu telefon.

— Paskudna sprawa, doktorze. Pięć ofiar. Cała rodzina.

— Wiem. Mówili mi.

Jeden z pierwszych funkcjonariuszy przybyłych na miejsce zbrodni, młody Michael Fescoe, czekał na mnie na chodniku przed domem

w Georgetown, niedaleko uniwersytetu, na którym studiowałem i który z wielu powodów czule wspominam. Głównie dlatego, że Georgetown dało mi szansę.

Policjant z patrolu był wyraźnie wstrząśnięty. Nic dziwnego. Policja nie dzwoniłaby do mnie w niedzielę o jedenastej w nocy, gdyby chodziło o prozaiczne morderstwo.

— Co mamy do tej pory? — spytałem Fescoego, migając odznaką przed nosem jakiegoś funkcjonariusza, który najwyraźniej pilnował dębu.

Przeszedłem pod żółtą taśmą rozciągniętą przed pięknym, zamożnym trzykondygnacyjnym domem w stylu kolonialnym stojącym przy Cambridge Place, tuż na południe od Montrose Park.

Na chodniku tłoczyli się sąsiedzi i gapie w piżamach i szlafrokach — ale zachowywali bezpieczną odległość. Powściągliwość białych kołnierzyków dawała o sobie znać.

— Pięciosobowa rodzina, wszyscy zginęli — powtórzył Fescoe. — Nazywali się Cox. Ojciec Reeve, matka Eleanor, syn James. Wszyscy na parterze. Córkę, Nicole i Clara, na drugim piętrze. Wszędzie krew. Wygląda na to, że najpierw ich zastrzelono. Potem paskudnie pocięto, pogrupowano i ułożono na stosie.

Ułożono na stosie. Nie podobało mi się to określenie. Nie w tym ślicznym domu. Ani w żadnym innym miejscu.

— Są tu wyżsi rangą policjanci? Kto kieruje sprawą?

— Detektyw Stone jest na górze. To ona kazała pana wezwać. Lekarz sądowy jeszcze nie dojechał. Zresztą pewnie będzie ich paru. Chryste, co za noc.

— Dobrze powiedziane.

Bree Stone była wschodzącą gwiazdą wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy i jednym z nielicznych detektywów, którym za wszelką cenę chciałem partnerować — tak samo jak w życiu prywatnym, ponieważ od ponad roku byliśmy parą.

— Dajcie jej znać, że przyjechałem — poprosiłem. — Zacznę od dołu i przyjdę do niej na końcu.

— Tak jest. Już się robi.

Fescoe wszedł wraz ze mną po schodach werandy. Minęliśmy technika badającego roztrzaskane drzwi frontowe.

— Rzecz jasna się włamali — kontynuował policjant. Zaczzerwienił się, zapewne dlatego, że powiedział coś, co wszyscy wiedzieli. — Poza tym na drugim piętrze jest otwarty wąż na dach. Możliwe, że tamtędy wyszli.

— Było ich kilku?

— Tak myślę na podstawie skali zniszczeń. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jeśli potrzebne jest coś jeszcze...

— Dziękuję, dam znać. Lepiej sam się rozejrzę. Łatwiej się wtedy koncentruję.

Moja reputacja ściąga gliniarzy żądnych wielkich spraw, co miewa zalety. Teraz jednak chciałem sam ogarnąć miejsce zbrodni. Sądząc z ponurych min wszystkich techników, którzy wychodzili z domu, to mogło być bardzo trudne.

Okazało się, że nawet nie miałem pojęcia. Morderstwo tej rodziny było dużo straszniejsze, niż sobie wyobrażałem.

Dużo, dużo straszniejsze.

Rozdział 2

Oni chcieli kogoś nastraszyć, pomyślałem, wchodząc do jasno oświetlonej, przyjemnie udekorowanej wnęki. Ale kogo? Nie tych martwych ludzi. Nie tę biedną rodzinę, zamordowaną Bóg wie z jakiego powodu.

Widok parteru świadczył o tym, jak straszliwe popełniono tu morderstwo. Prawie wszystkie meble w salonie i jadalni były przewrócone lub zniszczone — albo jedno i drugie. W ścianach ziały wybite dziury oraz wiele mniejszych otworów. Styłowy szklany żyrandol leżał roztrzaskany na kolorowym orientalnym dywanie.

To miejsce zbrodni nie miało sensu, a co gorsza, w całej swojej karierze detektywa wydziału zabójstw nie przypominałem sobie drugiego podobnego.

Podziurawione kulami kanapy pchnięto pod ścianę, by zrobić miejsce przed kominkiem. To tutaj ułożono na stosie pierwsze trzy ciała.

Spokojnie można stwierdzić, że na służbie widziałem już dużo porąbanych okropności, ale to miejsce, ta potworność sprawiła, że zamarłem.

Rzeczywiście, jedno na drugim leżały ciała ojca, matki i syna. Wszystkie twarzą do góry. Na pobliskich ścianach, meblach i suficie

były smugi i plamy krwi, a wokół ciał zebrała się kałuża. Tych biednych ludzi zaatakowano ostrymi narzędziami tnącymi. Dokonano amputacji.

— Jezu, Jezu — mamrotałem pod nosem.

Może się modliłem, może przeklinałem morderców, a zapewne jedno i drugie.

Jeden z techników szukających odcisków palców mruknął:

— Amen.

Jednak nie spojrzeliśmy na siebie. To było takie miejsce zbrodni, przez które trzeba się przebić i spróbować wynieść z tego domu choćby skrawki poczucia.

Ślady krwi w pomieszczeniu sugerowały, że domowników zaatakowano oddzielnie, a potem zaciągnięto na środek.

Coś rozpałiło dziki szal, który skłonił morderców do popełnienia tego czynu. Zgadzałem się z Fescoem, że było ich kilku. Ale co tu się właściwie stało? Jaka była przyczyna masakry? Narkotyki? Rytuał? Psychoza?

Grupowa psychoza?

Odłożyłem te przypadkowe myśli na później. Najpierw metoda, potem motyw.

Powoli obszedłem ciała oraz ich fragmenty, omijając kałuże krwi i w miarę możliwości stając na suchym parkiecie. Cięcia wyglądały na chaotyczne, podobnie zresztą jak całe morderstwo.

Synowi poderżnięto gardło, ojciec miał w czole ranę po kuli, natomiast matka — głowę obróconą pod nienaturalnym kątem, co sugerowało, że skrecono jej kark.

Zatoczyłem koło, żeby obejrzeć twarz kobiety. Znajdowała się pod takim kątem, jakby patrzyła w górę, wprost na mnie, niemalże z nadzieją, że jeszcze zdołam ją uratować.

Pochyliłem się, by lepiej ją obejrzeć, i nagle zakreśliło mi się w głowie. Nogi się pode mną ugęły. Nie wierzyłem własnym oczom.

O nie! O Boże, nie!

Wycofałem się na oślep, stanąłem na śliskiej plamie i runąłem na ziemię. W locie wyciągnąłem rękę, by złagodzić upadek. Dłonią w rękawiczce rozmasałem czerwoną krew po podłodze.

Krew Ellie Randall. Nie Cox — Randall!

Znałem ją — przynajmniej kiedyś.

Dawno, bardzo dawno temu, kiedy studiowaliśmy w Georgetown, Ellie była moją dziewczyną. Prawdopodobnie moją pierwszą miłością.

A teraz Ellie wraz z rodziną została zamordowana.

Rozdział 3

Jeden z techników rzucił się, by mi pomóc, ale sam szybko wstałem. Zastanawiałem się, czy nie jestem w szoku.

— Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Proszę mi przypomnieć, jak oni się nazywali — poprosiłem.

— Cox. Ofiary w salonie to Reeve, Eleanor i James.

Eleanor Cox. Zgadza się, teraz sobie przypomniałem. Patrzyłem na Ellie, serce biło mi jak szalone, a w kącikach oczu zbierały się łzy. Kiedy ją poznałem, nazywała się Ellie Randall — inteligentna, atrakcyjna studentka historii, zbierająca wśród kolegów z Uniwersytetu Georgetown podpisy przeciwko apartheidowi. Nie powinna tak skończyć.

— Potrzebuje pan czegoś? — spytał Fescoc, który znów kręcił się przy mnie.

— Tylko... jakiejś torby na śmiecie albo czegoś takiego — odpowiedziałem. — Dziękuję.

Ściągnąłem wiatrówkę i spróbowałem się nią wytrzeć, po czym wcisnąłem ją do torby, którą przyniósł policjant. Musiałem się ruszać, wyjść z tego pokoju, przynajmniej na chwilę.

Poszedłem w stronę schodów i natknąłem się na schodzącą po nich Bree.

— Alex? Jezu, co ci się stało? — spytała.

Wiedziałem, że jeśli zacznę tłumaczyć, nie dam rady dokończyć.

— Porozmawiamy później, dobrze? — poprosiłem. — Co się dzieje na górze?

Spojrzała na mnie dziwnie, ale nie naciskała.

— To samo. Obrzydliwość. Na drugim piętrze dwójka dzieci. Chyba próbowały się ukryć przed zabójcami, ale się nie udało.

Gdy wchodziliśmy na górę, upiorny błysk flesza rozświetlił schody. Wszystko zdawało mi się surrealistyczną halucynacją. Miałem wrażenie, że obserwuję siebie z zewnątrz. Ellie została zamordowana. Po raz kolejny bez skutku usiłowałem przyswoić tę myśl.

— Na schodach ani w korytarzu nie ma krwi — zauważyłem.

Starałem się skupić na śladach, wykonywać swoją pracę. Otwarty właz na dach sprawiał, że w domu było lodowato. Dopiero trzeci listopada, a prognoza na noc przewidywała temperaturę w granicach minus piętnastu stopni. Nawet pogoda trochę oszalała.

— Alex?

Bree czekała na mnie w drzwiach pokoju na drugim piętrze. Nie drgnęła, kiedy się zbliżyłem.

— Na pewno możesz tu zostać? — spytała cicho, tak by nikt nie usłyszał.

Kiwnąłem głową i zajrzałem do pokoju.

Za plecami Bree leżały ciała dwóch dziewczynek rozciągnięte na owalnym szmacianym dywanie. Białe łóżko z baldachimem zostało roztrzaskane. Zapadło się, jakby ktoś skakał po nim ze zbyt dużą siłą.

— Nic mi nie będzie — powiedziałem. — Muszę zobaczyć, co tu się stało. Chcę wreszcie zrozumieć, co to wszystko znaczy.

Na przykład kto, do cholery, skakał po tym łóżku?

Rozdział 4

Ale nawet nie zbliżyłem się do zrozumienia tych potwornych zabójstw. W każdym razie nie tej nocy. Tak jak inni nie miałem pojęcia, jaki był motyw morderców.

Godzinę po moim przybyciu nastąpiło coś, co jeszcze pogłębiło tajemnicę. Na miejsce przyjechali dwaj agenci CIA. Rozejrzeli się, po czym poszli. Co tu robiła Agencja?

Kiedy wraz z Bree dotarliśmy wreszcie do mojego domu przy Fifth Street, było już po wpół do czwartej. W panującej tu ciszy słyszałem dziecięce chrapanie Alego dobiegające z pokoju na górze. Uspokajające, kojące dźwięki. Bez wątpienia.

Nana nie zgasiła światła nad kuchenką i zostawiła nam owinięty folią talerz z czterema ostatnimi ciasteczkami z deseru. Zabraliśmy je na górę wraz z kieliszkami i napoczętą butelką wina.

Po dwóch godzinach wciąż nie spałem i miałem mętlik w głowie. W końcu Bree usiadła i zapaliła światło. Zobaczyła, że przycupnąłem na krawędzi łóżka. Poczulem ciepło jej ciała na plecach, jej oddech na karku.

— Zdrzemnąłeś się choć trochę? — spytała.

Tak naprawdę nie tego chciała się dowiedzieć.

— Bree, znałem tę matkę. Studiowaliśmy razem w Georgetown. To się nie mogło jej przydarzyć. W każdym razie nie powinno.

Ciężko odetchnęła, słysząc tę wiadomość.

— Alex, tak mi przykro. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami, po czym westchnąłem.

— Nawet nie wiem, czy teraz dam radę o tym mówić.

Przytuliła mnie.

— W porządku. Nie musisz. Chyba że chcesz. Jestem tutaj.

— Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. A przez rok parą. Wiem, że to dawno temu, ale... — urwałem. Ale co? Ale to nie była szczeniacka znajomość. — Przez jakiś czas ją kochałem. W tej chwili nie mogę się pozbierać.

— Chcesz oddać komuś tę sprawę?

— Nie.

Już wcześniej zadałem sobie to pytanie i odpowiedź przyszła równie szybko.

— Sampson albo ktoś z wydziału mógłby cię zastąpić. Informowalibyśmy cię...

— Bree, z tej sprawy nie mogę zrezygnować.

— Z tej? — Delikatnie przesunęła dłonią po moim ramieniu. — W przeciwieństwie do... której?

Głęboko odetchnąłem. Wiedziałem, do czego zmierza.

— Nie chodzi o Marię, jeśli to masz na myśli.

Maria, moja żona, została zastrzelona, gdy dzieci były jeszcze małe. Dopiero niedawno udało mi się zamknąć tę sprawę. Poprzedziły to lata męczarni i poczucia winy. Ale Maria była moją żoną, ówczesną miłością mojego życia. Ellie była kimś innym. Nie mieszałem tego. W każdym razie tak mi się wydawało.

— Dobrze — powiedziała Bree, uspokajająco gładząc mnie po plecach. — Powiedz, co mogę zrobić.

Przykryłem nas kołdrą.

— Po prostu leż tutaj ze mną — odrzekłem. — Tylko tego teraz potrzebuję.

— Dobrze.

Wkrótce zasnąłem w objęciach Bree — na całe dwie godziny.

Rozdział 5

— Zgadnijcie, gdzie patrzę. Widzę różową gazetę — oznajmiła Bree.

— Tam! — Ali szybko ją zauważył. — Widzę! Różowa. Co to za dziwna gazeta?

Ku zaskoczeniu i radości mojej rodziny następnego ranka nie pojechałem do pracy o nieludzkiej godzinie. Tego dnia chciałem odprowadzić dzieci do szkoły. Szczerze mówiąc, miałem na to ochotę niemal codziennie, ale czasem nie mogłem i czasem tego nie robiłem. Jednak dziś potrzebowałem dużo świeżego powietrza. I uśmiechu. I chichotu Alego.

Jannie chodziła do ostatniej klasy w szkole imienia Sojourner Truth i już była gotowa, by iść do liceum, natomiast Ali właśnie wkraczał w szkolny świat. Tego ranka pomyślałem, że życie zatacza wielki krąg: rodzina Ellie unicestwiona w mgnieniu oka, a moje dzieci w świetnej formie.

Przybrałem minę radosnego taty i starałem się odsunąć na bok makabryczne wizje zeszłej nocy.

— Kto następny?

— Ja mam pomysł — odezwała się Jannie. Spojrzała na mnie i Bree z uśmiechem kota, który zjadł kanarka. — Zgadnijcie, gdzie patrzę. Widzę konkubinę i konkubenta.

— Jaki koń się pęta? — zapytał Ali.

Już się zaczął rozglądać. W poszukiwaniu jakiegoś konia ruszał głową jak lalka z lębkiem na sprężynce. Jannie wyrecytowała odpowiedź:

— Konkubinat: nieformalny związek dwojga ludzi współżyjących pod jednym dachem.

Słowo „współżyjących” wyszeptala do nas, zapewne po to, by chronić niewinność braciszka. Tak czy inaczej, już czułem, że się czerwienię.

Bree klepnęła Jannie w ramię.

— Gdzieś ty to usłyszała?

— Od Cherise J. Mówi, że jej mama mówi, że wy dwoje, no wiesz, żyjecie w grzechu.

Wymieniłem z Bree spojrzenia ponad głową Jannie. Spodziewałem się, że wcześniej czy później ten temat wypłynie. Byliśmy razem od ponad roku i sporo czasu spędzała w naszym domu przy Fifth Street. Częściowo dlatego, że dzieci uwielbiały, gdy była w pobliżu. A częściowo dlatego, że ja też.

— Myślę, że ty i Cherise J, powinnyście sobie znaleźć inne tematy — odparłem. — Nie sądzisz?

— Oj, tato, w porządku. Powiedziałam Cherise, żeby jej mama się nie wymądrzała. Nawet Nana nie ma nic przeciwko temu, a przecież jej zdjęcie jest w słowniku pod hasłem „staroświecki”, no nie?

— A skąd ty wiesz, co jest w słowniku? — spytałem.

Zrezygnowaliśmy jednak z politycznej poprawności wobec Jannie i pozwoliliśmy sobie na śmiech. Moja córka znajdowała się teraz na rozdrożu pomiędzy byciem dziewczynką i kobietą.

— Co was tak bawi? — odezwał się Ali. — Powiedzcie. No co?

Do szkoły została nam jeszcze jedna przecznica, więc podniosłem go z chodnika i posadziłem sobie na barana.

— Powiem ci za jakieś pięć lat.

— I tak wiem — odparł. — Ty i Bree się kochacie. Każdy to wie. Nic wielkiego. To dobrze.

— Owszem, to dobrze — przyznałem i pocałowałem go w policzek.

Zostawiliśmy go przy wschodnim wejściu do szkoły, gdzie w rzędzie ustawiała się reszta uroczych maluchów.

— Kocham cię! Pa, pa, pa! — zawołała do niego Jannie przez ogrodzenie.

— Całusów sto dwadzieścia dwa! Ja ciebie też.

Ostatnio, odkąd ich starszy brat Damon wyjechał do liceum w Massachusetts, Jannie i Ali jeszcze bardziej się żyli. W weekendy Ali często sypiał na dmuchanym materacu przy łóżku siostry. Nazywał go swoim „gniazdem”.

Jannie zostawiliśmy po przeciwległej stronie budynku, tam gdzie wchodziły starsze dzieci. Uściskała nas oboje, a ja tuliłem ją nieco dłużej niż zwykle.

— Kocham cię, skarbie. Nie ma dla mnie nic bardziej wyjątkowego niż ty i twoi bracia.

Jannie odruchowo rozejrzała się, czy nikt tego nie usłyszał.

— Ja ciebie też, tatusiu — powiedziała. A potem, niemal tym samym tchem: — Cherise! Poczekaj!

Gdy tylko zniknęła, Bree wzięła mnie pod rękę.

— Jak to było? — odezwała się. — Wszyscy wiedzą, że ty i Bree się kochacie?

Z uśmiechem wzruszyłem ramionami.

— Co ja tam wiem? Takie w każdym razie krążą plotki.

Pocałowałem ją.

A ponieważ tak dobrze wyszło, po chwili pocałowałem ją raz jeszcze.

Rozdział 6

O dziewiątej byłem już cały wyczałowany i gotowy do bardzo nieprzyjemnej odprawy w Daly Building. Odbywała się w dużej sali konferencyjnej naprzeciwko mojego gabinetu. Przynajmniej wygodnie. Na spotkanie miał się stawić każdy dostępny policjant z pionu śledczego, a także delegacja z drugiego obwodu, który obejmował prawie całe Georgetown.

Wciąż do mnie nie docierało, że ofiarą była Ellie. Jedną z ofiar.

Biuro lekarza sądowego przysłało reprezentanta w osobie doktor Pauli Cook, bystrej śledczej o osobowości puddingu z tapioki. Kiedy uścisnęliśmy dłonie, kąciki jej ust dosłownie się trzęsły. To chyba miał być uśmiech, więc go odwzajemniłem.

— Dzięki, że przysłaś, Paula. Jesteś nam potrzebna.

— Nigdy nie widziałam nic gorszego — powiedziała. — Przez całe czternaście lat. Te dzieci, ich rodzice. Bez sensu. Niedobrze mi się robi.

Po drodze zabraliśmy plik fotografii z miejsca zbrodni i teraz rozpięliśmy je po sali. Zadbalem o to, by zdjęcia wykonano w formacie dwadzieścia osiem na trzydzieści sześć centymetrów. Chciałem, żeby wszyscy choć w części poczuli, co stało się zeszłej nocy w Georgetown, tak jak ja wciąż to czułem.

— To może być odosobnione zdarzenie — powiedziałem do zebranych kilka minut później, stojąc z przodu sali. — Ale nie zrobię takiego założenia. Im więcej zrozumiemy, tym lepiej będziemy przygotowani, na wypadek gdyby to się miało powtórzyć.

Domyślałem się, że co bardziej zblazowani detektywi nie zgodzą się ze mną. Myśleli pewnie, że ścigałem w życiu o jednego seryjnego zabójcę za dużo. Na tym etapie ich opinia niewiele mnie obchodziła.

Przez pierwsze piętnaście minut przedstawiłem nieobecny wczoraj na miejscu zbrodni podstawowe fakty. Potem oddałem głos Pauli. Wstała i zaczęła omawiać zdjęcia wiszące na ścianie.

— Charakter cię wskazuje na rozmaite narzędzia oraz różną siłę i zdolności napastników — powiedziała, kierując czerwony wskaźnik laserowy na poszczególne rany. — Co najmniej jedno ostrze miało ząbkowaną krawędź. Jedno było wyjątkowo duże, być może to maczeta. Tam, gdzie nastąpiły amputacje, nie zostały one przeprowadzone czysto. Są skutkiem licznych uderzeń.

Siedzący w pierwszym rzędzie detektyw Monk Jeffries zadał trafne pytanie:

— Myśli pani, że ćwiczyli? Że nie robili tego nigdy wcześniej?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała Paula. — Nie zdziwiłabym się.

— Rzeczywiście, Monk — wtrąciłem. — To faktycznie wygląda tak, jakby ćwiczyli. — Miałem na temat morderstw własny pogład. — W całej tej zbrodni jest coś bardzo... młodego.

— Masz na myśli brak doświadczenia? — spytał Jeffries.

— Nie. Po prostu młodość. Te cięcia, zniszczone łóżko, cały ten wandalizm... No i fakt, że prawdopodobnie brało w tym udział co najmniej pięć osób. To spora grupa intruzów. Jeśli dodać wszystkie

te czynniki, nasuwa się kilka możliwości: gang, kult, przestępczość zorganizowana. W tej kolejności.

— Gang? — spytał inny detektyw z końca sali. — Widziałeś kiedyś, żeby gang dokonał podobnej masakry?

— Nigdy nie widziałem nic podobnego do tej masakry — odparłem.

— Ja stawiam dwadzieścia dolców na przestępczość zorganizowaną. — To Lou Copeland, kompetentny, ale odrażający detektyw z oddziału specjalnego.

Kilku jego kumpli wybuchło śmiechem.

Ja nie. Cisnąłem podkładką z notatkami w poprzek sali. Uderzyła w ścianę i upadła na kafelki. To nie było w moim stylu, więc zrobiło wrażenie.

W sali zapadła cisza. Podeszedłem i podniosłem notatki. Bree i Sampson wymienili spojrzenia, które mi się nie podobały. Nie byli pewni, czy sobie poradzę.

Bree przejęła prowadzenie spotkania. Zaczęła rozdawać polecenia. Trzeba było przepytac mieszkańców okolicy Cambridge Place, przycisnąć laboratorium o szybkie wyniki oraz ściągnąć z ulicy wszystkich młodocianych informatorów, którzy mogli wiedzieć coś o zeszłej nocy.

— W tej sprawie musicie dać z siebie wszystko — zwróciła się Bree do grupy. — I do końca dnia chcemy znaleźć jakieś odpowiedzi.

— A co z...

— Rozejść się!

Wszyscy zaczęli się rozglądać dookoła. Odezwał się Sampson:

— Jeśli ktoś ma jakieś pytania, złapiecie Stone i Crossa na kórkę. Tymczasem mamy od cholery pracy. To ważna sprawa. Zaczynamy! Do roboty, i to ostro!

Rozdział 7

Tygrys był najwyższym i najsilniejszym z dziesięciu mężczyzn biegających po zniszczonym asfaltowym boisku koszykarskim przy Carter Park w Petway. Wiedział, że nie jest świetny w rzutach ani kozłowaniu, ale zbierał jak zawodowiec i zażarcie bronił kosza, a przy tym niczego tak nie nienawidził jak przegranej. W jego świecie kiedy przegrywasz, giniesz.

Zawodnik, którego krył, używał ksywy Buckwheat. Tygrys słyszał, że pochodziła ze starego amerykańskiego serialu, w którym czasem żartowano z murzyńskich dzieci.

Buckwheatowi najwyraźniej nie przeszkadzało to imię, a może po prostu się przyzwyczaił. Na boisku był szybki i celnie rzucał. Poza tym był pyskаты, tak jak większość młodych graczy w Waszyngtonie. Tygrys prędko nauczył się grać w koszykówkę na studiach w Londynie, ale w Anglii rzadko kto pyskował podczas gry.

— Masz gadane, ale i tak przegrasz — powiedział w końcu Tygrys, kiedy obaj ramie w ramie biegli po boisku.

Buckwheat wyszedł spod zasłony i przyjął podanie po kozle.

Następnie wykonał perfekcyjny rzut z daleka, chociaż gdy wypuścił piłkę, Tygrys wpadł na niego z impetem.

— Jebana małpa! — krzyknął tamten, kiedy biegli pod przeciwny kosz.

— Tak myślisz?

— A jak, jestem pewien. Jeszcze chwila i będziesz małpą, która patrzy zza boiska!

Tygrys zaśmiał się, ale nic już nie powiedział. Zdobył punkty po zbiórce, a potem drużyna Buckwheata popędziła na połowę przeciwników.

Buckwheat przyjął podanie w pełnym biegu i ruszył z piłką do kosza. Miał krok przewagi nad Tygrysem i jeszcze zanim wyskoczył do zwycięskiego wsadu, krzyknął:

— Koniec meczu!

Kiedy leciał, wysportowany i pełen gracji, Tygrys uderzył w niego z całej siły. Powalił studziwieńdziesięciocentymetrowego mężczyznę na ziemię i wbił go w metalowy słup wspierający kosz. Buckwheat legł na asfalcie. Z twarzy popłynęła krew.

— Koniec meczu! — krzyknął Tygrys i wznosił ręce nad głową.

Uwielbiał grać w koszykówkę. Jakaż to przyjemność pokonywać tych pyskanych „Afroamerykanów”, którzy nic nie wiedzą o prawdziwym świecie.

Jego chłopcy stali przy linii bocznej i wiwatowali, jakby był Michaelem Jordanem i Kobe'em Bryantem w jednej osobie. Tygrys wiedział, że nie jest żadnym z nich. Nie chciał być Michaelem ani Kobe'em. On był dużo lepszy.

Każdego dnia decydował o życiu i śmierci.

Kiedy zszedł z boiska, zbliżył się do niego mężczyzna. Bardzo nie pasował do tego miejsca: miał na sobie szary garnitur i był biały.

— Ghedi Ahmad — powiedział biały diabeł. — Wiesz, kto to jest?

Tygrys kiwnął głową.

— Wiem, kto to był.

— Zrób z niego pokazówkę.

— I z jego rodziny.

— Oczywiście — odparł biały diabeł. — Z jego rodziny też.

Rozdział 8

Zadzwońiłem z prośbą o pomoc do mojego przyjaciela Aviego Glazera, który prowadził w trzecim obwodzie program przeciwdziałania gangom. Wyjaśniłem, dlaczego to dla mnie ważne.

— Jasne, że pomogę. Znasz mnie, Alex. Mam lepsze dojścia do La Mara R, Vatos Locos, gangów z Northwest. Ale jak chcesz, to wpadnij tutaj i popytaj w okolicach Siedemnastej i R Street. Zobaczymy, czy ktoś da cynk.

— Dałbyś radą się z nami spotkać? — spytałem. — Jestem ci winien przysługę. Postawię ci piwo.

— Czyli ile to już w sumie? Przysług i piw?

Jednak w ten sposób potwierdzał, że się zgadza. Bree i ja spotkaliśmy się z nim w podłym lokalu bilardowym o nazwie 44. Właściciel opowiedział, że tyle miał lat, gdy założył knajpę. Avie znał już tę historię, ale grzecznie słuchał.

— Pomyślałem, że nazwa równie dobra jak każda inna — wyjaśnił właściciel.

Jego olewczą postawą pasowała do kogoś, kto od lat pali trawkę. Na pewno nie zbijał kasy na bilardzie i napojach gazowanych. Nazywał

się Jaime Ramirez i Avie Glazer poradził mi, żebym zostawił mu trochę luzu i okazał szacunek.

— Wiesz coś o wczorajszych morderstwach w Georgetown? — spytałem Ramireza po chwili pogawędki. — Paru sprawców.

— Paskudne gówno — rzekł, opierając się na dolnej części poziomu dzielonych drzwi.

W pękatych palcach trzymał brązowego papierosa przekrzywionego pod takim samym kątem jak jego tułów. Ruchem głowy wskazał telewizor w kącie.

— Tutaj odbieramy tylko Kanał Czwarty, panie detektywie.

— Pojawił się może ktoś nowy? — spytała Bree. — Nowi gracze, o których nie słyszeliśmy? Ktoś, kto byłby w stanie wyróżnić całą rodzinę?

— Trudno nadażyć — odparł Ramirez i wzruszył ramionami. Wtedy Glazer rzucił mu spojrzenie. — Ale owszem, w zasadzie to trochę się o tym mówi. — Niemal bezwiednie popatrzył gdzieś w dal. — Afrykanie — powiedział do Aviego.

— To znaczy Afroamerykanie? — spytałem. — Czy...

— To znaczy Afroafrykanie. Ej, Toto — zwrócił się znów do Aviego — dostanę coś za to? Czy darmocho?

Avie Glazer spojrział najpierw na mnie, a potem na Ramireza.

— Powiedzmy, że jestem ci winien przysługę.

— Jacy Afrykanie? — spytałem.

Wzruszył ramionami i parsknął.

— A skąd mam wiedzieć jacy? Czarni goście z Afryki. Tacy.

— Mówiący po angielsku?

— Tak. — Kiwnął głową. — Ale nigdy z nimi nie rozmawiałem. Podobno zajmują się wszystkim po trochu. No wiesz: zabójstwa, napady, dziwki, heroina. To nie jest gang młodocianych grafficiarzy, którzy imprezują, zamiast chodzić do szkoły. — Otworzył chłodziarkę ze szklanymi drzwiami i wyjął z niej puszkę coli. — Chce ktoś pić? Dwa dolary.

— Ja poproszę — powiedział Glazer.

Włożył w dłoń Ramireza dwa banknoty, które wcale nie wyglądały na jednodolarówki. Potem zwrócił się do mnie.

— Od ciebie też się upomnę. Możesz na to liczyć.

— Afrykanie — powtórzył Ramirez, gdy kierowaliśmy się do drzwi. — Z Afryki.

Rozdział 9

To ostatnie miejsce w Waszyngtonie, a może i na całym świecie, w którym chciałem teraz być.

Tak niewiarygodnie smutne, upiorne i tragiczne. Powracało tyle wspomnień.

Gabinet Ellie znajdował się na pierwszym piętrze domu w Georgetown. Był czysty i drobiazgowo uporządkowany. Taką ją zapamiętałem z czasów, kiedy być może łączyła nas miłość.

Na oparciu dużego, wyściełanego fotela leżał egzemplarz książki *The Measure of a Man* Sidneya Poitiera. Lubilem tę autobiografię i przypomniałem sobie, że dzieliliśmy z Ellie gusta literackie, muzyczne i polityczne.

Wszystkie rolety zasunięte były na tę samą wysokość. Na biurku stał komputer iMac, telefon, terminarz oraz kilka fotografii rodzinnych w srebrnych ramkach. Czuję się dziwnie w tym pomieszczeniu, tak odmiennym od splądrowanego przez zabójców parteru.

Zacząłem od przejrzenia terminarza, po czym zająłem się szufladami biurka. Nie za bardzo wiedziałem, czego szukam. Po prostu musiałem tu wrócić z jaśniejszym umysłem niż zeszej nocy.

Włączyłem komputer Ellie i zajrzałem do jej poczty — sprawdziłem

skrzynką odbiorczą, wysłane wiadomości i folder z usuniętymi listami, od najnowszych do najstarszych. Chciałem zbliżyć się do momentu zabójstwa. Czy Ellie znalazła morderców?

Moją uwagę najpierw zwróciła wiadomość od redaktora z wydawnictwa Uniwersytetu Georgetown. Dotyczyła terminów związanych z „nową książką”.

Ellie miała wydać nową książkę? Orientowałem się, że pracuje na wydziale historii, ale nie wiedziałem nic ponadto. Przez ostatnie piętnaście lat tylko kilkakrotnie widywaliśmy się na imprezach charytatywnych. Ona wyszła za mąż, ja niezbyt długo byłem żonaty i z tego powodu urwał się nasz kontakt.

Wprowadziłem jej nazwisko do internetowych księgarni Amazon i Barnes & Noble. Znalazłem trzy tytuły. Wszystkie publikacje dotyczyły sytuacji społeczno-politycznej w Afryce. Najnowsza, *Chwila krytyczna*, wyszła cztery lata temu.

Więc gdzie była ta nowa? Czy istniał częściowy manuskrypt, który mógłbym przeczytać?

Obróciłem się na krzesło i spojrzałem na sięgające sufitu regały, które zajmowały dwie ściany pomieszczenia. Ellie miała tu tysiące książek, a także nagrody i wyróżnienia.

Resztę przestrzeni wypełniały dziecięce rysunki i zdjęcia w ramach.

Nagle zobaczyłem swoją fotografię!

Rozdział 10

To stara fotka z czasów studenckich. Gdy tylko na nią spojrzalem, przypomnialem sobie tę chwilę. Ja i Ellie siedzieliśmy na kocu w parku National Mail. Właśnie skończyliśmy sesję. Mnie czekał letni staż w Sibley Memorial i po raz pierwszy byłem zakochany. Ellie mówiła, że ona też. Na zdjęciu uśmiechaliśmy się i przytulaliśmy. Wyglądaliśmy, jakby tak miało być już zawsze.

Teraz znajdowałem się w domu Ellie, odpowiedzialny za nią w niewyobrażalny sposób.

Z nostalgią przyglądałem się fotografii jeszcze przez kilka sekund, po czym zmusiłem się do dalszej roboty, do powrotu do obecnego bałaganu.

Szybko znalazłem trzystustronicowy wydruk manuskryptu zatytułowanego *Śladami śmierci*. Podtytuł brzmiał: *Przestępczość jako styl życia i prowadzenia interesów w środkowej Afryce*.

Pomiędzy kartki wsunięty był bilet lotniczy. Podróż w dwie strony z Waszyngtonu do Lagos w Nigerii. Ellie wróciła stamtąd dwa tygodnie temu.

Przejrzałem zamieszczony na samym końcu spis treści. Znalazłem rozdział pod tytułem *Przemoc po afrykańsku* i podrozdział *Masakra rodzinna*.

Otworzyłem tekst na odpowiedniej stronie i zacząłem czytać:

„W całej Nigerii, a także — i to szczególnie — w Sudanie, istnieją najemni przywódcy gangów. Ci brutalni ludzie oraz ich grupy, często składające się nawet z dziesięcioletnich chłopców, cechuje niezaspokojone upodobanie do przemocy i sadyzmu. Ulubionym celem są całe rodziny, ponieważ zarówno wieści o takich zabójstwach, jak i strach rozprzestrzeniają się wtedy najdalej. Rodziny masakruje się w ich chatach, a nawet gotuje w oleju — stało się to znakiem firmowym kilku najbrutalniejszych przywódców”.

Postanowiłem zabrać ten tekst z sobą, by zrobić kopię. Chciałem przeczytać wszystko, co napisała Ellie.

Czy to właśnie dlatego zginęła — z powodu swojej książki?

Przez długą chwilę wpatrywałem się w przejmującą fotografię Ellie, jej męża oraz trójki ślicznych dzieci.

Teraz wszyscy byli martwi.

Zostali zamordowani tutaj, we własnym domu. Przynajmniej nikt ich nie ugotował w oleju.

Jeszcze raz spojrzałem na nasze wspólne zdjęcie w National Mail. Młodzi i zakochani czy jakkolwiek nazwać tamto uczucie.

— Ellie, zrobię dla ciebie i twojej rodziny, co tylko będę mógł. Przysięgam.

Wyszedłem z domu, myśląc: Co znalazłaś w Afryce?

Czy ktoś przyjechał za tobą aż tu?

Rozdział 11

Wszyscy rozumieli, że pojawiły się kłopoty, ale nikt nie wiedział, jak poważne ani jakiego rodzaju.

Ciemnozielona furgonetka z piskiem zahamowała przed niewysokim meczetem Masdżid asz-Szura w Waszyngtonie. Na chodniku przed świątynią tłoczyło się ponad stu pięćdziesięciu spokojnych członków zgromadzenia.

Mimo to, gdy tylko Ghedi Ahmad zobaczył wysiadających z wozu ludzi z bronią, ich szare kaptury, czarne maski i modne ciemne okulary, wiedział, że przybyli po niego. To byli jeszcze chłopcy — chłopcy Tygrysa.

Pierwsze wystrzały poszły w niebo. Ostrzegawcze. Ludzie zaczęli krzyczeć, niektórzy wbiegli z powrotem do meczetu.

Inni padli na chodnik, osłaniając dzieci, jak tylko potrafili.

Ghedi Ahmad uniósł wysoko ręce. Podjął decyzję i odsunął się od rodziny. Lepiej zginąć samemu, niż pociągnąć ich za sobą, myślał, drżąc jak osika.

Nie odszedł daleko, kiedy usłyszał krzyk swej żony Azizy i zrozumiał, że popełnił straszny błąd.

— Ghedi! Ghedi!

Obrócił się i zobaczył, jak dzicy chłopcy najpierw niosą, a następnie

wrzucają Azizę do samochodu. A potem — jego dzieci! Je także zabierali! Wpakowali do wozu całą czwórkę.

Ghedi szybko zawrócił i teraz to on krzyczał głośniejszym głosem niż wszyscy, głośniejszym nawet niż Aziza.

Jakiś odważny człowiek zamachnął się na jednego z porywaczy. Chłopak krzyknął do niego: „Psie!” i strzelił mu w twarz. Następnie wystrzelił raz jeszcze do rozciągniętego na chodniku, konającego już mężczyzny.

Następna kula dosięgnęła starszą kobietę, obok której przecisnął się Ghedi.

Kolejna trafiła go w nogę i już nie biegł, ale leciał na ziemię. Dwaj chłopcy poderwali go z chodnika i cisnęli do rodziny w samochodzie.

— Dzieci! Tylko nie nasze dzieci! — płakała Aziza.

— Dokąd nas wieziecie?! — wrzasnął Ghedi. — Dokąd?

— Do Allaha — padła odpowiedź kierowcy, którym był sam Tygrys.

Rozdział 12

Z każdym dniem tajemnica pogłębiała się i stawała coraz trudniejsza, ale większość Waszyngtonu na to nie zważała, zapewne dlatego, że do zbrodni doszło w Southeast i zginęli tylko Murzyni.

Na wysypisko Lorton trafia znaczna część wszystkich waszyngtońskich śmieci. To sto hektarów cuchnących, obrzydliwych odpadów, więc mieliśmy szczęście, że ciała w ogóle znaleziono. Jechałem swoim R350 przez doliny śmieci wznoszące się po obu stronach na dziesięć metrów. Wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie radiowóz zespołu interwencyjnego zaparkował obok pomarańczowobiałego wozu zakładu oczyszczania miasta. Maski z gazy, które dostaliśmy przy wjeździe, w ogóle nie powstrzymywały mdlącego fetoru.

— Alex, przejażdżka za miasto. To takie romantyczne — powiedziała Bree, kiedy przebijaliśmy się przez błotnistą breję.

Zawsze umiała zadbać o pozytywny nastrój, bez względu na okoliczności.

— Staram się wymyślać dla nas nowe rozrywki.

— Tym razem przeszedłeś sam siebie. Uwierz mi.

Gdy wysiedliśmy z auta, w końcu dostrzegłem Sampsona, który rozmawiał z kierowcą wozu. Za nimi, odgrrodzone wstęgą taśmy

oznaczającej miejsce zbrodni, leżało sześć ciał przykrytych żółtymi płachtami. Właśnie tam je znaleziono.

Dwoje rodziców i czwórka kolejnych dzieci. W sumie czworo dorosłych i siedmioro dzieci w ciągu zaledwie kilku dni.

Sampson podszedł, żeby zdać nam sprawozdanie.

— Śmieciarka ruszyła na puste ulice dziś rano i przystawała w wielu punktach w śródmieściu. Czterdzieści jeden śmietników w osiemnastu miejscach, niektóre zaledwie kilka przecznic od meczetu. Mamy od cholery roboty.

— Jeszcze jakieś dobre wieści? — spytałem.

— Na razie znaleziono tylko ciała. Nie wiadomo, co z głowami.

Tego jeszcze nie ujawniliśmy prasie: wszystkie sześć ofiar pozabawiono głów.

— Kocham swoją pracę. Kocham swoją pracę — mruknęła Bree.

— Każdego ranka nie mogę się doczekać.

Poprosiłem Sampsona, by wskazał ciało ojca, i właśnie od niego zaczęliśmy. Gdy podniosłem płachtę, ujrzeliśmy koszmarny widok, ale nie potrzebowałem lekarza sądowego, by wiedzieć, że tym razem cięcia były dużo czystsze. Brakowało dodatkowych ran: otworów po kulach, nacięć czy ukłuć. Poza tym dolna część ciała mężczyzny została poważnie przypalona.

Bezsensowne morderstwa, lecz raczej nieprzypadkowe, pomyślałem.

Ale jaki związek ma zabicie Ahmadów z Ellie i jej rodziną?

— Mamy tu kilka podobieństw i parę poważnych różnic — powiedział Sampson. — Nagłe morderstwo dwóch rodzin. Wielu sprawców. Ale jedno zabójstwo za zamkniętymi drzwiami, a drugie przed meczetem. I tu, i tu liczne cięcia.

— Ale inne — wtrąciła Bree. — A jeśli nie znajdą się głowy...

— Coś mi mówi, że się nie znajdą — powiedziałem.

— Wtedy może w grę wchodzi trofea, pamiątki.

— Albo dowód wykonania zlecenia — odparłem.

Oboje na mnie spojrzeli.

— Może tutaj chodziło o interesy, a tamto była sprawa osobista. Poza tym CNBC właśnie podało, że Ghedi Ahmad to brat Erasto Ahmada z Al-Kaidy, który działa w Somalii.

— Z Al-Kaidy? — szepnęła Bree. Przez moment była oszołomiona.

— Alex, z Al-Kaidy?

Chwilę staliśmy w milczeniu, próbując zrozumieć te straszne zabójstwa. Znów pomyślałem o Ellie. Przez ostatnie kilka dni nie mogłem przestać o niej myśleć. Czy jej śmierć miała związek z podróżą do Afryki?

— To co my tu mamy? — odezwał się w końcu Sampson. — Dwie strony wojny?

— Może — rzuciłem. — Albo dwa zespoły.

Albo jednego bardzo sprytnego mordercę, który chce nas wprowadzić w błąd.

Rozdział 13

Nie ulegało wątpliwości, że sprawy powinny zainteresować służby federalne. Miały zapalny charakter, międzynarodowy zasięg i CIA zapewne coś wiedziała. Zresztą dwóch agentów pojawiło się w domu Ellie w noc popełnienia zbrodni. Pytanie brzmiało: jak dużo informacji dam radę z nich wyciągnąć, jeśli w ogóle cokolwiek wyjawią?

Wykorzystałem kilka długów wdzięczności z czasów pracy w FBI i umówiłem się na spotkanie w siedzibie CIA w Langley. Nie tylko wyrażono zgodę, ale też zrezygnowano z pierwszego z dwóch zwyczajowych spotkań, co oznaczało, że to dla nich paląca sprawa. Zwykle CIA na początek podsuwa kogoś, kto nie może nic dla ciebie zrobić, i dopiero potem pozwala spotkać się z kimś bardziej kompetentnym.

Na spotkanie ze mną przyszedł cały zespół: Eric Dana z National Clandestine Service*, dwaj odpicowani analitycy w wieku dwudziestu kilku lat, którzy przez cały czas nie odezwali się ani słowem, oraz jedna znajoma osoba, Al Tunney z Biura Spraw Międzynarodowych.

* National Clandestine Service – tajna służba należąca do struktur CIA, odpowiedzialna za wywiad agenturalny.

Kilka lat temu pracowałem z Tunneyem przy śledztwie dotyczącym rosyjskiej mafii. Liczyłem, że się za mną wstawi, ale wyraźnie najważniejszy tu był Eric Dana, on prowadził śledztwo. Siedzieliśmy przy lśniącym drewnianym stole, a za oknem jak okiem sięgnąć ciągnęły się zielone lasy i trawniki. Spokojne, kojące, bardzo zwodnicze.

— Detektywie, proszę nam powiedzieć, czego się pan dotąd dowiedział — poprosił Dana. — To by nam pomogło zacząć.

Niczego nie ukrywałem, nie widziałem ku temu powodów. Omówiłem wszystkie trzy miejsca zbrodni: dom Coxów, ulicę przed meczetem Masdżid asz-Szura oraz wysypisko w Lorton.

Rozdałem także zestaw chronologicznie ułożonych zdjęć.

Następnie przedstawiłem wszystko, czego dowiedziałem się o przywódcach gangów w Afryce, włącznie z informacjami z książki Ellie. Dopiero wtedy wspomniałem, że na pierwszym miejscu zbrodni pojawili się agenci CIA.

— Nie skomentujemy tego — powiedział Dana. — Przynajmniej chwilowo.

— Nie oczekuję, że otworzycie przede mną akta — odparłem. — Ale chciałbym się dowiedzieć, czy śledzicie jakiegoś zabójcę tu, w Stanach. Jeśli tak, czy macie pojęcie, gdzie przebywa?

Dana wysłuchał, co miałem do powiedzenia, po czym przesunął papiery na kupkę i wstał.

— Dobrze. Dziękuję, detektywie. Bardzo nam pan pomógł. Odezwiemy się do pana. Niech pan pozwoli, że przez najbliższe kilka dni zajmujemy się własną pracą.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

— Chwileczkę, o czym pan mówi? Ja chcę odpowiedzi natychmiast.

Zły moment. Dana spojrzał na analityków z miną, która mówiła: „Czy nikt tego faceta o niczym nie poinformował?”.

Następnie znów popatrzył na mnie, bynajmniej nie z niechęcią.

— Chyba rozumiem pański pośpiech, detek...

— Chyba jednak pan nie rozumie — przerwałem. Spojrzałem na Ala Tunneya, który zmieszany wiercił się na krześle. — Al, czy to jest wasza wspólna decyzja?

Tunney patrzył to na mnie, to na Danę.

— Nikt tu o niczym nie zdecydował, Alex. Po prostu nie możemy tak szybko wyjawiać informacji — powiedział w końcu. — Nie tak działamy. Wiedziałeś o tym, kiedy tu przyjeżdżałeś.

— Nie możecie czy nie chcecie? — spytałem, najpierw patrząc na Tunneya, a potem na Danę.

— Nie chcemy — odrzekł ten drugi. — To wyłącznie moja decyzja. Nie wyobraża pan sobie, jakie szkody wyrządził ten człowiek i jego grupa.

— Tym bardziej powinniśmy darować sobie wojny terytorialne, prawda? Jesteśmy tu z tego samego powodu.

Dana stał obok stołu.

— Odezwiemy się do pana.

Następnie wyszedł z pomieszczenia. Jakież to w stylu CIA.

Rozdział 14

Nie mogłem tego tak zostawić i nie zostawiłem.

Kiedy wyszedłem na szeroki, niemal pusty korytarz przed salą konferencyjną, zawałęsam do Ala Tunneya, zanim zdążył się oddalić:

— Hej, Al! Nie zdążyłem cię zapytać, co słyhać u Trish i dzieciaków. — Następnie uniosłem dłoń i zwróciłem się do eskortującego mnie strażnika. — To potrwa tylko chwilę.

Podszedłem do Ala, który patrzył na mnie zdegustowany. Wiedziałem, że ma żonę, lecz o ile nie jestem jasnowidzem, raczej nie nazywa się Trish.

Od razu przeszedłem do rzeczy:

— Ty coś wiesz, inaczej nie byłoby cię na tym spotkaniu. Ani Dany. Wasi ludzie przyjechali na miejsce zbrodni. Pomóż mi, Al. Podrzucić mi coś, cokolwiek.

— Nie mogę, Alex. Ta sprawa jest jeszcze gorętsza, niż ci się wydaje. Słyszałeś, co mówił szef. To sięga samego szczytu naszej grupy. Zaangażowany jest Steven Millard. Zaufaj mi, trwa śledztwo. Traktujemy je bardzo poważnie.

— Eric Dana mnie nie zna, Steven Millard też. Ale ty owszem. Wiesz, co potrafię załatwić. Nie muszę ci tego udowadniać, prawda?

Nad nami wisiał wielki herb Agencji. Zrobiłem krok na bok, żeby Tunney na niego nie patrzył.

— Bardzo śmieszne — skomentował.

— Daj spokój, Al. Już dwie rodziny straciły życie. Czy to nic nie znaczy?

Wtedy Tunney powiedział coś bardzo dziwnego.

— Nie tak dużo, jak ci się wydaje. Są na świecie inne monstra.

Zawołał mnie strażnik. Stał na skrzyżowaniu korytarzy.

— Detektywie? Tędy.

— Sekundkę! — Znowu zwróciłem się do Tunneya. — Ellie Cox była mi bliska. Nicole Cox miała trzynaście lat. Clara sześć. James dziesięć. A czwórka dzieci Ahmadów? Żadne nie ukończyło dwunastu lat. Al, nie zginęły tak po prostu. Obcięto im głowy! Ktokolwiek to zrobił, jest jak Hannibal Lecter. Tyle że prawdziwy.

— Znam tę sprawę na pamięć — powiedział. — Panuję nad tym.

— Masz dzieci, prawda? Ja mam trójkę. Damon, Jannie i Ali. A twoje?

— Jezu. — Tunney pokręcił głową. — Kiedy ty się zrobiłeś taki podły?

— Nie podły. Próbuję rozwiązać sprawę koszmarnych morderstw. Coś mi mówi, że ślad wiedzie do Afryki. Mam rację? — Widziałem, że niewiele brakuje, by coś mi wyjawił. Położyłem mu dłoń na ramieniu i nieco obniżyłem ton. — Nie proszę o żadne sekrety Agencji. Mówię wyłącznie o bieżącej sprawie policyjnej. W ramach mojej jurysdykcji. Przynajmniej na razie.

Tunney przez kilka sekund przyglądał się płytce podłogowej, potem spojrzął na strażnika, a następnie znów na podłogę. Odezwał się, nie podnosząc wzroku.

— Mówi się, że ma dojść do jakiejś transakcji. Informacje przekazało nam FBI. Na stacji benzynowej przy autostradzie w Wirginii. W

Chantilly. To może być ten twój facet. Miałbyś prawo przejąć sprawę.

— O jaką transakcję chodzi?

Tunney nie odpowiedział. Wyciągnął dłoń z uśmiechem tak szerokim, by zobaczył to strażnik.

— Miło cię było znów widzieć, Alex. Pozdrów ode mnie Bree. Jak mówiłem, znam tę sprawę na pamięć. Jest straszna. Gość zabił twoją przyjaciółkę. Proszę, pamiętaj, że my wciąż jesteśmy tymi dobrymi. Bez względu na to, co przeczytasz albo zobaczysz na filmach.

Rozdział 15

Do godziny dwudziestej tego wieczoru zebrałem grupę składającą się z szóstki wyselekcjonowanych policjantów z oddziału specjalnego oraz Bree, Sampsona i mnie. Ubrani w kevlarowe kamizelki pod cywilnym odzieniem, mocno uzbrojeni i wyposażeni w łączność, czekaliśmy na parking przy stacji w Chantilly w stanie Wirginia, gdzie być może miało dojść do transakcji z udziałem mojego zabójcy.

Gdyby zaszła taka potrzeba, mogliśmy czuwać przez dwanaście godzin, od ósmej wieczorem do ósmej rano. Zespół rozdzielił się na pięć sektorów: parking z przodu, restauracja, stacja benzynowa oraz obie strony dużego parkingu dla ciężarówek na tyłach. Sampson miał problemy z biodrem, więc zajął pozycję obserwacyjną na dachu. Bree i ja ulokowaliśmy się w furgonetce komunikacyjnej zaparkowanej w pobliżu wjazdu, skąd również mieliśmy dobry widok na cały teren.

Ani śladu CIA. Czy jeszcze nie przyjechali?

Przez pierwsze pięć godzin była tylko cisza radiowa i bardzo dużo podłej kawy.

Wreszcie, tuż po pierwszej w nocy, ktoś przerwał milczenie.

— Dwadzieścia dwa zero jeden. Odbiór.

— Słucham cię, dwadzieścia dwa zero jeden.

Spojrzałem w kierunku przeciwnego rogu parkingu ciężarówek, gdzie stacjonował detektyw Jamal McDonald.

— Dwie toyoty land cruiser. Właśnie podjechały do cysterny na tyłach. Północno-wschodni narożnik.

— Od jak dawna stoi tam cysterna? — spytałem.

— Trudno powiedzieć. Co najmniej od pół godziny. Te cysterny ciągle wjeżdżają i wyjeżdżają.

Nie wiedzieliśmy, czego się dziś spodziewać, ale kradziona benzyna lub ropa naftowa — to brzmiało sensownie, szczególnie jeśli byli w to zamieszani Nigeryjczycy. Zdążyłem już wysiąść z furgonetki i szybkim krokiem zmierzałem w stronę Jamala. Widok narożnika chwilowo przesłaniało dwadzieścia parę ciężarówek ustawionych w rzędy.

— Nicolo, Redman, zacieśnić pierścień. Bree, gdzie teraz jesteś?

— Za budynkami. Idę na wschód.

— Dobrze. Niech cała reszta zostanie na miejscach. John, a ty? Widziałeś już coś?

— Nic — odpowiedział Sampson. — Nikt tam się nie rusza. Tylko wy.

— Jamal, jak blisko jesteś?

— Moment. Właśnie wychodzę zza ciężarówki.

Gdy przecinał parking, przez chwilę mignął mi przy ostatnim rzędzie. Bree dołączyła do mnie bez słowa.

Wyjąłem glocka, trzymałem go nisko przy udzie. Bree też. Czy był tu nasz zabójca ze swoją grupą? Czy to ci sami, którzy zamordowali Coxów i Ahmadów?

— Ktoś wysiada z cysterny — szepnął Jamal McDonald. — Dwie osoby. Od land cruiserów idą cztery inne. Chyba niosą torbę. To na pewno to. Czekać. — Chwila ciszy, a potem: — Cholera! Chyba

mnie widzą. Wyglądają jak dzieciaki, nastolatki!

Bree i ja zaczęliśmy biec.

— Jamal, co się dzieje? Zaraz tam będziemy!

Po chwili usłyszeliśmy strzały. Wiele strzałów.

Rozdział 16

Bree i ja popędziliśmy ile sił w nogach w kierunku, z którego padły strzały. Wciąż słyszałem Jamala McDonalda — ale teraz jakoś tak chrapliwie dyszał, jakby został trafiony w gardło i dusił się.

Inni policjanci wykrzykiwali numery przez krótkofalówki i zbliżali się do cysterny. Sampson został na dachu i wezwał posiłki z komendy hrabstwa Fairfax.

Znajdowaliśmy się dopiero w połowie drogi, kiedy przemknęły przed nami trzy lub cztery prędko poruszające się cienie. Może piętnaście metrów dalej. Tak jak mówił Jamal, to chyba dzieci.

Przebiegając, jeden z napastników strzelił z biodra. Nawet nie próbował ukryć broni. Zaraz potem wszyscy otworzyli ogień. To było jak strzelanina na Dzikim Zachodzie. Oni chyba absolutnie niczego się nie bali, w ogóle nie myśleli o śmierci.

Bree i ja padliśmy na ziemię i zaczęliśmy strzelać. W ciemności błyskały iskry kul rykoszetujących o asfalt i ciężarówkę, ale nie widzieliśmy nawet, do kogo strzelamy ani dokąd przemieszczają się napastnicy.

- Dzieci — powiedziała Bree.
- Mordercy — sprostowałem.

Za następnym rzędem ciężarówek rozległa się kolejna intensywna kanonada. Art Sheiner, jeden z członków naszego zespołu, krzyknął, że także został trafiony.

Potem wszystko znów ucichło.

— Sheiner? — odezwałem się przez radio.

Nie odpowiedział.

— McDonald?

Również bez odpowiedzi.

— Sampson, oprócz wsparcia będzie potrzebna pomoc medyczna.

— Już się robi. Zaraz tam zejdę.

— Nie, John, zostań na górze. Teraz jeszcze bardziej potrzebujemy dobrego obserwatora. Zostań na swoim miejscu!

— Detektywie, tu Connors. — Był najmłodszy w zespole. Mówił przez ściśnięte gardło. — Znalazłem Jamala. Trafili go. Jest dużo krwi.

— Zostań przy nim. Ale uważaj.

— Dwadzieścia dwa zero cztery. — To Frank Nicolo. — Jestem przy Sheinerze. Leży. Nie czuję pulsu. Chyba nie żyje.

I wtedy nagle rozległy się kolejne strzały!

Rozdział 17

Znowu biegliśmy. Trafiono dwóch policjantów, a na terenie parkingu znajdowała się nieznana liczba napastników. Wpadliśmy w drugą zasadzkę. Kula śmignęła mi obok twarzy.

Ktoś oddał strzał z dachu ciągnika siodłowego — biegnąc po nim. Odpowiedziałem ogniem, ale nie wiedziałem, czy trafiłem snajpera. To było jak fajerwerki — pojawiło się i znikło — i znów nastała cisza.

— Co, do kurwy nędzy?! — krzyknął ktoś przez krótkofalówkę.

Nie wyjaśnił, o co chodziło. Nie mógł?

— Alex! Bree! — To znów Sampson. — Przy dystrybutorach! Na lewo!

Pobiegłem tam, skąd mogłem widzieć główne budynki. Trzej napastnicy mieli nad nami dobre piętnaście metrów przewagi i nie przerywając ognia, kierowali się ku stacji benzynowej. Na głowach nosili czarne kominiarki.

Dwaj byli niscy, sądząc po wzroście — chłopcy. Na pierwszej pozycji znajdowała się większa postać, wprost ogromna. Czy to przywódca gangu? Zabójca Ellie. To musiał być on. Chciałem dorwać sukinsyna, bez względu na resztę wydarzeń tej nocy.

Niewinni cywile wybiegali z krzykiem z samochodów i ciężarówek. Zbyt wielki chaos, żebyśmy otworzyli ogień.

Jakaś kobieta w czerwonej kurtce i czapce złapała się za brzuch i padła na ziemię. Wysoki mężczyzna strzelił do niej raz jeszcze! Czy on był szalony?

Następnie wyciągnął dyszę dystrybutora z wlotu paliwa w jej SUV-ie. To na pewno szalenie. Zablokował spust i benzyna popłynęła na ziemię.

Potem podszedł do kolejnego samochodu i zrobił to samo.

Jego chłopcy opuszczali teren. Biegli i krzyczeli, jakby brali udział w jakimś meczu, który wymknął się spod kontroli. Mężczyzna wycełował pistolet w rosnącą kałużę benzyny — nie potrzebowałem wyraźniejszego ostrzeżenia.

— Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! — krzyknąłem i zatrzymałem się niedaleko dystrybutorów. — Bree, weź Brightona. Obejdźcie z drugiej strony. Nicolo, niech ktoś odetnie dopływ paliwa.

Rosły mężczyzna trzymał w dłoni kolejną dyszę i polewał asfalt paliwem. Nawet z tej odległości czułem woń oparów. Co on sobie, do cholery, wyobrażał?

— Odłóż to i odejź! — krzyknąłem. — Nie będziemy strzelać.

Nie drgnął, tylko na mnie patrzył. Żadnego strachu. Sekundę później za jego plecami ktoś krzyknął. Rozległy się trzy krótkie dźwięki klaksonu.

W końcu zrobił to, o co prosiłem. Celował do mnie, ale odłożył dyszę. Powoli się wycofywał. Oddalał się od świateł wiaty.

Mieliśmy drogę wolną — odchodził!

Wtedy w ciemności padło kilka strzałów. To on, sukсын!

Z asfaltu wyrosła ściana ognia, zupełnie jakby to była magiczna sztuczka. W ciągu kilku sekund płonął cały plac. Płomienie lizały opuszczone samochody.

Pierwsza wybuchła biała toyota corolla. Ekspłodowała tam, gdzie przed zaledwie kilkoma sekundami stał ów człowiek. Potem zapalił się czarny pick-up po drugiej stronie dystrybutorów.

— Uciekać! Uciekać! Uciekać! — krzychałem, machając rękami nad głową, żeby przegonić stamtąd wszystkich cywilów i policjantów.

Właśnie wtedy wybuchł pierwszy dystrybutor.

A potem nastąpił Armagedon w Wirginii.

Rozdział 18

Stacja benzynowa ze wszystkimi dystrybutorami eksplodowała od spodu. Asphalt podniósł się jak zwijany dywan. Płomienie buchnęły co najmniej na dwadzieścia pięć metrów w górę — żółto-pomarańczowa kula, a zaraz po niej gęsta czarna pokrywa dymu. Płonące pojazdy przewracały się jak zabawki. Z restauracji wybiegały całe rodziny oraz kierowcy ciężarówek, ponieważ pożar rozniósł się i tam, a wraz z nim panika.

Biegłem tak blisko miejsca wybuchu, jak to możliwe. Żar opalał mi twarz i oczy, ledwie słyszałem.

Przed sobą widziałem, jak dwa wozy terenowe pędzą w stronę drogi numer pięćdziesiąt. Uciekali!

Dostrzegłem Bree, wychodziła zza przeciwległego końca budynku. Odetchnąłem z ulgą. Nic się jej nie stało. Ruszyła ile sił w nogach do mojego samochodu, ja też.

Wsiadłem do mercedesa i błyskawicznie rozpędziłem go do stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przez kilka nerwowych minut widziałem przed nami tylko pustą drogę.

— Tam! — Bree wskazała dwa auta.

Chyba nas zobaczyli, bo zaraz wozy się rozdzieliły.

Jeden land cruiser pojechał w lewo, drugi skręcił w prawo. Ruszyłem za tym pierwszym i miałem nadzieję, że dokonałem słusznego wyboru.

Rozdział 19

Pędziłem ciemną dwupasmową drogą i szybko doganiałem uciekiniera. Po lewej stronie biegł głęboki rów odpływowy. Dojechałem toyocie do zderzaka i kierowca chyba spanikował. Nagle, nie zwalniając, skręcił w prawo i wóz obrócił się niemal o dziewięćdziesiąt stopni. Następnie wpadł wprost do rowu.

Przez chwilę myślałem, że przedostanie się na drugą stronę. Land cruiser zawisł w powietrzu, ale przód zbyt szybko opadł. Auto runęło z hukiem, podwozie trzasnęło. Przednie koła wbiły się głęboko w nasyp. Tylne wciąż się obracały.

Bree i ja wypadliśmy z mercedesa i przykucnęliśmy za otwartymi drzwiami.

— Wysiadać z wozu! Natychmiast! — krzyknąłem.

Wreszcie dostrzegłem ruch w kabinie. Kierowcą był ten dorosły mężczyzna. Obok niego siedział ktoś tak niski, że ledwie widoczny.

Drobniejszy pasażer wyciągnął rękę przez okno. Położył na dachu dłoń, a potem drugą. Zaczął się wciągać na górę.

— Na ziemię! Natychmiast! — krzyknęła do niego Bree. — Powiedziała: na ziemię!

Ale nie posłuchał! Chudy chłopak, zwinny jak kot, wyskoczył w

góre jak torpeda. Miał w rękę broń i celował w naszą stronę. Pomknął ślizgiem po dachu i oddał trzy szybkie strzały.

Odpowiedzieliśmy ogniem. Jeden z pocisków go trafił, chłopak padł na ziemię. Ale zdołał osłonić dorosłego na tyle długo, by ten wydostał się z wozu. Drzwi kierowcy były otwarte. Nie widziałem rosnącego mężczyzny, ale wiedziałem, że ucieka.

Bree zatrzymała się przy dzieciaku, ja biegłem dalej. Najpierw do rowu, a potem na drugą stronę.

Myślałem, że rośnie tam las, ale okazało się, że to tylko rząd cedrów i wysokie chwasty.

Nagle usłyszałem brzęk siatkowego ogrodzenia. Mężczyzna wspinał się po nim. Nim wydostałem się spośród drzew, już przedarł się na drugą stronę i biegł po dziedzińcu jakiegoś magazynu.

Oparłem lufę glocka na siatce i opróżniłem magazynek. Uciekający był zbyt daleko, raczej go nie trafiłem. Wtedy się odwrócił. Pomachał mi pogardliwie, po czym zniknął w ciemnościach jak kot.

Zgłosiłem naszą lokację, po czym pobiegłem sprawdzić, co u Bree. Wciąż klęczała w tym samym miejscu. Twarz martwego chłopca przykryła kurtką. To rzadkie postępowanie u policjanta po strzelaniu, ale Bree lubiła działać po swojemu.

— Nic ci nie jest? — zapytałem.

Nie podniosła wzroku.

— Alex, on miał ze dwanaście lat. Nie więcej. Poświęcił życie dla tamtego sukinsyna.

— Jeszcze żył, kiedy przyszedłeś?

Bree kiwnęła głową.

— Mówił coś?

— Tak. — W końcu na mnie spojrzała. — Kazał mi się pierdolić. To były jego ostatnie słowa na tym świecie.

Rozdział 20

Tej nocy spałem tylko kilka godzin. Zginął policjant i dwie osoby cywilne — nie wspominając o jednym z chłopców-żołnierzy, „najmłodszym terroryście świata”, jak nazwał go następnego ranka nagłówek „Washington Post”. Na dodatek o ósmej rano miałem u Świętego Antoniego spotkanie z pacjentem.

Rok temu, po sprawie Tylera Bella, kiedy zagrożenie dosłownie dosięgnęło mnie we własnym gabinecie, musiałem poważnie przemyśleć swoje życie. Rezultat: uznałem, że prowadzone przeze mnie sprawy kryminalne są zbyt głośne, by moja prywatna praktyka pozostała prywatna. Obecnie przyjmowałem dwóch lub trzech pacjentów tygodniowo, zwykle gratis, i to mi wystarczało. Przynajmniej zwykle.

Ale tego pacjenta nie chciałem oglądać — nie dziś.

Zakrawało na ironię, że tego poranka czekała mnie sesja z Bronsonem „Pif-Paf Jamesem. Miał jedenaście lat i chyba u nikogo w jego wieku nie zaobserwowałem równie zaawansowanej socjopatii. Przed czterema miesiącami trafił na pierwsze strony gazet, gdy z siedemnastoletnim kolegą prawie zakatowali cegłą dwóch bezdomnych. To był pomysł Pif-Pafa. Prokurator okręgowy jeszcze nie zdecydował, jak

potraktować sprawę, i Bronson przebywał w areszcie dla nieletnich. Jedynym plusem było to, że opiekowała się nim świetna pracowniczka opieki społecznej z poprawczaka, która dbała, żeby przychodził na spotkania na czas.

Z początku sądziłem, że najlepiej przegonić myśli o wydarzeniach ostatniej nocy. Jednak gdy rozpoczęliśmy sesję, zmieniłem zdanie.

— Bronsonie, słyszałeś, co w nocy wydarzyło się na stacji w Wirginii?

Siedział naprzeciw mnie na taniej winylowej kanapie i bez przerwy się wiercił. Jego ręce i nogi były w ciągłym ruchu.

— Aha, słyszałem. Gadali przez radio. A co?

— Ten chłopiec, który zginął... miał dwanaście lat.

Bronson wyszczerzył zęby w uśmiechu i przyłożył dwa palce do głowy.

— Podobno zarobił headshota.

Wykazywał niezwykłą pewność siebie, która czyniła go dziwnie dorosłym — podczas gdy majtał nogami piętnaście centymetrów nad ziemią.

— Myślisz czasem, że coś takiego może ci się przydarzyć? — spytałem.

Parsknął.

— Codziennie. To nic takiego.

— Nie przeszkadza ci to? Ma sens? Uważasz, że taki powinien być świat?

— Taki świat. Bum!

— W takim razie — rozejrzałem się po pokoju, po czym znów popatrzyłem na niego — po co zawracasz sobie głowę, przychodzisz tutaj i rozmawiasz o tym ze mną? Nie widzę w tym sensu.

— Bo ta dziwka Lorraine mnie, kurwa, zmusza.

Kiwnąłem głową.

— To jeszcze nie znaczy, że musisz coś do mnie mówić. Ale mówisz. Rozmawiasz ze mną. Jak myślisz, dlaczego?

Zaczął się niecierpliwić.

— Ty jesteś czarownik, ty mi powiedz.

— Zazdrościsz takim chłopcom jak ten, który zginął? Że zarabiają na życie? Biegają z bronią?

Zaczął mi się przyglądać spod przymkniętych powiek i niżej na czoło naciągnął opaskę Lebrona Jamesa z drużyny Cleveland Cavaliers.

— Jak to?

— No wiesz, czy też byś tak chciał?

Znów się uśmiechnął, lecz tylko do siebie. Potem osunął się na kanapie i wyciągnął stopę, by od niechcienia przewrócić szklanke soku pomarańczowego, którą mu dałem. Napój rozlał się na stół pomiędzy nami.

— Ej, w automacie na dole są jakieś cukierki? Weź mi przynieś cukierki!

Nie przyniosłem. Po zakończeniu sesji odprowadziłem chłopca do opiekunki z pomocy społecznej i przypomniałem mu, że zobaczymy się w piątek. Następnie pojechałem po Nanę.

Razem udaliśmy się na pogrzeb Coxów. Objęliśmy się i płakaliśmy wraz ze wszystkimi.

Już nie dbałem o to, czy ktoś zobaczy moje łzy. Po prostu nie zwracałem na to uwagi. Przyjaciele na pewno zrozumieją. A co mnie obchodziło zdanie pozostałych?

Ta zasada — liczyć się z tymi, którzy na to zasługują — to filozofia Nany.

Rozdział 21

— Tu detektyw Alex Cross z policji miejskiej w Waszyngtonie. Muszę rozmawiać z ambasadorem Njoku lub jego reprezentantem. To ważne. Bardzo ważne.

Późnym wieczorem tego samego dnia pędziłem wraz z Bree do klubu Bubble Lounge w sercu Georgetown. Zastrzelono tam cztery osoby. Dwie z nich były obywatelami Nigerii, a jedna to syn ambasadora. Według wstępnych informacji dwudziestojednoletni Daniel Njoku był głównym celem napastnika. Dla mnie oznaczało to jedno: poinformowanie rodziny Njoku nie wystarczy, może być im potrzebna ochrona — o ile już nie jest za późno. Jak dotąd wszystkie morderstwa dokonane przez gang dotyczyły całych rodzin.

Na linii miałem dyżurną z ambasady Nigerii. Zakryłem jedno ucho, by syrena w aucie Bree nie zagłuszała rozmowy.

— Bardzo mi przykro, ale potrzebuję więcej informacji niż tylko...

— To jest sytuacja wyjątkowa — odparłem. — Daniel, syn ambasadora, właśnie został zamordowany w klubie nocnym. Mamy powody przypuszczać, że sam ambasador i jego żona też są w niebezpieczeństwie. Właśnie wysyłamy radiowozy.

— Ale, proszę pana... Państwo Njoku są za granicą. Przebywają na sympozjum w Abudży.

— To ich znajdźcie. Powiedzcie, żeby udali się w bezpieczne miejsce. Proszę, zróbcie wszystko, co możliwe. Potem proszę o telefon pod numer, z którego dzwonię. Nazywam się Cross, jestem detektywem.

— Zrobię, co mogę. Oddzwonię.

Rozłączyłem się. Czuję się trochę bezsilny. Jak miałem powstrzymać morderstwo, do którego mogło dojść dziesięć tysięcy kilometrów stąd?

Rozdział 22

— Najpierw chcę porozmawiać ze świadkami. Im więcej, tym lepiej. Nikogo nie puścimy do domu.

Bubble Lounge zwykle tętniło życiem, ale gdy tam przybyłem, przypominało złomowisko. Wszędzie leżały powywracane stoły, rozbite krzesła i odłamki potłuczonego szkła. Na obu piętrach pracowały zespoły techników. Mieliśmy sześć osób z ranami postrzałowymi, jeden złamany kark i jedno uduszenie. Sanitariusze pogotowia ratunkowego wciąż pracowicie selekcjonowali rannych. Młodzi ludzie jęczyli i płakali, a wszyscy, których mijalem, nawet policjanci, wyglądałi na oszołomionych.

Towarzysze Daniela Njoku czekali w szatni. Siedzieli stłoczeni na kanapach. Szyja i policzek jednej z dziewcząt, ubranej w króciutką czarną sukienkę i przykrytej męską marynarką, całe były umazane krwią.

Przyklęknąłem obok niej.

— Jestem detektyw Cross. Przyszedłem pomóc. Jak się nazywasz?

— Karavi — powiedziała.

Miała długie, piękne włosy i ciemne, przestraszone oczy. Pochodziła chyba z Indii. Była tuż po dwudziestce.

— Karavi, czy przyjrzałaś się ludziom, którzy to zrobili?

— Był tylko jeden — załkała. — Ogromny.

— Przepraszam — przerwał jeden z jej towarzyszy — ale zanim cokolwiek powiemy policji, musimy porozmawiać z naszymi prawnikami.

Mówiący te słowa sprawiał wrażenie kogoś, kto czuje się ważny. Ci dwudziestoparolatkwowie spędzali sobotnie wieczory w prywatnych boksach w ekskluzywnych klubach.

— Możesz ze mną porozmawiać — zwróciłem się do dziewczyny.

— Tak czy inaczej... — zaczął chłopak.

— Albo — wszedłem mu w słowo — możemy to odłożyć na później, dziś albo jutro, kiedy już pogadam z całą resztą.

— W porządku, Freddy — odezwała się Karavi, uciszając chłopaka. — Chcę pomóc, jeśli tylko mogę. Daniel nie żyje.

Usiedliśmy z boku, by zyskać trochę prywatności. Dziewczyna opowiedziała, że studiuje biologię komórkową na Uniwersytecie Georgetown. Rodzice byli dyplomatami i w ten sposób poznała Daniela. Byli najlepszymi przyjaciółmi, lecz nigdy parą. Dziewczyna Daniela, Bari Nederman, również została postrzelona, ale przeżyła.

Karavi opisała napastnika jako samotnego czarnoskórego mężczyznę. Miał co najmniej dwa metry i zwykle ciemne ubranie.

— I po prostu wyglądał... mocarnie — powiedziała. — Wielkie, umięśnione ramiona, potężny pod każdym względem.

— A głos? Czy do kogoś się odezwał, zanim zaczął strzelać!

Karavi kiwnęła głową.

— Powiedział coś w stylu: „Mam zaproszenie”, tuż przed... — urwała, niezdolna dokończyć myśli.

— Jaki miał akcent? — spytałem. — Amerykański? Jakiś inny?

Naciskałem, ponieważ wiedziałem, że teraz mogę liczyć na najlepszy, najbardziej autentyczny opis.

— Nie był stąd — powiedziała. — To nie Amerykanin. Tego jestem pewna.

— Może był Nigeryjczykiem? Mówił podobnie jak Daniel?

— Może. — Zaciśnęła zęby, powstrzymując napływające do oczu łzy. — Trudno mi się skupić. Przepraszam.

— Czy jest tu jeszcze jakiś Nigeryjczyk? — zwróciłem się do pozostałych osób. — Potrzebuję kogoś z nigeryjskim akcentem.

Odezwwał się jeden z chłopców:

— Przykro mi, ale nie ma czegoś takiego. — Miał afro w stylu Jimiego Hendrixa, a rozpięta koszula od smokingu ukazywała chude tors i biżuterię. — Ja na przykład mówię w języku joruba. Jest jeszcze igbo i hausa. I dziesiątki innych języków. Chyba nie na miejscu z pana strony jest sugestia...

— O właśnie! — Karavi położyła drżącą dłoń na moim ramieniu. Kilka innych osób także kiwało głowami. — Właśnie w taki sposób mówił morderca. Dokładnie tak jak on.

Rozdział 23

Okolo drugiej w nocy wciąż byłem na miejscu zbrodni w nocnym klubie. Kolejne rozmowy ze świadkami zaczynały się już zlewać. Wtedy zadzwoniła moja komórka w kieszeni spodni. Pomyślałem, że to z ambasady Nigerii, i natychmiast odebrałem.

— Alex Cross, policja miejska — powiedziałem.

— Tato?

Głos Damona w słuchawce trochę mnie zaskoczył. Nic dziwnego — o drugiej w nocy. Co się znów stało?

— O co chodzi, Day? — spytałem czternastoletniego syna, który wyjechał do szkoły w Massachusetts.

— No... w sumie to nic — odparł Damon. Chyba mój ton trochę go speszył. — To znaczy... cały dzień próbuję się dodzwonić. Mam dobre wiadomości.

Poczułem ulgę, ale wciąż miałem przyspieszony puls.

— Świetnie, przydadzą mi się. Ale dlaczego jeszcze nie śpisz o tej godzinie?

— Nie mogłem się położyć, bo musiałem cię złapać. Dzwoniłem do domu, rozmawiałem z Naną. Nie chciałem ci przeszkadzać...

Odetchnąłem powoli i przeszedłem do korytarza przy toaletach, z

dała od miejsca, gdzie pracowali technicy. Bez względu na porę dobrze było usłyszeć głos Damona. Brakowało mi naszych rozmów, lekcji boksu, których mu udzielałem, chodzenia na jego mecze koszykówki.

— Co to za wieści? Opowiadaj.

— Nana już wie, ale chciałem ci powiedzieć sam. Dostałem się do reprezentacji szkoły. Mimo że jestem w pierwszej klasie. Nieźle, no nie? Aha, i mam same piątki z testów śródsesemestralnych.

— Posłuchajcie go tylko: „Aha, i mam same piątki”. Niezła kompozycja, Damon. Zdaje się, że całkiem dobrze sobie radzisz, co? — odparłem i nagle poczułem, że się uśmiecham.

Dziwnie było prowadzić tę rozmowę pod neonem w holu, który pachniał alkoholem i śmiercią, ale to wciąż świetne wieści. Damon wybrał Cushing Academy zarówno ze względu na program sportowy, jak i nauczania. Wiedziałem, jak ciężko pracował, żeby w obu dziedzinach dobrze sobie radzić.

— Panie detektywie? — Umundurowany funkcjonariusz wetknął głowę do holu. — Dyspozytornia linii alarmowej do pana.

— Słuchaj, Damon, mogę do ciebie zadzwonić później? Na przykład za dnia?

Roześmiał się.

— Jasne, tato. Duża sprawa, co? Ta w klubie, czytałem o niej w Internecie.

— Owszem, duża — przyznałem. — Ale miło usłyszeć twój głos. O każdej porze. Wyśpij się trochę.

— Dobrze. Ty też.

Rozłączyłem się i czułem się winny. Jeśli tego właśnie wymagała praca — żeby rozmawiał z synem o drugiej w nocy — to chciałem, żeby coś z niej wyszło. Dyspozytornia połączyła rozmowę i usłyszałem w słuchawce tę samą kobietę z ambasady Nigerii, z którą

kontaktowałem się poprzednio. Jednak tym razem była roztrzęsiona.

— Panie detektywie, z przykrością muszę powiadomić, że pan ambasador i pani Njoku zostali dziś zamordowani. Jesteśmy w szoku.

Ja nie doznałem szoku, ale zrobiło mi się niedobrze.

— Kiedy to się stało? — spytałem.

— Nie mamy pewności. Chyba w ciągu ostatnich godzin.

Czyli zaledwie minuty po morderstwie syna? Czyżby od początku taki był plan? Czyj? I w jakim celu? Co tu się działo? Osunąłem się po ścianie i usiadłem w kucki. Kolejna zabita rodzina. Tym razem morderstwa rozłożyły się na dwa kontynenty — dwa kompletnie inne światy. Przynajmniej wtedy tak mi się wydawało.

Rozdział 24

Teraz wszyscy byliśmy pod presją. Ponowne odnalezienie Erica Dany z CIA zajęło mi cały następny dzień, a w końcu udało mi się tylko dlatego, że pojawił się w Daly Building.

Natknąłem się na niego, gdy wychodził z gabinetu komendanta Daviesa. Nim drzwi się zamknęły, zauważyłem szefa za biurkiem. Nie uśmiechał się i nie spojrzał na mnie, choć na pewno wiedział, że tam jestem.

Podszedłem do Dany.

— Gdzie pan był cały dzień? Dzwoniłem z sześć razy. Potrzebuję pana pomocy w śledztwie. O co chodzi?

Agent CIA nawet nie zwolnił.

— Proszę porozmawiać ze swoim przełożonym. Policja już nie prowadzi tej sprawy. Z naszego punktu widzenia wydarzenia w Chantilly to katastrofa. W sprawę zaangażował się już Steven Millard, nasz szef działu.

Millard. Słyszałem to nazwisko od mojego kolegi Ala Tunneya.

Dogoniłem Danę przy windzie. Przytrzymałem łokciem zamykające się drzwi i wsiadłem.

— Gdzie jest zabójca? — zapytałem. — Co o nim wiecie?

— Przypuszczamy, że wyjechał z kraju. Powiadomimy was, jeśli znów się tu pojawi — odparł agent i po raz pierwszy na mnie spojrzął.

— Trzymaj się swoich miejsc zbrodni, Cross. Rób swoje. A ja będę robił swoje.

— To rada czy groźba?

— Jak długo będziesz pracował w Waszyngtonie, to rada. Nie mam tu na ciebie wpływu.

Jego wyniosłe zachowanie nie było zaskakujące. Nie zdenerwowało mnie, lecz raczej pomogło w koncentracji. Przesunąłem czerwony przełącznik. Winda szarpnęła i zatrzymała się, zabrzmiał dzwonek alarmowy.

— Dokąd on pojechał, Dana?! — krzyknąłem. — Do cholery, powiedz mi, gdzie on jest!

— Co z tobą? Nie takie są reguły gry.

Kiedy wyciągnąłem rękę w kierunku przełącznika, złapałem go za ramię.

— Dokąd pojechał? — spytałem ponownie. — Dla mnie to nie jest gra.

Dana rzucił mi zimne spojrzenie. Odezwał się bardzo spokojnym głosem:

— Puść mnie, Cross. Zabierz łapy. Wrócił do Nigerii. Jest już poza twoją jurysdykcją.

Wiedziałem, że posunąłem się za daleko. Dzięki temu zrozumiałem, jak emocjonalnie podchodzę do sprawy. Może nawet bardziej, niż myślałem. Puściłem Danę i bez słowa uruchomiłem windę. Zjechaliśmy do holu w milczeniu, a potem wzrokiem odprowadziłem fiuta z CIA do wyjścia.

Pozostawało tylko jedno pytanie: czy dam radę go obejść? Może jeśli się pospieszę. Natychmiast wyjąłem komórkę i wybrałem numer.

— Al Tunney — odezwał się głos w słuchawce.

— Mówi Alex Cross. Musisz mi wyświadczyć przysługę — powiedziałem.

— Nie — rzucił Tunney i jęknął. Potem spytał: — O co chodzi?

Odpowiedziałem, a wtedy jęknął po raz drugi i wcale mu się nie dziwiłem.

Rozdział 25

— Alex, posuwasz się za daleko — powiedziała Bree.

— Wiem. Taki już jestem. Od zawsze.

Późnym wieczorem rozmawialiśmy podczas przejażdżki po mieście. Lubię jeździć nocą, kiedy rzadnie ruch, bo wtedy na większości alei sto czy nawet sto dziesięć kilometrów na godzinę to bezpieczna prędkość. Gdy wróciliśmy na Fifth Street, czułem się lepiej, ale Bree nadal była podenerwowana. Wciąż przechadzała się po sypialni. Nigdy jej nie widziałem tak wzburzonej i niepewnej siebie.

— Widzisz, chodzi o to, że zawsze byłam drugą stroną w takich dyskusjach. Próbowałam urabiać innych. Po raz pierwszy to ja słucham i zupełnie mnie nie przekonujesz. Alex, ten plan to już przesada. Chcesz jechać za mordercą do Afryki! Nawet w tych okolicznościach to... nawet nie wiem, jak to nazwać.

Próbowałam się odezwać, ale mówiła dalej.

— A wiesz, dlaczego teraz nie kupuję twoich argumentów? Bo ja w twojej sytuacji czasami kłamię. Nie wiem, ile już razy opowiadałam rodzinie, że nie ma się czym martwić i że będę bezpieczna, a naprawdę

nie miałam pojęcia, w co się pakuję. Tak jak ty nie masz pojęcia, co cię czeka w Afryce.

— Masz rację — przyznałem, nie tylko po to, żeby wreszcie przestała chodzić. — Nie będę ci sprzedawał żadnych bajek, Bree, ale daję słowo, że nie zrobię tam nic głupiego.

Od konfrontacji z Erikiem Daną i rozmowy z Tunneym minęło osiem godzin. Tunney umówił mnie z agentem CIA w Nigerii — a następnie powiedział, bym nigdy więcej nie dzwonił.

Miałem w liniach lotniczych pulę mil do wykorzystania, więc to żaden problem. Zadbalem też o urlop w policji. Teraz pozostało mi już tylko przekonać, że to ma sens, dwie najsilniejsze kobiety, jakie znałem — dzisiaj Bree, a jutro Nanę.

Napięcie między mną a Bree było wielkie jak nigdy.

— Co tam niby chcesz osiągnąć? — spytała w końcu.

— Docelowo? Wykorzystać faceta od Tunneya do zorganizowania lokalnej operacji. Następnie, jeśli mi się uda, doprowadzę do aresztowania mordercy. Bree, ja go mogę dorwać. Jest arogancki, myśli, że nikt go nie złapie. To jego słabość.

— Kyle Craig odsiadywał dożywocie, i to wielokrotne. To żadna gwarancja, Alex. Jeśli w ogóle go złapiesz.

Pozwoliłem sobie na uśmiech zażenowania.

— A jednak wciąż wykonujemy swoją robotę, prawda! Staramy się aresztować morderców.

W końcu wziąłem ją za rękę i przyciągnąłem, żeby usiadła obok mnie na łóżku.

— Muszę tam jechać, Bree. Do tej pory zamordował w Waszyngtonie więcej ludzi niż ktokolwiek, z kim się zetknąłem. Wcześniej czy później wróci i zacznie od początku.

— I zabił twoją przyjaciółkę.

— Tak, zabił moją przyjaciółkę. Zabił Ellie Cox... i jej całą rodzinę!
Wreszcie Bree wzruszyła ramionami.

— To jedź. Jedź do Afryki, Alex.

Przytuliliśmy się na długą chwilę i znów sobie przypomniałem,
dlaczego ją kocham. A może także dlaczego teraz od niej uciekam.

Rozdział 26

Spotkał się z białym diabłem w wyłożonej boazerią palarni cygar tuż przy Pennsylvania Avenue, sześć przecznic od Białego Domu. Zamówili drinki i przystawki, a biały wybrał cygaro Partagás.

— Nie masz słabości do cygar? — spytał.

— Nie mam żadnych słabości — odparł Tygrys. — Moja dusza jest czysta.

Biały zareagował śmiechem.

— Pieniądze zostały przelane. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Wyjeżdżasz już?

— Tak, dziś wieczorem. Chętnie wrócę do domu w Nigerii.

Tamten kiwnął głową.

— Nawet w tych niespokojnych czasach? — zapytał.

— Zwłaszcza teraz. Jest dla mnie dużo pracy. A ja lubię się lenić. Ropa daje bogactwo. W każdym razie niewiele mi już brakuje. Według moich standardów.

Biały przyciął cygaro, a Tygrys sączył koniak. Nie miał pewności, ale chyba wiedział, kim jest jego pracodawca. To nie byłby pierwszy raz. Nie wszyscy afrykańscy zleceniobiorecy tej grupy byli rzetelni — ale on tak. Zawsze.

— Jest jeszcze coś.

- Jak zawsze z wami — odparł Tygrys.
- Śledzi cię amerykański policjant.
- Nie pojedzie za mną do Afryki.
- Owszem, pojedzie. Może będziesz go musiał zabić, choć wolałbym nie. Nazywa się Alex Cross.
- Rozumiem. Alex Cross. Niemądrze jechać aż do Afryki tylko po to, żeby zginąć.
- To prawda — odparł biały. — Ty też o tym pamiętaj.

Część druga

Znak krzyża

Rozdział 27

Tygrys był enigmą pod każdym względem, tajemnicą, której nikt nie potrafił zgłębić. Właściwie w Afryce nie ma tygrysów i właśnie temu zawdzięczał swój przydomek. Był jedyny w swoim rodzaju, górował nad wszystkimi innymi zwierzętami, a zwłaszcza nad ludźmi.

Zanim poszedł na studia w Anglii, przez kilka lat mieszkał we Francji, gdzie nauczył się mówić po francusku i angielsku. Odkrył w sobie dar do języków, potrafił zapamiętać niemal wszystko, co usłyszał lub przeczytał. Pierwszego lata we Francji sprzedawał mechaniczne ptaki dzieciom na parkingach przed pałacem w Wersalu. Nauczył się wtedy ważnej lekcji: nienawidzić białego człowieka, a zwłaszcza białych rodzin.

Dziś miał misję w mieście, za którym nie przepadał, ponieważ cudzoziemcy odcisnęli na nim zbyt silne piętno — w Port Harcourt leżącym w rejonie nigeryjskiej delty, gdzie znajdowała się większość szybów naftowych.

Gra się rozpoczęła. Czekala kolejna nagroda.

Czarny mercedes pędził po stromym wzniesieniu ku okolicy zamieszkaney przez bogatych obcokrajowców — i prosto w stronę Tygrysa.

Tygrys jak zawsze cierpliwie czekał na zwierzynę.

Wreszcie wyszedł na jezdnię jak jakiś zawiany pijak. Mercedes musiał się teraz prędko zatrzymać albo w niego uderzyć.

Zapewne dlatego że mężczyzna na drodze był potężny i mógłby wgnieść maskę, szofer w ostatniej chwili wcisnął hamulec.

Przez nieskazitelną czystą przednią szybę Tygrys widział, jak czarny śmieć w liberii go przeklina. Dlatego szybko uniósł pistolet i zastrzelił kierowcę oraz ochroniarza.

Jego zdziczali chłopcy już dopadli tylnych drzwi po obu stronach limuzyny i rozbijali okna łomami.

Następnie otworzyli drzwi i wyciągnęli z wnętrza dwoje krzyczących białych uczniów: chłopca i dziewczynkę w wieku dwunastu, może trzynastu lat.

— Nie robić im krzywdy! Mam inne plany! — krzyknął Tygrys.

Godzinę później chłopiec i dziewczynka znajdowali się w chacie na opuszczonej farmie pod miastem. Nie żyli i nikt by ich nie rozpoznał, nawet gdyby kiedykolwiek ich znaleziono. Zostali ugotowani w oleju. Zleceniodawca zamówił dla nich taką śmierć, zresztą bardzo popularną w Sudanie. Tygrys nie miał żadnych obiekcji.

W końcu wyciągnął telefon i wybrał numer w mieście. Kiedy odebrano, nie pozwolił amerykańskim rodzicom powiedzieć ani słowa.

Nie miał również zamiaru rozmawiać z miejscową policją ani z prywatną firmą, który pracowała dla przedsiębiorstwa naftowego i zapewniała ochronę.

— Jeżeli chcecie jeszcze zobaczyć małego Adama i Chloe, zrobicie dokładnie to, co mówię. Po pierwsze, nie ważcie się nic mówić. Nie chcę słyszeć ani słowa!

Oczywiście jeden z policjantów się odezwał, więc Tygrys przerwał połączenie. Zadzwoni później i nim skończy się dzień, dostanie

pieniądze. Łatwa robota, a Adam i Chloe przypomnieli mu o wstrętnych i chciwych białych dzieciach z Wersalu, które kupowały od niego mechaniczne ptaki.

Nie było mu ich żal, ani trochę. Dla niego to tylko biznes.

Po prostu kolejna nagroda do odebrania.

I dopiero zapowiedź tego, co miało nadejść.

Rozdział 28

Byłem zdeterminowany, by podążyć za szalonym zabójcą i jego gangiem, dokąd tylko zawiedzie mnie ten szlak, ale już widziałem, że to nie będzie proste. Wręcz przeciwnie.

— Zabrałaś mój paszport?! Dobrze zrozumiałem? — zapytałem Nanę. — Naprawdę go ukradłaś?

Zignorowała pytania i postawiła przede mną talerz jajecznicy. Przypalonej i bez tostu. Czyli wojna.

— Zgadza się — powiedziała. — Zachowujesz się jak uparte dziecko, więc tak cię potraktowałam. Przywłaszczyłam — dodała. — Wolę „przywłaszczyłam”, niż „ukradłam”.

Odsunąłem talerz.

— Nano, z rąk tego człowieka zginęła Ellie Cox. I cała jej rodzina. A potem jeszcze jedna rodzina w Waszyngtonie. Nie udawaj, że to nie ma z nami związku.

— Z tobą, Alex. I z twoją pracą. To z nią ma związek.

Nalała sobie pół kubka kawy i ruszyła do swojego pokoju.

— Wiesz, że kradzież paszportu jest niezgodna z prawem?! — zawołałem za nią.

— To mnie aresztuj — odpowiedziała i trzasnęła drzwiami.

Szósta rano, a pierwszą rundę nowego dnia już miałem za sobą.

Zbierało się na to, odkąd po raz pierwszy wspomniałem o możliwości wyjazdu do Afryki. Z początku była powściągliwa — w różnych miejscach domu pojawiały się wycinki z prasy. Pewnego wieczoru w rzeczach do prania znalazłem artykuł z „Time'a” zatytułowany *Zabójcza delta*. Następnego ranka obok kluczy leżała koperta z materiałem BBC opatrzonym nagłówkiem: *Wiele frakcji, brak pokoju w Nigerii*.

Kiedy to zignorowałem, zaczęła prawić kazania — wyliczyła wszystkie potencjalne zagrożenia, zupełnie jakbym sam o prawie wszystkich nie pomyślał: na północy Nigerii muzułmanie zabijali chrześcijan, na wschodzie chrześcijanie brali odwet, uczniowie zlinczowali nauczycielkę chrześcijankę, w Okidży znaleziono masowe groby, policja była skorumpowana i brutalna, a w Port Harcourt codziennie dochodziło do porwań.

Nie o to chodzi, że nie miała racji. Sprawa tych morderstw i tak już była niebezpieczna, a przecież jeszcze nie opuściłem znajomego gruntu. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać w Afryce. Wiedziałem jedynie, że jeśli pojawi się szansa, by zamknąć tego rzeźnika, wykorzystam ją. Kontakt z CIA dał znać, że podejrzany obecnie przebywa w Lagos, a przynajmniej był tam kilka dni temu.

Wykorzystałem pewne znajomości, żeby przyspieszyć rozpatrzenie wniosku wizowego. Następnie wykorzystałem zaoszczędzone siedemdziesiąt pięć tysięcy mil na bilet do Lagos.

Ostatnią przeszkodą pozostała moja osiemdziesięcioośmioletnia babka. Dużą przeszkodą. Tego ranka nie opuściła swojego pokoju, dopóki nie wyszedłem do pracy. Nie chciała nawet rozmawiać o „przywłaszczonym” paszporcie.

Oczywiście bez niego nie mogłem zająć daleko.

Rozdział 29

Tego wieczoru postanowiłem odplacić Nanie pięknym za nadobne. Odczekałem, aż dzieci pójda spać, a wtedy znalazłem ją w ulubionym fotelu z egzemplarzem *Eats, Shoots & Leaves*.

— Co to? — Zmrużyła oczy i spojrzała na szarą kopertę w mojej dłoni, jakby ta ją miała ugryźć.

— Kolejne artykuły prasowe. Chcę, żebyś na nie rzuciła okiem. Dotyczą okropnych rzeczy. Morderstwa, oszustwa, gwałtu... ludobójstwa.

Artykuł, który jej wręczyłem, opisywał między innymi waszyngtońskie morderstwa dokonane przez gang. W kopercie znajdowały się dwa długie, dobrze napisane materiały z „Washington Post”, po jednym o każdej rodzinie. Zawierały fotografie ze szczęśliwszych czasów — kiedy jeszcze wszyscy mieli głowy.

— Alex, już ci mówiłam. Wiem, co się dzieje. Nie chcę o tym dłużej dyskutować.

— Ja też nie.

— Nie musisz rozwiązywać każdej sprawy świata. Choć raz w życiu odpuść.

— Chciałbym.

Położyłem jej kopertę na kolanach, ucałowałem ciepły czubek głowy i poszedłem do łóżka.

— Uparciuch — mruknąłem.

— Rzeczywiście. Więszego od ciebie nie znam.

Rozdział 30

Rano zszedłem na dół około wpół do szóstej. Byłem zaskoczony, że Jannie i Ali już są na nogach. Nana stała przy kuchence odwrócona do mnie tyłem. Pichciła coś cynamonowego o nieodpartym zapachu.

Wyczuwałem zasadzkę.

Jannie nosiła szklanki soku pomarańczowego z blatu na stół, gdzie leżały sztucce i serwetki dla pięciu osób.

Ali już siedział na swoim miejscu. Pochłaniał wielką miskę mleka z płatkami. Pomachał mi ociekającą łyżką.

— Już jest!

Et tu, Ali...

— Cóż za miła niespodzianka — powiedziałem dobitnie. Nana nie zareagowała, ale na pewno mnie słyszała. Dopiero wtedy zauważyłem przyklejoną do drzwi lodówki mapę Afryki z żółtą ramką National Geographic.

A na stole, obok sztucców i serwetek, leżał mój paszport.

— No cóż — powiedziała Nana. — Miło cię było poznać.

Rozdział 31

Agent CIA Ian Flaherty „opiekował się” zrozpaczoną rodziną w nigeryjskim Port Harcourt. Porwano ich nastoletnie dzieci — chłopca i dziewczynkę. Agent i rodzice siedzieli teraz w salonie i czekali na żądanie okupu. Atmosfera była skrajnie rozpaczliwa.

O nie, pomyślał Flaherty. Zadzwoiła jego komórka i wszyscy spojrzeli na niego z niepokojem i troską.

— Przepraszam, muszę odebrać. Drugie śledztwo — powiedział, po czym wyszedł do bujnego ogrodu, który przylegał do salonu.

Dzwonili z Ameryki — kolejna sytuacja awaryjna. Flaherty rozpoznał głos w słuchawce: to Eric Dana, jego zwierzchnik, przynajmniej pod względem rangi.

— Mamy tu trudną sytuację. Do Nigerii jedzie detektyw z wydziału zabójstw, Alex Cross. Przyleci lotem Lufthansy numer pięćset sześćdziesiąt cztery o szesnastej trzydzieści. Czy Tygrys jest w Lagos?

— zapytał Dana.

— Tak — odparł Flaherty.

— Widziałeś go?

— Owszem. Czy mam czekać na tego policjanta na lotnisku?

— Zostawiam to tobie.

— Chyba najlepiej, żebym po niego wyszedł. Alex Cross, powiadasz. Pomyślę.

— Dobrze, ale masz go pilnować. Nie chcę, żeby coś mu się stało... jeśli da się temu zapobiec. Jest lubiany i ma koneksje. Nie chcemy u was bałaganu.

— Za późno — powiedział Flaherty i wrednie, cynicznie zachichotał.

Wrócił do pocieszania rodziców, których dzieci prawdopodobnie już nie żyły. Ale i tak zapłaca.

Rozdział 32

Cóż, wreszcie zwrot w tym śledztwie. Ale na lepsze czy gorsze?

Samolot z Waszyngtonu do Frankfurtu był niemal pełen. Panował niewiarygodny hałas, przynajmniej przez pierwszą godzinę. Przez jakiś czas zastanawiałem się, kto z pasażerów leci dalej do Afryki, ale wkrótce powróciłem do mrocznych myśli.

Prze głowę, niczym rozbudowane notatki ze śledztwa, przemknęło mi po kolei wszystko, co doprowadziło do tej wycieczki: poczynając od mojej znajomości z Ellie podczas studiów w Georgetown, a kończąc na niechętym przyzwoleniu Nany dziś rano.

Na kolanach trzymałem jej prezent pożegnalny — egzemplarz wspomnień Wole'a Soyinki, *Musisz wyruszyć o świecie*.

Założyła stronę zdjęciem rodzinnym wykonanym mniej więcej rok temu. Szeroko uśmiechnięci Jannie, Damon i Ali pozowali z Kaczorem Donaldem podczas wycieczki do Disneylandu. Podkreśliła jedno zdanie:

T'agba ba nde, a a ye ogun ja.

„Osiągając wiek dojrzały, człowiek przestaje sobie pozwalać na tożenie wojen”.

Chyba w ten sposób chciała mieć ostatnie słowo. Tylko że na mnie ta sentencja podziałała odwrotnie. Dodała mi determinacji, by podczas tej podróży osiągnąć coś ważnego.

Choćby wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, zamierzałem odnaleźć morderców Ellie i jej rodziny. Musiałem. W końcu byłem Pogromcą Smoków.

Rozdział 33

— Ach, Soyinka. Fascynujący pisarz. Czytał pan wcześniej coś jego autorstwa?

Nie zauważyłem, że ktoś zatrzymał się w przejściu przy moim fotelu. Nieznacznie podniosłem wzrok i ujrzałem najniższego księdza, jakiego kiedykolwiek widziałem. Nie najniższego mężczyznę, ale księdza na pewno. Jego koloratka znajdowała się dokładnie na wysokości moich oczu.

— Nie, książka jest pierwsza — powiedziałem. — Dostałem ją na pożegnanie od babci.

Ksiądz uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego oczy mocniej zalśniły.

— Czy jest Nigeryjką?

— Po prostu czytana Amerykanką.

— Ach tak, nikt nie jest doskonały — powiedział i roześmiał się, nim zaistniało podejrzenie, że chce mnie urazić. — *T'agba ba nde, a a ye ogun ja*. Wie pan, to jorubańskie przysłowie.

— Czy pan jest Jorubą? — spytałem.

Wydawało mi się, że mówi z nigeryjskim akcentem, ale nie miałem tak dobrego ucha, by odróżnić brzmienie języka joruba od igbo, hausa czy wielu innych.

— Jorubańskim chrześcijaninem — odparł, po czym mrugnął i

dodał: — Albo chrześcijańskim Jorubą, jeśli spytać biskupa. Ale proszę na mnie nie donosić. Da mi pan słowo?

— Nikomu nie powiem. Tajemnica księdza jest bezpieczna.

Wyciągnął rękę, jakby chciał mi ją podać, ale potem oburącz złapał moją dłoń. Miał drobne dłonie, lecz ich uścisk był przyjazny, a może wyrażał coś więcej.

— Czy przyjął pan Jezusa Chrystusa jako zbawcę, detektywie Cross?

Cofnąłem dłoń.

— Skąd ksiądz zna moje nazwisko?

— Bo jeśli nie, to biorąc pod uwagę cel pana podróży, to może być dobry moment. To znaczy na przyjęcie Jezusa Chrystusa jako zbawcy. — Wykonał nade mną znak krzyża. — Jestem ksiądz Bombata. Niech Bóg będzie z panem, detektywie. W Afryce będzie pan potrzebował Jego pomocy, daję słowo. To dla nas bardzo zła pora. Może nawet czas wojny domowej.

Zaprosił mnie na wolny fotel obok siebie. Rozmawialiśmy przez wiele godzin, ale nie dowiedziałem się, skąd zna moje nazwisko.

Rozdział 34

Po osiemnastu godzinach od wylotu z Waszyngtonu — choć mnie wydawało się, że upłynęło już kilka dni — samolot z Frankfurtu wreszcie wylądował na lotnisku imienia Murtali Muhammada w nigeryjskim Lagos.

Wcześniej przez okno samolotu obserwowałem niewiarygodne, hipnotyzujące widoki Sahary, sawann, które oddzielały pustynię od wybrzeża, oraz równie rozległej Zatoki Gwinejskiej zaczynającej się tuż za miastem.

Potem, gdy wysiadłem z samolotu na płytę lotniska, nagle poczułem się, jakbym był w dowolnym mieście Ameryki. Równie dobrze to mógł być Fort Lauderdale na Florydzie.

— Niestety, nie mogę już pomóc, bracie. — Ksiądz Bombata odszedł i na pożegnanie znów uścisnął mi dłoń. Powiedział, że aby przyspieszyć odprawę, ktoś na niego czeka. — Włóż do pustej kieszeni dwieście nair, przyjacielu — poradził.

— Po co? — spytałem.

— Czasami odpowiedzią jest Bóg. Kiedy indziej pieniądze.

Filigranowy ksiądz, uśmiechnięty jak zawsze, podał mi wizytówkę, po czym odwrócił się i odszedł, po drodze ostatni raz machając mi na pożegnanie.

Dowiedziałem się, co miał na myśli, trzy godziny później, bo

właśnie tyle czasu spędziłem, pocąc się w kolejce do kontroli granicznej. Na blisko czterysta osób przypadało tylko dwóch powolnych celników.

Część pasażerów przechodziła błyskawicznie, podczas gdy innych zatrzymywano na przodzie kolejki nawet na pół godziny. Dwukrotnie widziałem, jak uzbrojony strażnik bocznymi drzwiami wyprowadza kogoś, komu nie pozwolono wyjść do głównego terminalu.

Gdy w końcu nadeszła moja kolej, podałem celnikowi kartę przybycia i paszport.

— Dobrze, a pański paszport? — spytał.

W pierwszej chwili byłem zdezorientowany, ale przypomniałem sobie słowa ojca Bombaty i zrozumiałem, o co chodzi. Powstrzymałem grymas. Celnik domagał się łapówki.

Przesunąłem po ladzie dwieście nair. Wziął pieniądze, przybił pieczętkę i zawołał kolejną osobę, więcej na mnie nie spoglądając.

Rozdział 35

Cichy gwar rozbrzmiewający, gdy czekałem na kontrolę graniczną, oraz frustracja, która mi wtedy towarzyszyła, to nic w porównaniu z nagłym zderzeniem ze zgiełkiem i rozpędzonym tłumem po przejściu przez umazane śladami dłoni szklane drzwi prowadzące do głównego terminalu.

Właśnie tam po raz pierwszy poczułem, że znajduję się w trzynastomilionowej metropolii. I chyba połowa z tych trzynastu milionów była tego dnia na lotnisku.

Więc to jest Afryka, pomyślałem. I gdzieś tutaj jest mój zabójca. Albo raczej: zabójcy.

Po drodze do punktu odbioru bagażu zatrzymało mnie kolejno aż pięciu „urzędników”. Każdy prosił o potwierdzenie tożsamości. Mówili w zasadzie to samo: „Visa, American Express, może być każda karta”. Wszyscy najwyraźniej wiedzieli, że jestem Amerykaninem. Domagali się drobnej łapówki, a może uważali to za napiwek.

Kiedy wreszcie dotarłem do taśmociągu, zabrałem torbę podróżną i przecisnąłem się przez napierający tłum, głęboki na dwadzieścia osób, kusilo mnie, żeby wygospodarować jeszcze kilka nair dla obdartego chłopaka w starej czapce bagażowego, który zapytał mnie, dokąd zanieść bagaże.

Uznałem jednak, że lepiej nie, i parłem dalej z walizkami. Pilnowałem swoich rzeczy. Obcy w obcym kraju, pomyślałem, chociaż jakoś dziwnie cieszyłem się, że tu jestem. Zapowiadało się na nie lada przygodę. To dla mnie coś zupełnie nowego. Nie znałem zasad.

Rozdział 36

Na dworze nie czekała mnie ulga. Powietrze śmierdziało dieslowskimi spalinami i nic dziwnego: gdzie tylko spojrzeć, otaczała mnie masa starych samochodów, ciężarówek i jasnożółtych autobusów. Wzdłuż jadących aut chodzili miejscowi w każdym wieku. Sprzedawali wszystko, od gazet przez ubrania dziecięce aż po używane buty.

— Alexander Cross?

Obróciłem się, oczekując, że ujrzę Iana Flaherty'ego, czyli mój nigeryjski kontakt z CIA. W końcu CIA jest dobra w podchodzeniu ludzi, prawda?

Zamiast niego stało przede mną dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy. Zwykli policjanci, a nie celnicy. Ubrani byli w czarne mundury z szewronami na naramiennikach koszul oraz berety. Obaj mieli przy sobie broń półautomatyczną.

— Tak, nazywam się Alex Cross — powiedziałem.

To, co się wtedy stało, przeczyło wszelkiej logice. Wyrwano mi torbę podróżną. I małą walizkę. Jeden z policjantów obrócił mnie i poczułem kajdanki na nadgarstkach. Następnie mocne uszczyknięcie, gdy je zbyt mocno zatrzęsnięto.

— Co się dzieje? — Usiłowałem się obrócić, by spojrzeć na policjantów. — Co to ma znaczyć? Proszę mi powiedzieć.

Funkcjonariusz trzymający mój bagaż uniósł rękę, jakby przywoływał taksówkę. Biała czterodrzwiowa furgonetka Toyota natychmiast zatrzymała się przy krawężniku.

Gliniarze otworzyli tylne drzwi, pochylili mi głowę i wepchnęli mnie do środka, po czym wrzucili tam moją torbę. Jeden z policjantów został na chodniku, podczas gdy drugi wsiadł obok kierowcy i odjechaliśmy.

Nagle zrozumiałem — zostałem porwany!

Rozdział 37

To było nierealne. To było szaleństwo.

— Dokąd mnie zabieracie? O co tu chodzi? Jestem amerykańskim funkcjonariuszem policji — protestowałem z tyłu furgonetki.

Nikt nie zwracał na to uwagi.

Pochyliłem się w fotelu, a wtedy zostałem mocno uderzony pałąk w klatkę piersiową i później dwa razy w twarz.

Poczułem — i usłyszałem — jak pęka mi nos!

Krew natychmiast trysnęła z twarzy na koszulę. Nie wierzyłem, że to się w ogóle dzieje.

Gliniarz na przednim siedzeniu obrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Miał dziki wzrok i był gotów znów zamachnąć się pałąk.

— Masz być cicho, białasie. Pierdolony Amerykaninie, pierdolony terrorysto, pierdolony policjancie.

Słyszałem, że niektórzy tutejsi nie lubią, gdy amerykańscy Murzyni nazywają siebie Afroamerykanami. Teraz poczułem to na własnej skórze. Ciężko oddychałem przez usta, odkrtuszałem krew i usiłowałem się skupić, choć kręciło mi się w głowie. Owiewały mnie wilgotne powietrze i dieslowskie spaliny; furgonetka pędziła zygzakiem pomiędzy samochodami przed lotniskiem, a kierowca co chwila wciśkał klakson.

Za oknem śmigaly białe, czerwone i zielone auta, a także kilka kolejnych żółtych autobusów. Wzdłuż drogi chodziły kobiety z niemowlętami zawieszonymi nisko na plecach. Niektóre na swych *gele* nosiły kosze. Widziałem wiele chat, ale również nowoczesne budynki, a także jeszcze więcej samochodów, autobusów, ciężarówek i wozów ciągniętych przez zwierzęta.

Wokół mnie dzień jak co dzień.

Obawiałem się, że w furgonetce też.

Nagle znów dopadł do mnie ten gliniarz. Przewiesił się przez siedzenie i przewrócił mnie na bok. Przygotowałem się na kolejny cios pałką. Zamiast niego poczułem, że oklepuje mnie od góry do dołu.

Następnie wysunął z kieszeni mój portfel.

— Ej! — krzyknąłem.

Wyciągnął wszystkie moje pieniądze — trzysta dolarów amerykańskich i pięćset nair — po czym rzucił mi pusty portfel w twarz. Poczułem świdrujący ból głęboko w czaszce.

Znów odkrztusiłem krew. Chlapnęła na siedzenie, przez co zarobiłem kolejny cios w plecy.

Nagle zrozumiałem przeznaczenie granatowej płachty z nylonu rozciągniętej na tylnym siedzeniu. To na plamy krwi.

Nie wiedziałem, gdzie jestem, nie miałem pojęcia, dlaczego to wszystko się dzieje ani co powinienem teraz zrobić.

Choć miałem świadomość, że to nic nie da, spytałem ponownie:

— Dokąd mnie wieziecie? Jestem amerykańskim policjantem! Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa!

Funkcjonariusz warknął coś do kierowcy w lokalnym dialekcie. Skręciliśmy, a ja uderzyłem w drzwi auta, gdy gwałtownie zatrzymało się na poboczu.

Obaj wysiedli! Jeden z nich szarpnięciem otworzył drzwi z mojej strony. Wypadłem na ziemię. Skuty kajdankami, nie mogłem zamortyzować upadku.

Czyjeś silne ręce wzięły mnie pod pachy. Gliniarz — czy, kimkolwiek był w rzeczywistości — podniósł mnie na kolana. Z wnętrza mijającego nas, zatłoczonego kombi Audi przyglądał nam się mały chłopiec.

— Jesteś odważnym człowiekiem. Równie odważnym jak głupim, pierdolony białasie.

Teraz mówił kierowca. Uderzył mnie mocno otwartą dłonią w twarz, najpierw z lewej strony, a potem z prawej. Z trudem utrzymałem się w pionie.

— Świetnie wywiązujecie się z zadania... — odezwałem się.

Na dużo sobie pozwalałem. Już mnie nie obchodziło, co będzie dalej.

Otrzymałem mocny cios pięścią w skroń. Usłyszałem dziwne chrupnięcie wewnątrz czaszki, potem kolejne.

Nie wiem, ile uderzeń nastąpiło potem.

Straciłem przytomność chyba przy czwartym.

Rozdział 38

Nierealne. Niespotykane. Niewiarygodne.

Kiedy się obudziłem, było ciemno. Wszystko mnie bolało, ale zwłaszcza okolice nosa. Z początku miałem w głowie pustkę. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie w Afryce, nie gdziekolwiek. Myślałem tylko: Skąd ja się tu, u diabła, wziąłem?

A potem: Gdzie jest „tu”? Dokąd mnie zabrano?

Uniosłem dłoń do skroni. Zaszczypało mnie, gdy dotknąłem otwartej rany, i wtedy przypomniałem sobie o kajdankach. Ale już ich nie miałem.

Leżałem na plecach na twardej posadzce, kamiennej albo może z cementu.

Ktoś patrzył na mnie z góry. W niemal pozbawionym oświetlenia pomieszczeniu nie dostrzegałem twarzy. Widziałem tylko, że to ciemnoskóry mężczyzna.

Nie jeden, zrozumiałem, lecz wielu. Stało wokół mnie co najmniej kilkunastu. Wtedy do mnie dotarło! To więźniowie — tak jak ja.

— Białas się obudził — powiedział ktoś.

Domyślałem się, że wydał mnie ubiór. Rozpoznali we mnie Amerykanina. Określenie „białas” to wyzwisko, które słyszałem już podczas jazdy.

— Gdzie jestem? — zapytałem chrapliwym głosem. — Wody! — poprosiłem.

— Dopiero rano — powiedział ten, który odezwał się wcześniej.

Przyklęknął i pomógł mi usiąść. Miałem wrażenie, że klatka piersiowa zaraz mi eksploduje. Dokuczał mi potworny ból głowy, który na pewno nie miał szansy sam minąć.

Zorientowałem się, że przebywam w ponurej, brudnej celi. Pomimo złamanego nosa czułem niewiarygodnie silny smród. Zapewne pochodził z niewidocznej latryny gdzieś za rogiem. Płytko oddychałem przez usta.

Liche światło wpadało przez okratowane drzwi. Nieliczni szczęśliwcy chrapali na przymocowanych do ściany piętrowych łózkach.

— Która godzina? — spytałem.

— Może północ. Kto to wie? I co za różnica? I tak wszyscy jesteśmy martwi.

Rozdział 39

Gdy w głowie trochę mi się rozjaśniło, zorientowałem się, że wciąż nie mam portfela. Ani paska.

Ani — co zrozumiałem, gdy zacząłem dotykać głowy — kolczyka w lewym uchu. W miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się małe srebrne kółko, prezent urodzinowy od Jannie, teraz był strup.

Dokąd mnie zabrali? Jak daleko od lotniska? Czy wciąż przebywałem w Nigerii?

Dlaczego nikt ich nie powstrzymał przed porwaniem? Czy coś takiego było na porządku dziennym?

Nie znałem odpowiedzi na żadne z tych pytań.

— Czy jesteśmy w Lagos? — spytałem w końcu.

— Tak. W Kirikiri. Jesteśmy więźniami politycznymi. Tak nam powiedziano. Jestem dziennikarzem. A ty?

Z końca celi zgrzytnął metal. Drzwi otworzyły się szeroko.

W świetle cementowego korytarza przystanęło dwóch strażników w niebieskich mundurach. Zaraz potem weszli do środka i sami stali się cieniami. Po kilku sekundach jeden z nich wycelował w nas latarkę.

Światło trafiło mnie w oczy i oślepiło na kilka sekund.

Byłem pewien, że przyszli po mnie, ale chwycili mężczyznę

siedzącego dwa miejsca dalej. Tego, który mówił, że jest dziennikarzem.

Gwałtownie postawili go na nogi. Jeden ze strażników wyjął pistolet i przyłożył mu do skroni.

— Nikomu nie wolno rozmawiać z Amerykaninem. Nikomu! — powiedział do wszystkich w celi. — Słyszycie?

Patrzyłem z niedowierzaniem, jak strażnik okłada więźnia kolbą pistoletu, dopóki ten nie stracił przytomności. Następnie wyciągnięto go z celi.

Większość więźniów wokół mnie zareagowała cichą akceptacją, ale kilku jęczało, przykrywając twarze dłońmi. Nikt nie drgnął. Wciąż słyszałem, że niektórzy chrapią.

Pozostałem na miejscu. Trzymałem się, póki bezwzględni strażnicy nie wyszli. Wtedy zrobiłem jedyną rzecz, do której byłem zdolny — osunąłem się z powrotem na podłogę. Każdy płytki, gwałtowny oddech wywoływał w klatce piersiowej kolejne ukłucie bólu.

W jakież piekło się wpakowałem?

Rozdział 40

Chciałbym móc powiedzieć, że pierwszą noc w celi więziennej w Kirikiri pamiętam jak przez mgłę.

Jest wręcz przeciwnie. Nigdy nie zapomnę ani sekundy.

Najgorsze było pragnienie, w każdym razie tej pierwszej nocy. Miałem wrażenie, że przelyk mi się skleja. Odwodnienie zżerało mnie od środka. Szczury i przerośnięte komary próbowały dokonać tego samego z zewnątrz.

Przez całą noc moja głowa i klatka piersiowa pulsowały z regularnością metronomu, a poczucie beznadziei mogło mnie dopaść, gdybym tylko na chwilę stracił czujność lub, broń Boże, zdrzemnął się na pół godziny.

Czytałem wystarczająco dużo raportów Human Rights Watch, żeby wiedzieć co nieco o warunkach panujących w takich więzieniach — ale przepaść między wiedzą a doświadczeniem ich na własnej skórze jest ogromna. To prawdopodobnie najgorsza noc mojego życia, a przecież już wcześniej miewałem naprawdę podłe. Spędziłem czas między innymi z Kyle'em Craigiem, Garym Sonejim i Casanovą.

Gdy wreszcie nastał świt, wpatrywałem się w pojedyncze, zakratowane okno jak w telewizor. Jedyłą namiastką optymizmu

napawała obserwacja powolnej zmiany z czerni w szarość, a potem w błękit.

Na progu stanął żyłasty strażnik. Przypominał mi bardzo wysokiego pasikonika.

— Cross! Alexander! — wrzasnął na całe gardło. — Cross! Tutaj! Natychmiast!

Powoli się podniosłem. Trudno było w tej chwili robić wrażenie nawet średnio sprawnego. Skupiłem się na bólu: włosy na torsie przykleiły się do zaschniętej krwi na koszuli i wyrzywały się jeden po drugim. To czysty instynkt, ale dzięki niemu na gumowych nogach powlokłem się przez celę.

Następnie wyszedłem za strażnikiem na korytarz. Skręcił w prawo, a kiedy zobaczyłem przed nami ślepy zaułek, porzuciłem wszelką nadzieję, że wyjdę z tego więzienia.

Może w ogóle.

— Jestem amerykańskim funkcjonariuszem policji — znów zacząłem powtarzać swoją śpiewkę. — Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

I wtedy do mnie dotarło: czy to dlatego trafiłem do więzienia?

Rozdział 41

To naprawdę było piekło. Minęliśmy kilkoro złowrogo wyglądających metalowych drzwi, takich samych jak te w mojej celi. Zastanawiałem się, ilu więźniów się tu przetrzymuje oraz jak wielu z nich to Amerykanie. Większość strażników mówiła trochę po angielsku, więc przypuszczałem, że nie jestem jedyny.

Tylko ostatnie drzwi nie miały zamka. Przed nimi stało stare krzesło biurowe z niemal przerdzewiałym siedzeniem.

— Do środka — warknął strażnik. — No dalej, szybko... detektywie.

Kiedy chciałem odsunąć krzesło z drogi, on wepchnął mi je w ręce. Niech i tak będzie. Przynajmniej nie musiałem siadać na podłodze, a w tej chwili nie miałem ochoty stać.

Kiedy wszedłem, zamknął drzwi i sądząc po dźwięku, odszedł.

Pomieszczenie przypominało celę — ale było mniej więcej dwa razy mniejsze i puste. Cementową posadzkę i kamienne ściany pokrywały ciemne smugi, które zapewne były źródłem zgniłego smrodu.

Brakowało tu latryny. Być może dlatego, że całe pomieszczenie kiedyś nią było.

Znów obejrzałem się na drzwi z szarego metalu. Skoro nie miały

zamka, czy próba wyjścia okazałaby się większym głupstwem niż siedzenie i oczekiwanie na to, co się stanie?

Może nie, ale brakowało pewności.

Już prawie wstałem, kiedy usłyszałem kolejne kroki. Znowu usiadłem. Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia weszło dwóch policjantów — w czarnych mundurach zamiast niebieskich uniformów strażników więziennych. Instynkt podpowiadał mi, że to zmiana na gorsze.

To samo mówiły surowe, wkurzone miny obu mężczyzn.

— Cross? Alexander? — warknął jeden z nich.

— Czy mógłbym dostać trochę wody? — spytałem.

W tej chwili niczego na świecie nie pragnąłem bardziej. Ledwie mówiłem.

Jeden z funkcjonariuszy, w ciemnych lustrzankach na nosie, spojrzął na towarzysza, który pokręcił głową.

— O co jestem oskarżony? — zapytałem.

— Głupie pytanie — powiedział ten w lustrzankach. Żeby to zilustrować, drugi z policjantów podszedł i wbił mi pięść w brzuch. Straciłem oddech, zanim jeszcze uderzyłem o ziemię jak suchy worek.

— Podnieś go!

Ten w lustrzankach poderwał mnie bez trudu, po czym potężnymi łapami objął mnie od tyłu za ramiona. Gdy nadszedł kolejny cios, podtrzymał mnie, żebym nie upadł, a jednocześnie zadbał o to, by moje ciało przyjęło cały impet uderzenia. Natychmiast zwymiotowałem i aż się trochę zdziwiłem, że miałem jeszcze co zwrócić.

— Mam pieniądze — powiedziałem, by wypróbować metodę, która już raz zadziałała w tym kraju przy kontroli celnej.

Ważniejszy z policjantów był ogromny — tak wysoki jak Sampson, a do tego miał obwisły brzuch jak Idi Amin. Spojrzał wzdłuż własnego cielska prosto w moje oczy.

— Pokaż.

— Nie tutaj — odparłem. Flaherty, mój kontakt z CIA, rzekomo założył mi depozyt pieniężny w banku w Lagos, który w tej chwili równie dobrze mógł być milion kilometrów stąd. — Ale mogę je przynieść...

Wielki policjant grzmotnął mnie łokciem w szczękę. Potem poczułem kolejne miażdżące uderzenie w brzuch. Nie mogłem oddychać.

Cofnął się i pokazał temu w lustrzankach, żeby się odsunął. Ze zwinnością, której nie spodziewałbym się po tak roslym i grubym mężczyźnie, kopnął wysoko i trafił mnie butem wprost w klatkę piersiową. Straciłem resztki tchu. Czulem się, jakby mnie zmiażdżono.

Bardziej usłyszałem, niż zobaczyłem, że policjanci wychodzą. To wszystko. Zostawili mnie na podłodze. Żadnego przesłuchania, żadnych żądań, żadnych wyjaśnień.

Żadnej nadziei?

Rozdział 42

Gdy wróciłem do celi, dostałem miskę tapioki i kubek wody. Błyskawicznie wypilem wodę, ale okazało się, że potrawy z manioku, ważnego afrykańskiego warzywa, nie jestem w stanie zjeść. Zaciskało mi się gardło, gdy próbowałem przełknąć stały pokarm.

Niedaleko mnie kręcił się młody więzień i przyglądał mi się. Siedząc plecami do ściany, wyciągnąłem rękę z miską i szepnąłem tak cicho, by ledwie mnie usłyszał:

— Chcesz?

— Sławimy maniok, wspaniały maniok — wysapał, biorąc miskę.

— To ze sławnego wiersza, którego uczymy się w szkole.

Przysiadł obok mnie. Obaj obserwowaliśmy drzwi.

— Jak się nazywasz? — spytałem.

— Sunday, proszę pana.

Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, a może nawet tyle nie. Mimo brudnego ubrania wyglądał mi na kogoś z klasy średniej. Na obu policzkach zauważyłem plemienne blizny w postaci trzech pasów.

— Trzymaj. Ale lepiej, żeby nie widzieli, jak ze mną rozmawiasz.

— Pieprzyć ich — odparł. — Co mi zrobią? Wsadzą mnie do więzienia?

Jadł prędko, rozglądając się, jakby ktoś miał mu zabrać miskę. A może wpaść do celi i go pobić.

— Od jak dawna tu jesteś? — spytałem, gdy skończył.

— Od dziesięciu dni. Może już jedenastu. Tutaj wszyscy są nowi, czekają na przeniesienie.

To ciekawa wiadomość.

— Przeniesienie? Dokąd?

— Do zakładu o zastrzonym rygorze. Gdzieś na prowincji. A może będzie jeszcze gorzej. Nie wiemy. Może wszyscy trafimy do rowu.

— Ile to trwa? Zanim przeniosą. Co się dzieje tutaj? Spojrzał na podłogę i wzruszył ramionami.

— Może dziesięć dni. Chyba że ma pan *egunje*.

— *Egunje?*

— Łapówkę. Pieniądze dla strażników. A może ktoś wie, że pan tu jest? — Dwukrotnie pokręciłem głową. — No to ma pan wielkie *wahala*. Tak jak ja. Pan nie istnieje. Cicho. Idzie strażnik.

Rozdział 43

Kiedy strażnicy obudzili mnie trzeciego poranka, sami musieli mnie podźwignąć na nogi. Nie miałem zamiaru iść z własnej woli. Nie na własną egzekucję. Klatka piersiowa wciąż bolała od wczorajszego pobicia, a w nosie rozwijała się poważna infekcja.

Tym razem po wyjściu z celi skręciliśmy w lewo. Nie wiedziałem, czy to dobra wiadomość, czy dużo gorsza niż dotychczas.

Szedłem za człowiekiem pasikonikiem po stromych kamiennych schodach, a potem przez kolejny korytarz. Skręciliśmy parę razy i pomyślałem, że samodzielnie nigdy bym się stąd nie wydostał.

Wreszcie znaleźliśmy się na czworokątnym dziedzińcu — szerokim kawale wypalanej słońcem ziemi, z której tu i ówdzie wystawały kępki chwastów. Otaczał go trzymetrowy płot zwieńczony wstęgami drutu kolczastego. Jeśli to miał być spaceriak, to naprawdę żałosny.

Tak czy inaczej, w jasnym świetle ledwie co widziałem. Był upał, co najmniej trzydzieści pięć stopni, jeśli nie czterdzieści parę.

Strażnik zatrzymał się dopiero przed wysoką, zwieńczoną drutem kolczastym bramą na przeciwległym końcu dziedzińca. Zamknięte

drzwi prowadziły do korytarza w budynku, ten do kolejnych drzwi, potem była brama, a za nią w oddali coś jakby parking.

Spytałem Pasikonika, co się dzieje. Nie odpowiedział. Otworzył tylko drzwi i przepuścił mnie.

Potem je zatrzasnął, zamykając mnie w kolejnym korytarzu.

— Sprawa załatwiona — powiedział.

— Jaka sprawa?

— Twoja.

Ruszył z powrotem, skąd przyszliśmy, zostawiając mnie samego. Serce zaczęło mi bić szybciej i cały się spiąłem. Miałem wrażenie, że to już koniec, w ten czy inny sposób.

Nagle po prawej stronie otworzyły się drzwi. Wytknął przez nie głowę kolejny strażnik. Skinął na mnie niecierpliwie.

— Wchodź, wchodź!

Gdy się zawałałem, pociągnął mnie za ramię.

— Głuchy jesteś? Czy głupi? Właź do środka.

Znalazłem się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Doznałem szoku termicznego i zrozumiałem, że mężczyzna po prostu chciał czym prędzej zamknąć drzwi.

Stałem w całkiem zwyczajnym biurze. Były tam dwa drewniane biurka i kilka szaf na akta. Drugi strażnik, pochylony nad papierami, ignorował mnie. W pokoju znajdował się także pierwszy biały człowiek, którego widziałem od wyładowania w Lagos.

To cywil ubrany w lekkie spodnie, koszulę na guziki i ciemne okulary. Zgadywałem, że jest z CIA.

— Flaherty? — spytałem, ponieważ sam nic nie powiedział.

Rzucił mi mój pusty portfel. Następnie w końcu się odezwał:

— Jezu, wyglądasz okropnie. Jesteś gotowy stąd wyjść?

Rozdział 44

Byłem ze wszech miar gotów opuścić to koszmarnie więzienie, ale jednocześnie czułem się oszołomiony wszystkim, co przydarzyło mi się od przylotu do Lagos.

— Co? Jak mnie znalazłeś? — spytałem Flaherty'ego, jeszcze zanim opuściliśmy klimatyzowany gabinet. — Co tu się dzieje? Co to było?

— Nie teraz.

Podszedł do drzwi, otworzył je i wskazał gestem, żebym szedł pierwszy. Strażnicy nawet nie podnieśli wzroku. Jeden coś skrobał w aktach, a drugi gadał przez telefon. W czeluściach piekielnych dzień jak co dzień.

Gdy tylko drzwi się za nami zamknęły, Flaherty złapał mnie za ramię.

— Potrzebujesz pomocy?

— Jezu, Flaherty, dziękuję.

— Złamali ci nos?

— Takie mam uczucie.

— I na to wygląda. Znam pewnego faceta, zajmie się tym. Trzymaj. — Podał mi buteleczkę wody. Zacząłem pić łapczywie. — Powoli, kolego.

Skierował mnie do białawego peugeota 405, który stał niedaleko

pod drzewem. Moja torba podróżna już leżała na tylnym siedzeniu.

— Dziękuję — powtórzyłem. — Jak to zrobiłeś? — spytałem, gdy ruszyliśmy.

— Kiedy nie pojawiłeś się w czwartek, uznałem, że jest tylko kilka możliwości. Za stówę dostałem twoje nazwisko. Za kolejne pięćset cię wydostałem.

Wyjął wizytówkę z kieszeni na piersi i podał mi ją. Z Citibanku z adresem w Lagos. Na odwrocie niebieskim długopisem napisano: ACROSS9786EY4,

— Lepiej zmień to hasło. I ściągnij tu jeszcze z tysiąc dolarów, jeśli możesz.

— A moja rodzina? — Nagle przypomniałem sobie o wszystkich naraz. — Rozmawiałeś z nimi? Wiedzą, co się dzieje?

— Słuchaj, nie zrozum tego źle, ale ja nie jestem twoim opiekunem. Wiem, pewnie myślisz, że przeszedłeś osiemnasty krąg piekła, ale z takimi sprawami nie możesz na mnie liczyć, dobra? Nie chcę być niemily. Ale tak tu teraz jest. Sporo się dzieje.

Wysunął z paczki camela light, przypalił i wydmuchnął nosem dwie strużki dymu.

— Możesz do nich zadzwonić z hotelu. Do rodziny.

— Wzrusza mnie twoje współczucie.

Uśmiechnął się, patrząc przed siebie. Chyba się rozumieliśmy. Najwyraźniej słyszał w Lagos gorsze i smutniejsze historie niż moja. Zapewne o wiele gorsze.

— Masz tu jakieś jedzenie? — zapytałem.

Otworzył schowek. Wewnątrz znajdowała się puszka proteinowego napoju czekoladowego. Był ciepły i nieco grudkowaty, ale nigdy w życiu nie miałem w ustach nic smaczniejszego.

Odchyliłem głowę, zamknąłem oczy i po raz pierwszy od trzech dni spróbowałem się odprężyć, a może nawet zacząć trzeźwo myśleć o śledztwie oraz tym, co mi się przydarzyło.

Rozdział 45

Z gorączkowego, nieprzyjemnego, skąpanego w pocie snu obudziło mnie głucho grzmotnięcie.

Minęło chyba tylko kilka minut. Gwałtownie otworzyłem oczy — w porę, by zobaczyć, jak stary adidas odbija się od dachu i ląduje na masce naszego peugeota.

— Co, do cholery? — Flaherty obrócił głowę.

Utknęliśmy w okropnym korku. Sznur samochodów ciągnął się jak okiem sięgnąć w obie strony.

— Area Boys. Powinienem się domyślić. — Zmarszczył czoło i wskazał coś palcem.

Najpierw zobaczyłem ich w bocznym lusterku. Co najmniej sześciu. Przemieszczali się od samochodu do samochodu, przy niektórych przystawali, inne mijali. Okradali kierowców i pasażerów.

— Area Boys? — spytałem.

— To coś jak gangi, tylko bez świecidełek. Drobne zbiry. Nie przejmuj się.

Dwa samochody za nami chłopak o płaskiej twarzy, ubrany w koszulkę Chicago Bulls, wetknął rękę przez okno po stronie kierowcy i wymierzył cios. Zaraz potem wyjął z kabiny aktówkę.

— Powinniśmy coś zrobić, prawda? — Już sięgnąłem do klamki, ale Flaherty mnie przytrzymał.

— Co zrobić? Wszystkich ich aresztować? Wsadzić ich do bagażnika? Zostaw to mnie.

Kolejny dzieciak, bez koszulki, za to okropnie przyszczaty, przeszedł wzdłuż naszego auta. Nachylił się przez okno Flaherty'ego i zamachnął do ciosu.

— Dawaj, kurwa, portfel, zasrany *oyinbo!*— wrzasnął na cały głos. — Dawaj zaraz!

Flaherty już sięgał pod fotel. Wyciągnął glocka i wymierzył w chłopaka z wysokości kolan.

— A może ty mi dasz swój portfel, frajerze? — warknął. Chłopak cofnął się i uniósł ręce z drwiącym uśmiechem. — A może powinienem powiedzieć: chłopaczku? Tak jest, ruszaj stąd, zanim zmienię zdanie.

— Tego nie — zawołał dzieciak do kolegów, układając kciuk i palec wskazujący w gest pistoletu.

Flaherty zauważył, że się na niego gapię.

— Co? Słuchaj, jak przyjadę do Waszyngtonu, to będziesz mi mówił co i jak. Dobrze? Ale na razie spróbuj pamiętać, gdzie jesteś.

Obróciłem się, by spojrzeć przez szybę. Podczas gdy my siedzieliśmy bez ruchu, tamci rabowali kolejnego kierowcę.

— Trudno zapamiętać — powiedziałem.

Rozdział 46

Nagle dotarło do mnie, że wreszcie mogę kontynuować poszukiwania, ale to będzie jak prowadzenie śledztwa na Marsie. Aż tak bardzo życie w Nigerii różniło się teraz od tego, jakie znałem.

Hotel Superior, do którego zawiózł mnie Flaherty, okazał się ogromny. Innych zalet nie miał. W latach pięćdziesiątych czy kiedyś tam był zapewne imponujący. Teraz z elewacji odpadał tynk, a na parkingu kręcili się miejscowi sprzedawcy koszulek, urządzeń elektronicznych i kart do telefonu.

Hotel znajdował się niedaleko lotniska. Po trzech dniach w Nigerii udało mi się zatoczyć koło.

— Dlaczego przywiozłeś mnie tutaj? — spytałem, zmieniając koszulę na tylnym siedzeniu.

— Pomyślałem, że może rano będziesz chciał złapać samolot. Mogę się chociaż ludzić.

— Jaki samolot?

— Do domu, a dokąd? Powinieneś stąd natychmiast wyjechać. Zanim naprawdę będą ci chcieli zrobić krzywdę. Nie znajdziesz Tygrysa, ale on może znaleźć ciebie.

Zamilkłem i wbiłem wzrok w mojego rozmówcę.

— Tygrysa?

Rozdział 47

— Tak się nazywa. Nie wiedziałeś? W zasadzie jest kilku hersztów gangów o przezwisku Tygrys. Ale ten był pierwszy.

— Wiesz, gdzie przebywa?

— Gdybym wiedział, zaraz bym cię tam zabrał i miał sprawę z głowy.

Wrzuciłem zakrwawioną koszulę do śmietnika i podniosłem torbę podróżną.

— O której się jutro spotkamy?

Flaherty uśmiechnął się nieznacznie. Chyba w ten sposób częściowo okazywał aprobatę.

— Zadzwoń do ciebie.

— O której?

— Jak najwcześniej. Odpocznij trochę. Jeśli rano cię nie zastanę, uznam, że jesteś zdrowy na umyśle.

Zanim odjechał, pożyczyłem od niego trochę pieniędzy, żeby opłacić pierwszą noc w hotelu i kupić kartę telefoniczną.

Czterdzieści pięć minut później, umyty i najedzony, czekałem na połączenie międzynarodowe.

Pokój absolutnie niczym się nie wyróżniał. Miał rozmiary mniej więcej trzy na cztery i pół metra, obłupaną gipsową sztukaterię i oferował towarzystwo kilku pluskiew.

Boy nawet się nie zdziwił, że w łazienkowej umywalce brakuje kranu. Obiecał wkrótce założyć nowy. Nie zależało mi. Po więzieniu czułem się tu jak w apartamencie prezydenckim.

Gdy Jannie odebrała telefon i po raz pierwszy usłyszałem jej głos, w gardle urosła mi gęsia skórka. Natychmiast zapomniałem o tym, że łapie mnie nos i co jakiś czas cieknie z niego krew.

— No proszę, kto to dziś nie poszedł do szkoły? — odezwałem się jak najradośniejszym tonem.

— Tatusiu, dziś sobota. Straciłeś tam rachubę czasu? No i mówisz, jakbyś miał katar.

Dotknąłem złamanego, obolałego nosa.

— Tak, chyba trochę mnie przytknęło. Ale przeżyję. Zatrzymałem się w jednym z najlepszych hoteli w mieście.

— Alex, to ty? — na linii zabrzmiał głos Nany. Słyszałem, że jest wkurzona. — Gdzieś ty był przez trzy dni? Takie zachowanie jest niedopuszczalne.

— Przepraszam, Nano. Trudniej się stąd połączyć, niż sądziłem — powiedziałem, po czym zacząłem zadawać jak najwięcej pytań, żeby uniknąć kolejnych kłamstw.

Jannie mówiła o szkolnym eksperymencie z muszkami owocówkami i o nowych sąsiadach na Fifth Street. Nana opowiedziała o hałasującym bojlerze w piwnicy. Bała się, że naprawa znów będzie kosztować dziewięćset dolarów. Potem słuchawkę dostał Ali. Oznajmił, że znalazł Nigerię na mapie, że stolica to Lagos i że zna liczbę ludności kraju: ponad sto trzydzieści pięć milionów.

Następnie Nana zapowiedziała, że przekazuje słuchawkę Bree.

— To ona u was jest? — spytałem nieco zaskoczony.

Na czas mojej nieobecności Bree zamierzała wrócić do swojego mieszkania.

— Ktoś tu przecież musi nad nami czuwać — odparła Nana uszczypliwie. — Poza tym Bree jest już jedną z nas. Należy do rodziny.

Rozdział 48

Podobało mi się to, co powiedziała Nana, tak jak podobał mi się głos Bree, gdy wzięła słuchawkę. Usłyszałem zamykane drzwi i zrozumiałem, że zyskaliśmy trochę prywatności.

— W końcu — powiedziałem.

— No wiem. Nana jest surowa, prawda? Ale potrafi być urocza. Roześmiałem się.

— Jest taka bojowa, bo ty tam jesteś. Już zaczęła tobą manipulować.

— À propos, Alex, nie wciskaj mi kitu. Gdzie byłeś przez te ostatnie trzy dni?

— Detektyw Stone, to pani? Czyżby pani za mną tęskniła?

— Oczywiście. Ale zadałam ci poważne pytanie. Przez trzy dni odchodziłam od zmysłów. Jak my wszyscy, a szczególnie Nana.

— Dobrze, powiem ci, co się stało. To ma związek ze śledztwem. Na pewno. Zostałem aresztowany na lotnisku.

— Aresztowany? — Bree powiedziała to szeptem, w którym brzmiała nowa troska. — Przez kogo? Na lotnisku? Na jakiej podstawie?

— Na takiej podstawie, że uczciwe procedury to pojęcie względne

w różnych częściach świata. Spędziłem w celi dwa i pół dnia. Nie postawili mi żadnych zarzutów.

— Było bardzo źle?

Jej głos trochę zadrżał; mniej w nim teraz było detektyw Stone, a więcej Bree.

— W skali od jednego do dziesięciu dałbym piętnaście, ale już właściwie nic mi nie dolega. Nocuję w hotelu Superior. Oczywiście to tylko nazwa. Nic tutaj nie jest wysokiej jakości.

Wyrząłem przez okno. Nad zatoką zbierały się ciemne chmury burzowe. Dziesięć pięter pode mną okolice basenu zaczynały się wydłudniać. Trudno uwierzyć, że tego ranka obudziłem się w Kirikiri.

— Alex, może nie masz ochoty teraz o tym słuchać, ale zeszłej nocy doszło do jeszcze jednego wielokrotnego zabójstwa. W Petway zamordowano kolejną rodzinę. Tym razem rodzice byli obywatelami Sudanu.

Usiadłem na łóżku.

— Ten sam sposób działania co do tej pory? — spytałem.

— Tak. Duże noże, być może maczety. Maksymalne zwyrodnienie. Paskudztwo dla samego paskudztwa. Nie wiem, czy ten twój gość i jego gang tu byli, ale na pewno brali w tym udział jego ludzie.

— Wygląda na to, że morderca używa przydomku Tygrys. Mógł zlecić zabójstwo z dowolnego miejsca.

— Zgadza się. Albo mógł wrócić do Waszyngtonu. Może ty jesteś tam, a on tutaj.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, nagle za oknem błysnęło i rozległ się głośny huk pioruna. Światła w pokoju zamigotały, po czym zgasły, a wraz z nimi zamilkł telefon.

— Bree? — zawołałem. — Bree, jesteś tam?

Linia była głucha. Cholera. Nawet nie zdążyłem powiedzieć, jak bardzo tęsknię.

W recepcji widziałem świece i co najmniej jeden agregat na propan,

więc najwyraźniej byli tutaj przyzwyczajeni do takich awarii. Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Uznałem, że jeśli wkrótce nie przywrócą prądu, to zejść i sprawdzić, o co chodzi.

Tymczasem zacząłem się zastanawiać nad konsekwencjami nowych morderstw w Waszyngtonie. Co to dla mnie oznaczało?

Czy zabójca, którego ścigałem, Tygrys, wciąż był w Nigerii?

A może przebyłem tak długą drogę... tylko po to, żeby mi złamali nos?

Rozdział 49

Dzwonił mój telefon.

I dzwonił.

W końcu się ocknąłem, zamrugałem i zacząłem wybudzać się z głębokiego snu podobnego do śpiączki. Na budziku przy łóżku, tuż obok mojej twarzy, migały cyfry: 12:00,12:00,12:00.

Był ranek, a w hotelu najwyraźniej przywrócono prąd.

Kiedy przewróciłem się na drugi bok, by odebrać telefon, całe moje ciało zaczęło protestować — dolegała mi bolesna sztywność i dotkliwe sińce. Wszystko mi się przypomniało: więzienie, pobicia, zamordowanie Ellie i jej rodziny, śledztwo.

— Alex Cross — powiedziałem do słuchawki.

— Nie rób tego.

— Kto mówi?

— Flaherty. Nie przedstawiaj się, kiedy odbierasz telefon. Nigdy nie wiesz, kto...

— Która godzina? — zapytałem.

Tak czy inaczej, zbyt wcześnie na kazanie.

Spojrzałem na sufit, a potem na siebie. Wciąż byłem w ubraniu, a w ustach czułem potworną suchość. Znów łupał złamany nos. Na poduszce zobaczyłem ślady krwi, zarówno ciemne, jak i jasnoczerwone.

— Jedenasta. Próbuję się do ciebie dodzwonić od samego rana. Słuchaj, jeśli się pospieszysz, to masz kilka godzin, a potem wyjeżdżam z zadaniem i wracam dopiero w poniedziałek.

— Masz coś? Cokolwiek?

— Poza wysypką na tyłku? Mam takiego jednego faceta. Sam nie dasz rady znaleźć w Lagos lepszego źródła informacji. Byłeś już w banku?

— Nie byłem jeszcze nawet w kiblu.

— Padłeś jak zabity, co? Weź sobie kierowcę. Recepcja ci go załatwi, ale powiedz, że chcesz płacić za dzień, a nie za godziny. Darmowa porada turystyczna, nie musisz dziękować. Jedź do Citibanku przy Broad Street. I powiedz facetowi, żeby pojechał drogą na grobli. Będzie wyglądało, że wiesz, o czym mówisz. Jeżeli zaraz się ruszysz, to zdążysz przed pierwszą. Tam się spotkamy. Tylko się nie spóźnij. Pamiętaj: Citibank przy Broad Street.

— Spokojnie, dotarło do mnie za pierwszym razem.

— Wiedziałem, że szybko się uczysz. No to ruszaj !

Rozdział 50

Kiedy odjeżdżałem sprzed hotelu Superior z parującym kubkiem pysznej nigeryjskiej kawy, czułem się tak, jakby ktoś mnie zresetował.

Nie licząc wyglądu mojej twarzy i bólu połowy mięśni, miałem wrażenie, że znów przeżywam pierwszy dzień w Afryce. Pomyślałem o Ellie, która przyjechała tu przed kilkoma tygodniami, i zastanawiałem się, co jej się przytrafiło. Czy zetknęła się z Tygrysem? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Nie miałem teczki z informacjami dotyczącymi śledztwa — zwrócono mi jedynie ubrania, paszport i pusty portfel — więc powolną jazdę na wyspę Lagos spędziłem na oglądaniu widoków.

— Wie pan, że o Lagos mówią *go-slow city*? — powiedział kierowca z przyjaznym uśmiechem.

Wyjaśnił, że w licznych samochodach porzuconych na poboczu po prostu skończyło się paliwo, gdy stały w niekończących się korkach. *Go-slows*, tak tu je nazywano.

Nieco przyspieszyliśmy na moście Mainland, skąd po raz pierwszy zobaczyłem centrum Lagos. Z odległości wyglądało jak każde duże miasto — tylko beton, szkło i stal.

Jednak w miarę jak się zbliżaliśmy, widok zaczynał przypominać

obraz Eschera: skupiska budynków oklejały kolejne i kolejne, i kolejne. Gęstość tłumów, ruchu ulicznego, infrastruktury oszałamiała mnie, choć wiele razy bywałem w Nowym Jorku, a nawet w Mexico City.

Gdy w końcu dotarliśmy do Citibanku przy Broad Street, Flaherty stał przed wejściem i palił papierosa.

— Jack Nicholson w *Chinatown* — powiedział na mój widok. Drobnemu żarcikowi towarzyszył szeroki uśmiech. — Jesteś wrażliwy?

— Niezbyt. A co!

Wskazał na mój nos.

— Jak załatwimy sprawę tutaj, możemy na chwilę wpaść w jedno miejsce. Gość naprawi cię raz-dwa.

Tymczasem, powiedział, powinienem wziąć z banku zastępcze karty, a także pieniądze, które byłem mu winien, gotówkę dla siebie oraz dodatkowo co najmniej dwieście dolarów amerykańskich, jeśli to możliwe.

— Po co? — spytałem.

— Na łapówki.

Uwierzyłem na słowo i zrobiłem, co polecił.

Następnie kierowca przewiózł nas przez Five Cowrie Creek na bardziej ekskluzywną z głównych wysp miasta — Victorie — do prywatnego gabinetu lekarskiego na czwartym piętrze biurowca. Bardzo prywatnego gabinetu.

Doktor przyjął mnie natychmiast. Zbadał mi twarz, po czym nastawił nos jednym szybkim, straszliwie bolesnym ruchem. Bez dwóch zdań to była najdziwniejsza wizyta u lekarza w moim życiu. Nie zadał żadnych pytań o mój uraz ani nie zażądał wynagrodzenia. W sumie nie spędziłem w gabinecie nawet dziesięciu minut.

Gdy wróciliśmy do samochodu, zapytałem Flaherty'ego, od jak dawna jest w Lagos. Najwyraźniej miał tutaj mnóstwo kontaktów, a także wystarczająco dużą wiedzę, żeby nie odpowiedzieć.

- Targ Oshodi — powiedział do kierowcy, po czym usiadł i zapalił kolejnego papierosa. — Możesz się odprężyć — zwrócił się do mnie.
- Uwierz mi, to trochę potrwa. Wiesz, jak nazywają Lagos?
- *Go-slow city.*
- Opuścił kąciki ust i wydmuchnął chmurę białego dymu.
- Szybko się uczysz. Przynajmniej niektórych rzeczy.

Rozdział 51

Targ Oshodi wyglądał mniej więcej tak jak reszta Lagos — po brzegi pełen zagonionych ludzi. Wszyscy albo coś sprzedawali, albo kupowali, a najczęściej jedno i drugie.

Flaherty przemykał między ludźmi i straganami jak chudy biały szczur w ulubionym labiryncie.

Żeby dotrzeć mu tempa, nie mogłem ani na moment spuścić go z oczu, lecz mimo to woń egzotycznych pokarmów i dźwięki targu mocno działały na moje zmysły. Wszystko to chłonałem... i bardzo mi się podobało.

Czułem grillowane mięsa, coś z orzeszkami oraz słodko-pikantne potrawy przyrządzane na otwartym ogniu. Wszystko to przypominało mi, jaki jestem głodny. Różne języki i akcenty rozbrzmiewały i cichły jak stacje radiowe albo może jazz. Najczęściej słyszałem język joruba, który zaczynałem odróżniać od pozostałych.

Zewsząd dobiegał ryk bydła upakowanego do ciężarówek, płacz niemowląt w kolejce po szczepionki i okrzyki ludzi bez przerwy targujących się o ceny.

Serce szybko mi biło, ale było to miłe uczucie. Pomimo że stawałem oko w oko z nędzą, wreszcie cieszyłem się, że tu przyjechałem.

Afryka! Niewiarygodne.

Nie uważałem jej za swój dom, ale i tak bardzo mnie pociągała. Zmysłowa, egzotyczna i nowa! Znów przypomniałem sobie o biednej Ellie. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Co ją tu spotkało? Czego się dowiedziała?

W końcu Flaherty zwolnił przy straganie z dywanami. Młody handlarz, który właśnie negocjował z mężczyzną w tradycyjnej jasno-beżowej szacie, ledwie na nas spojrzął, gdy mineliśmy sięgające ramię stopy towaru i przeszliśmy na zaplecze stoiska.

Po niecałej minucie pojawił się obok nas jak zjawą.

— Pan Flaherty — powiedział, a mnie uprzejmie skinął głową. — W lodówce mam piwo i wodę mineralną, jeśli panowie chcą.

Czułem się, jakby witał nas w swoim domu, a nie sprzedawał informacje na targu. Flaherty uniósł dłoń.

— Interesują nas tylko aktualności, Tokunbo. Dziś chcemy się dowiedzieć o człowieku, którego nazywają Tygrys. Tym wielkim. — Zrozumiałem, że to imię nie potrzebuje już dalszego doprecyzowania. — Za wiadomość o czymś, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, dostaniesz dwadzieścia dolarów. W ciągu czterdziestu ośmiu: dziesięć. Za starsze informacje dam tyle, ile zarobiłbyś dzisiaj, sprzedając dywany.

Tokunbo spokojnie kiwnął głową. Sprawiał wrażenie absolutnego przeciwieństwa Flaherty'ego.

— Podobno wyjechał do Sierra Leone. Właśnie zeszłej nocy. Mińście się z nim. Macie szczęście.

— Powietrzem czy lądem?

— Lądem.

— Dobrze. — Flaherty zwrócił się do mnie. — Sprawa załatwiona. Zapłać mu.

Rozdział 52

Chciałem zadać Tokunbo masę trudnych pytań o Tygrysa i jego gang dzikich chłopców, ale był informatorem Flaherty'ego, więc stosowałem się do jego protokołu. Zresztą byłem mu winien przynajmniej tyle, by trzymać język za zębami, dopóki się nie oddalimy.

— Ledwie przyszedliśmy i już wychodzimy. O co chodzi? — spytałem, gdy opuściliśmy stragan z dywanami.

— Wyjechał do Sierra Leone. Ślepy zaulek, koniec sprawy. Nie chcesz tam jechać.

— O czym ty mówisz? Skąd wiesz, że informacja w ogóle jest prawdziwa?

— Powiedzmy, że nigdy jeszcze nie żądałem od niego zwrotu pieniędzy. Tymczasem lepiej, żebyś tu trochę poczekał. Parę dni, tydzień, ile będzie trzeba. Pozwiedzaj. Tylko trzymaj się z dala od prostytutek, zwłaszcza tych ładnych.

Złapałem go za ramię.

— Nie przyjechałem tu po to, żeby się odprężyć przy basenie. Mam tylko jeden cel.

— To ty jesteś celem, mój drogi. Słyszałeś kiedyś takie powiedzenie: „Żeby pozostać w grze, musisz pozostać przy życiu”? To miasto zrobiło się bardzo niebezpieczne.

— Nie bądź dupkiem, Flaherty. Pamiętaj, że jestem gliniarzem z Waszyngtonu. Wiele razy już coś takiego robiłem. I jeszcze się trzymam.

— Po prostu... posłuchaj mojej rady, detektywie. On tu wróci. Poczekaj. Jeszcze zdążysz zginąć.

— A jaką masz dla mnie radę, jeśli i tak zechcę pojechać do Sierra Leone?

Odetchnął głęboko, chyba zrezygnowany.

— Zapewne udał się do Koidu. To miasto położone najbliżej wschodniej granicy. W Kailahun jest teraz trochę za gorąco, nawet dla niego. Skoro pojechał łądem, to znaczy, że czymś handluje. Ropą, a może gazem.

— Dlaczego do Koidu?

— Kopalnie diamentów. Stąd aż tam biegnie nieoficjalny korytarz handlowy: ropa za diamenty. Z tego, co słyszałem, Tygrys jest mocno zaangażowany w ten proceder.

— Dobrze. Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze!

Znów ruszył przed siebie.

— Tak. Masz tam w Waszyngtonie najlepszego kumpla? Zadzwoń do niego. Powiedz, gdzie trzymasz porno i wszystko inne, czego nie powinna znaleźć rodzina po twojej śmierci. Ale tak poza tym to miłej podróży, fajnie było cię poznać.

— Flaherty! — zawołałem, lecz on już się nie odwrócił, a kiedy wyszedłem z targu, okazało się, że zostawił mnie samego.

Wobec tego wróciłem i kupiłem sobie trochę świeżych owoców — mango, gwajawy i papaje. Pycha! Równie dobrze mogłem co nieco skorzystać z życia, póki się jeszcze dało.

Następnego dnia miałem znaleźć się w Sierra Leone.

Rozdział 53

Na wypalanej słońcem drodze wijącej się przez teren, który niegdyś był lasem na obrzeżach Koidu, piętnastoletni chłopiec powoli się dusił.

Powoli — ponieważ właśnie tego chciał Tygrys.

Nawet bardzo powoli.

Dla chłopców to bardzo ważna śmierć. Mieli patrzeć i uczyć się.

Jeszcze mocniej zacisnął dłoń na przelyku młodego żołnierza.

— Byłeś moim numerem jeden. Ufałem ci. Dałem ci wszystko, włącznie z tlenem. Rozumiesz mnie? Rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiał. Tygrys trzymał w dłoni diament. Znaleźli go pod językiem chłopca. Teraz z jego powodu pewnie zginie.

Ale nie z ręki Tygrysa.

— Ty. — Mężczyzna wskazał najmłodszego ze swych żołnierzy. — Zrań swojego brata!

Chłopak, który nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat, wyszedł na przód i wyjął z pochwy nóż Ka-bar, prezent od Tygrysa z wycieczki do Ameryki. Bez cienia wahania wepchnął ostrze w udo brata, a następnie odskoczył, by uniknąć ochlapania krwią.

Tygrys wciąż trzymał dłoń na gardle złodzieja. Nie mogąc nawet krzyknąć, chłopiec tylko charczał.

— A teraz ty — odezwał się herszt do kolejnego wiekiem. — Powoli. Nie spiesz się.

Na każdego przyszła kolej. Każdy miał okazję zadać złodziejowi diamentów jeden cios, byle nie śmiertelny. To prawo należało do najstarszego — to znaczy tego, który teraz miał nim zostać. Mówili na niego „Rakieta” — ponieważ niezależnie od pogody zawsze nosił jasnoczerwoną koszulkę Houston Rockets.

Tygrys odsunął się, by Rakieta dokończył mord. Nie trzeba już było przytrzymywać złodzieja. Bezwładne, sponiewierane ciało leżało na ziemi, wokół zmasakrowanej twarzy zbierała się kałuża krwi. Czarne muchy i napęczniałe komary już siadały na ranach.

Rakieta obszedł chłopca i zatrzymał się nad jego głową. Od niechcienia pocierał meszek na brodzie, którego jeszcze nie zaczął golić.

— Zhańbiłeś nas wszystkich — powiedział. — A przede wszystkim zhańbiłeś siebie. Byłeś numerem jeden. Teraz jesteś niczym! — Następnie oddał jeden strzał z biodra jak *gangsta* z amerykańskich teledysków, które oglądał całe życie. — Koniec kłopotów z tym głupim sukinsynem — powiedział.

— Zakopać go! — polecił chłopcom Tygrys.

Teraz liczyło się tylko to, by do ich odjazdu nikt nie zobaczył ciała. Martwy chłopiec nic dla nikogo nie znaczył, a Sierra Leone to i tak kraj świń i dzikusów. Anonimowe ciała znajdowano tu codziennie.

Z powrotem wrzucił skradziony diament do czarnego skórzanego pojemnika, gdzie trzymał resztę. Zdobył je w zamian za cysternę ropy — i to był dobry targ. Certyfikaty pochodzenia łatwo kupić lub podrobić. Kamienie bez trudu można by sprzedać w Londynie, Nowym Jorku lub Tokio.

Przywołał Rakieta, który wraz z pozostałymi kopał grób.

— Zanim wsadzicie go do ziemi, zabierz mu krótkofalówkę. Zawsze miej ją przy sobie, nawet kiedy śpisz.

Rakieta zasalutował i wrócił do nadzorowania kompanów, choć kroczył teraz nieco dumniej niż dotychczas. Rozumiał sens słów, które przed chwilą padły. Zabierz mu krótkofalówkę. Miej ją przy sobie.

Właśnie został numerem jeden w grupie Tygrysa.

Rozdział 54

Chyba wiedziałem już o małym, smutnym państewku o nazwie Sierra Leone więcej, niżbym chciał. W ostatnich latach rebelianci wymordowali ponad trzysta tysięcy ludzi. Niektórym najpierw odcinali dłonie i stopy, podpalali domy ze śpiącymi rodzinami, wrywali płody z brzuchów matek. Tworzyli „billboardy terroru”: przesłania wyryte w ciałach ofiar, którym pozwolili przeżyć i które teraz stały się ich chodzącymi reklamami.

Nocnym połączeniem linii Bellview Air udałem się do Freetown, a następnie odbyłem przerażający lot turbośmigłowcem aż na wschodnią granicę Sierra Leone, gdzie wylądowałem na wyboistym, trawiastym pasie startowym obsługującym Koidu. Tam wsiadłem do jednej z dwóch taksówek dostępnych w okolicy.

Trzydzieści sześć godzin po tym, jak Ian Flaherty ostrzegął, bym tam nie jechał, stałem na obrzeżu Running Recovery, jednej z kilku czynnych kopalni diamentów w Koidu.

Nie wiedziałem, czy Tygrys właśnie tu prowadził interesy, ale według Flaherty'ego Running Recovery miało podłą reputację.

W Waszyngtonie zacząłbym od wywiadu środowiskowego.

To samo postanowiłem zrobić tutaj: kopalnia po kopalni, jeśli to będzie konieczne.

Znów byłem detektywem.

Już to wiedziałem.

Running Recovery w zasadzie nie było kopalnią, lecz aluwialnym polem diamentów. Przypominało miniaturowy kanion, pobrużdżony i rozkopany płat żółtawej ziemi o powierzchni dwóch boisk futbolowych, w najgłębszych miejscach sięgający dziesięciu metrów.

W palącym upale robotnicy zginali się nad ziemią i pracowali przy użyciu kilofów i sit. Większość tkwiła po pas w błotnistej, brunatnej wodzie.

Niektórzy byli wzrostu dzieci w wieku szkolnym i jeśli się nie myliłem, właśnie nimi byli. Wciąż myślałem o piosence rapera Kanye'a Westa *Diamonds from Sierra Leone*, w głowie miałem jej tekst. Damon często słuchał tego kawałka. Ciekawe, czy on i jego koledzy kiedykolwiek zastanowili się nad prawdziwym sensem jego słów.

Ochrona wokół kopalni była zaskakująco luźna. Na obrzeżu kręciły się dziesiątki ludzi. Niektórzy handlowali, inni — tak jak ja — po prostu patrzyli.

— Jesteś dziennikarz? — spytał ktoś za mną. — Co tu robisz?

Gdy się obróciłem, wpatrywało się we mnie trzech starszych mężczyzn. Wszyscy mieli „wojenne” amputacje. Zapewne nie byli żołnierzami, lecz należeli do tysięcy cywilów, którzy doświadczyli słynnej brutalności charakterystycznej dla trwającego dziesięć lat konfliktu, toczącego się głównie o kontrolę nad wydobyciem diamentów.

Diamenty odcisnęły na tym kraju takie piętno, jakie ropa mogła teraz odcisnąć na Nigerii. Trudno o dotkliwsze przypomnienie tego faktu niż ci trzej mężczyźni.

— Dziennikarz? — powtórzyłem. — Nie, ale chciałbym porozmawiać

z kimś tam na polu. Z robotnikiem. Wiecie, kto tutaj rządzi?

Jeden z mężczyzn wskazał zaokrąglonym kikutem.

— Tehjan.

— Nie gada z dziennikarzem — odezwał się jeden z pozostałych.

Oba rękawy jego koszuli zwisały puste.

— Nie jestem dziennikarzem — powtórzyłem.

— Dla Tehjana bez znaczenia. Jak Amerykanin, to dziennikarz.

Biorąc pod uwagę, co pisano w prasie o tych kopalniach, niemalże potrafiłem zrozumieć tę wrażliwość.

— Czy jest na dole ktoś, kto zechce ze mną rozmawiać? — spytałem. — Jakiś robotnik? Znacie tam kogoś? Macie jakichś kolegów?

— Może wieczorem w sali w mieście — powiedział ten, który odezwał się do mnie pierwszy. — Jak kufle ruszają, to rozwiązują się języki.

— Miejska sala? Gdzie to?

— Pokażę ci — rzekł ten najbardziej gadatliwy.

Spojrzałem na niego, a on nie odwrócił wzroku. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że paranoja jeszcze nie pożarła tej części Afryki. I wtedy postanowiłem mu zaufać.

— Nazywam się Alex. A ty? Uścisnęliśmy lewe dłonie.

— Jestem Moses — odparł.

Słyszając to, aż się uśmiechnąłem. Pomyślałem o Nanie. Ona też by się uśmiechnęła i poklepała go po plecach. Wskaż mi drogę, Mojżesz.

Rozdział 55

Wreszcie wróciłem do pracy. Znów prowadziłem śledztwo, które mnie tu przywiodło.

Marsz do miasta zajął około godziny. Moses dużo mi po drodze opowiedział, choć twierdził, że nigdy nie słyszał o Tygrysie. Czy mogłem mu wierzyć? Nie miałem pewności.

Handel diamentami w zamian za ropę, gaz, broń, narkotyki i inne nielegalne towary nie był tu żadną tajemnicą. Moses wiedział o nim tak samo jak wszyscy. Jako nastolatek, a potem młody mężczyzna, pracował w kopalni. Aż do wojny domowej.

— Teraz mówią na nas *san-san boys* — powiedział.

Zrozumiałem, że ma na myśli tych, którzy podobnie jak on nie są już zdolni do pracy.

Z początku zaskakiwała mnie jego otwartość. Niektóre historie zdawały się zbyt osobiste, by opowiedzieć je obcej osobie, zwłaszcza komuś, kto mógł być amerykańskim dziennikarzem, a nawet agentem CIA. Im więcej jednak mówił, tym lepiej rozumiałem, że rozmowa o swym losie to chyba jedyne, co mu pozostało.

— Mieszkaliśmy o tam. — Wskazał w bliżej nieokreślonym kierunku, nie spoglądając w tamtą stronę. — Moja żona sprzedawała na

targu olej palmowy. Kiedy żołnierze RUF przybyli do Kono, przyszli po nas tak jak po innych. Była noc, padał deszcz, więc nie było pochodni. Powiedzieli, że jeśli obejrzę, jak mordują moich synków, to oszczędzą żonę. Zrobiłem, co kazali, a wtedy i tak ją zabil.

RUF to siły rewolucyjne odpowiedzialne za śmierć tysięcy ludzi. Opowiadał o tym oszałamiająco rzeczowo. Przerazająca masakra rodziny, podobna do tych w Waszyngtonie, pomyślałem.

— A ty przeżyłeś.

— Tak. Położyli mnie na stole i przytrzymali. Pytali, czy chcę po wojnie nosić długi, czy krótki rękaw. Potem obcięli mi ramię w tym miejscu. — Wskazał ręką, choć przecież nie ulegało wątpliwości, co się stało. — Mieli obciąć i drugą, ale w domu obok coś wybuchło. Nie wiem, co się stało potem. Straciłem przytomność, a kiedy się ocknąłem, żołnierzy z RUF już nie było. Mojej żony też. Zostawili ciała synów. Chciałem umrzeć, ale przeżyłem. To jeszcze nie był mój czas.

— Dlaczego tu zostałeś? Nie możesz się udać gdzie indziej?

— Nie ma dla mnie innego miejsca. Tutaj przynajmniej czasem mam pracę. Mam przyjaciół, innych *san-san boys*. — Nie wiedzieć czemu uśmiechnął się, gdy to mówił. — To jest mój dom.

Weszliśmy już do Koidu. To rozległe miasto pełne dróg gruntowych i niskich budynków. Wciąż dochodziło do siebie po „wojnie” zakończonej przed sześcioma laty.

Po drodze widziałem na wpół ukończony szpital oraz meczet w niezłym stanie, ale poza tym większość budynków była opuszczona, a skorupy małych domów do cna wypalone.

Gdy zaproponowałem Mosesowi zapłatę za jego trud, odmówił, a ja wiedziałem, że nie powinienem nalegać.

— Przekaż, co ci powiedziałem — rzekł. — Opowiedz to Amerykanom. Wciąż są rebelianci, którzy chcą nas zabić. Wszystkich, którzy

doświadczyli wojny. Wtedy nikt już nie będzie wiedział, co zrobili. —
Uniósł pozostałość lewego ramienia. — Więc może ty opowiesz o tym
ludziom w Ameryce. A oni powiedzą innym. I wtedy świat się dowie.

— Dobrze — obiecałem. — Powiem ludziom w Ameryce i zobaczymy, co będzie.

Rozdział 56

Sala w mieście nosiła nieadekwatną nazwę Współczesny Błogostan. Nabazgrano ją niebieską farbą na starej drewnianej tablicy przed wejściem. Przypomniała mi się powieść Alexandra McCalla Smitha *Kobięca Agencja Detektywistyczna nr 1*.

Może budynek dawniej był kościołem. Obecnie służył za obiekt wielofunkcyjny — jedno duże, brudne pomieszczenie ze stołami i krzesłami, wypełniające się zawsze po zmroku.

Ktoś włączył magnetofon, a facet, który przyniósł beczkę piwa Star, rozlał je do używanych plastikowych kubków i zainkasował pieniądze.

Moses i jego koledzy nie chcieli wejść, gdy zaproponowałem im kolejkę. Mówili, że zostaną wyrzuceni, jeśli sami nie zapłacą za piwo. Zamiast tego usiądą nieopodal przy ognisku i porozmawiają. Wskazał dłoń w kierunku miejsca, gdzie miałem go szukać

Następne kilka godzin spędziłem na niezobowiązującym rozpytywaniu, z którego właściwie nic nie wynikło. Nawet ci nieliczni, którzy chcieli ze mną rozmawiać o kopalni, natychmiast milkli, kiedy zadawałem inne pytania... na przykład o nielegalny handel diamentami.

Dwukrotnie zauważyłem mężczyzn w kurtkach w panterkę i japonkach na nogach. Lizali dłonie i mówili: „Diamenty na sprzedaż.

Wystarczy połknąć, żeby wywieźć z kraju”. Obaj mnie zaczepili, ale zrezygnowali, gdy tylko się zorientowali, że nie kupuję ani nie sprzedaję.

Już zaczynałem myśleć, że cały wieczór okaże się bezowocny, kiedy podszedł do mnie nastolatek i oparł się o ścianę.

— Podobno kogoś szukasz — powiedział na tyle głośno, żebym tylko ja usłyszał.

W tle, z odtwarzacza nastawionego na cały regulator, rapował Busta Rhymes.

— Kogo niby szukam?

— Tygrysa. Już go tu nie ma, *mister*. Wyjechał z kraju, ale mogę powiedzieć, gdzie jest.

Spojrzałem na chłopaka. Miał z metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wyrobione mięśnie i pewne siebie spojrzenie. Był też młodszy, niż mi się początkowo wydawało — mógł mieć szesnaście, może siedemnaście lat. Niewiele więcej niż Damon. Jak wielu nastolatków w Afryce nosił koszulkę drużyny NBA. W jego przypadku było to Houston Rockets, zespół, w którym niegdyś grał doskonały nigeryjski koszykarz, Hakeem Olajuwon.

— A kim ty jesteś? — spytałem chłopca.

— Jak chcesz więcej wiedzieć, to będzie kosztować sto amerykańskich dolarów. Czekam na dworze. Tutaj niebezpiecznie rozmawiać. Za dużo oczu i uszu. Na dworze, *mister*. Tam pogadamy. Sto dolarów.

Odbił się od ściany i krokiem twardziela ruszył do głównego wyjścia na ulicę. Dopił piwo, rzucił kubek na stół i wyszedł.

Nie mogłem pozwolić mu się oddalić, ale nie zamierzałem również wyjść stąd tak, jak mi kazał. Jego akcent zdradził to, co chciałem wiedzieć. To nie był akcent ze Sierra Leone, ale jorubański. Chłopak pochodził z Nigerii.

Odliczyłem do trzydziestu, po czym wymknąłem się tylnym wyjściem.

Rozdział 57

Obserwacja. Byłem w tym niezły i zawsze umiałem o krok wyprzedzić przeciwnika. Miałem nadzieję, że dotyczyło to nawet kogoś tak przebiegłego i niebezpiecznego jak Tygrys i jego gang.

Szerokim łukiem zaszedłem przed front budynku. Z rogu sąsiedniego domu miałem całkiem dobry widok na wejście do sali.

Chłopak w koszulce Houston Rockets stał na uboczu z drugim, młodszym kolegą. Patrzyli w przeciwnych kierunkach i rozmawiając, obserwowali ulicę.

Czyżby zasadzka? — zastanawiałem się.

Po kilku minutach ten starszy wrócił do środka, zapewne po mnie. Nie czekałem z następnym krokiem. Wiedziałem, że jeśli ma choć trochę oleju w głowie, uda się tą samą drogą, którą tu przyszedłem.

Przebiegłem gruntowe skrzyżowanie, by zmienić położenie. Stałem w wypalonych drzwiach na przeciwległym rogu ulicy. Znajdowały się w czarnym, betonowym szkielecie jakiegoś budynku. Możliwe, że kiedyś był to sklep wielobranżowy.

Przylgnąłem do pustej framugi. Czekałem, patrzyłem i w miarę możliwości obserwowałem.

W miarę możliwości, jeśli pracuje się na Marsie.

Jak się spodziewałem, Houston Rockets wyszedł po minucie i zatrzymał się dokładnie tam, gdzie stałem.

Podbiegł do niego towarzysz i zaczęli się naradzać, rozglądając się za mną nerwowo.

Postanowiłem, że gdy tylko stąd ruszą, udam się za nimi. Będę ich śledził. Jeśli się rozdziela, podążę za tym starszym w koszulce Rockets.

Właśnie wtedy za plecami usłyszałem głos.

— Ej, *mister*. Chcesz kupić kamyk? Chcesz, żeby ci rozwalić łeb?

Obróciłem się, lecz zanim w ciemności kogokolwiek dostrzegłem, coś ciężkiego i twardego uderzyło mnie w głowę — może cegła albo kamień.

Cios ogłuszył mnie i opadłem na kolano. Błysnęło mi przed oczami, potem poczerwniało, a w końcu zacząłem odzyskiwać wzrok.

Ktoś złapał mnie za ramię i wciągnął do budynku. Kolejne brutalne dłonie — nie wiem, ile ich było — powaliły mnie na ziemię i przygwoździły plecami do posadzki.

W moim umyśle wszystko falowało. Usiłowałem się zorientować, gdzie jestem. Czulem, że parę osób trzyma mnie za ręce i nogi, że silnymi, sprawnymi ciałami przyciskają mnie do ziemi.

Choć odzyskiwałem ostrość widzenia, w ciemności wciąż trudno było przyjrzeć się napastnikom. Widziałem tylko niewielkie, rozmyte cienie. Bardzo liczne.

Wszystkie miały posturę chłopców.

Rozdział 58

— *Yo!* — krzyknął jeden z cieni głosem tak młodym i pewnym siebie, że musiał należeć do ulicznego chuligana. — Tutaj! Dopadliśmy sukinsyna.

Rzuciłem się na oślepa, nie miałem zamiaru łatwo się poddać. Bo gdybym uległ, to pewnie już po mnie.

Wyrwałem się chłopakowi, który trzymał mnie za prawe ramię, i zamachnąłem się na przytrzymującego lewe. Żaden z napastników nie przewyższał mnie siłą, ale razem byli jak lep na muchy pokrywający całe moje ciało. Szarpałem się jeszcze wścieklej, wiedząc, że walczę o życie.

W końcu prawie udało mi się stanąć, choć obie nogi miały dodatkowe pięćdziesiąt kilogramów obciążenia. Właśnie wtedy do wnętrza wbiegło dwóch kolejnych chuliganów.

Jeden oświetlił mnie latarką. Drugi grzmotnął w twarz ręką i pistoletu.

Poczułem trzask przegrody nosowej. Znowu!

— Jasna cholera! — wrzasnąłem.

Piorunujący ból wystrzelił do mózgu i rozbiegł się po całym ciele. Był gorszy niż poprzednio, jeśli to w ogóle możliwe. Moja pierwsza myśl brzmiała: No bez jaj!

Chłopcy doskoczyli do mnie — tym razem było ich o połowę mniej

— i ściągnęli mnie na ziemię. Ktoś oparł na moim czole stopę w adidasię.

Potem poczułem na policzku zimny metal lufy pistoletu.

— To ten?

Jasny błysk latarki wywołał kolejną erupcję bólu.

— Tak, Azi, ten. — Rozpoznałem głos, który słyszałem w miejskiej sali. Mówiący przykucnął obok mojej głowy. — Słuchaj, odeślemy cię z wiadomością. Nikt nam nie będzie podskakiwał, rozumiesz?

Próbowałem unieść głowę, więc strzelił w posadzkę tuż przy mojej skroni.

— Rozumiesz?

Przestałem się szarpać i wyprostowałem się na ziemi. Nie słyszałem na jedno ucho. Czyżbym teraz jeszcze ogłuchł? To pistolet trzymał mnie w miejscu. Kipiałem z wściekłości.

— Zajmijcie się nim — powiedział herszt bandy.

W czyjejs dłoni zobaczyłem zarys długiego ostrza. Maczeta, pomyślałem.

Jezu, nie!

Houston Rockets znów się nachylił. Lufą pistoletu pocierał moją skroń.

— Jak się ruszysz, to zginiesz, Kapitanie Ameryko. A jak będziesz grzeczny, to prawie cały wrócisz do domu.

Rozdział 59

— To naprawdę zaboli. Będziesz kwiczał jak mała dziewczynka. Od zaraz!

Wyprostowali mi ramię i przytrzymali tak, żebym nie mógł się ruszyć. Albo nabierali siły, albo ja słabłem. Nigdy w życiu nie byłem bliższy paniki.

— W stawie, Azi. Mniej kości — poinstruował Houston Rockets absolutnie chłodnym, spokojnym tonem.

Ostrze maczety dotknęło zgięcia w łokciu, a następnie uniosło się wysoko. Chłopak o imieniu Azi wyszczerzył do mnie zęby. Cieszył się jak psychopata i najwyraźniej nim był.

Nie ma mowy. Nie ma mowy. Nigdy w życiu, pomyślałem.

Wyszarpnąłem rękę i przetoczyłem się na bok. Maczeta śmignęła, a pistolet wystrzelił, aż zabrzęczało mi w uszach.

Ale przynajmniej nie zostałem trafiony. Na razie.

Jeszcze nie skończyłem. Nawet nie zacząłem. Splotłem ramię z ramieniem tego, który strzelał, i zламаłem mu nadgarstek. Trzasnął głośno, a broń wypadła mu z ręki.

Zdążyłem ją złapać!

Potem był chaos, hałas i taniec cieni. Chłopcy znów mnie obskoczyli, co w pewnym sensie okazało się szczęśliwe. Chyba właśnie dlatego

ten z maczetą nie zamachnął się na tyle długo, że zdążyłem oddać strzał ostrzegawczy.

Podniosłem się z ziemi i oparłem plecami o ścianę.

— Ruszać się, tam! — wrzasnąłem i wskazałem kierunek lufą pistoletu.

Miałem ich wszystkich w polu strzału, ale było ciemno, a rozkład budynku pozostawał całkowitą tajemnicą. Wkrótce musieli to zrozumieć.

Rzeczywiście, Houston Rockets warknął rozkaz:

— Na zewnątrz! Już!

Dwóch chłopaków rzuciło się w przeciwnych kierunkach. Jeden wyskoczył przez puste okno. Nie wiedziałem, dokąd udał się drugi.

— Co chcesz zrobić, facet? — odezwał się Rockets i wzruszył ramionami. — Wszystkich nas nie zabijesz.

— Ale ciebie mogę — odparłem.

Wiedziałem, że tamci zachodzą mnie od tyłu. Mogłem teraz zacząć rozstrzeliwać tych chłopców albo uciekać ile sił w nogach.

Uciekłem!

Rozdział 60

Miałem wystarczającą przewagę, żeby korzystając z osłony nocy, szybko zniknąć napastnikom. Nagle poczułem mieszankę zapachów — coś się paliło, cośgniło, coś rośło. Przebiegłem kilka ulic, skręciłem za róg i w końcu zobaczyłem ognisko na opuszczonej posesji.

Moses? Znajdowałem się w okolicy miejsca, gdzie miał czekać.

Rzuciłem się między wysokie chwasty i czekałem, aż tamci przebiegną obok mnie, grupka za grupką. Wykrzykując, rozdzielili się w poszukiwaniu zwierzyny — czyli mnie. Niełatwo pogodzić się z myślą, że tak młodzi chłopcy byli zatwardziałymi mordercami, ale to prawda.

Widziałem to w ich oczach, szczególnie Rocketsa. On już na pewno kiedyś zabijał.

Odczekałem kilka minut. Potem, zgięty, obszedłem ognisko od tyłu i zbliżyłem się na tyle, by cicho zawołać.

Dzięki Bogu zastałem tam Mosesa! Wraz z kolegami jadł kruchy ryż i masło orzechowe domowej roboty. Na początku był niepewny, dopóki nie zobaczył, kto czai się w krzakach.

— Chodź ze mną — powiedział szeptem. — Tutaj niebezpiecznie. Chłopcy cię szukają. Wszędzie źli chłopcy.

— Coś o tym wiem. — Ramieniem otarłem krew z twarzy. Zapomniałem, że to zaboli. — Cholera!

— To nic wielkiego, będzie okej — powiedział Moses.

— Łatwo ci mówić — odparłem i zmusiłem się do uśmiechu.

Poszedłem za nim na tył posesji i dalej drogą do wąskiej bocznej ulicy. Znajdowaliśmy się na osiedlu zaniedbanych domów czynszowych. Wzdłuż pobocza ciągnął się długi rząd chałup z suszonej cegły. Przed kilkoma stali ludzie; gotowali, pilnowali ognia i mimo późnej godziny rozmawiali ze znajomymi.

— Tutaj. Tędy, proszę. Szybko.

Schyliłem głowę i wszedłem za Mosesem przez otwarte wejście jednej z chatek. Zapalił lampę naftową i poprosił, bym usiadł.

— To mój dom — powiedział.

Domostwo składało się z jednego pokoju z pojedynczym oknem wyciętym w tylnej ścianie. Na ziemi leżał cienki materac, a w rogach piętrzyły się garnki, ubrania i zapadnięte kartonowe pudła.

Moses zwinnie zarzucił brudną szmatę na dwa haki wbite nad wejściem. Obiecał, że zaraz wróci, po czym zniknął. Nie miałem pojęcia, dokąd się udał — nie wiedziałem nawet, czy mogę mu ufać.

Ale jaki teraz miałem wybór? Ukrywałem się, bo od tego zależało moje życie.

Rozdział 61

Minęła minuta, zanim złapałem oddech i spojrzałem na pistolet, który zabrałem członkom chłopięcego gangu. Okazał się małą beretką, wcale nie tanią. Magazynek mieścił siedem pocisków, ale brakowało pięciu. Przy odrobinie szczęścia powinienem dotrzeć do rana, nie wykorzystując pozostałych dwóch. Poprawka: przy dużym szczęściu.

Pociłem się obficie i naprawdę się bałem. Nie ma co tego ukrywać. Przed chwilą o mało nie straciłem ręki. Naprawdę niewiele brakowało.

Usłyszałem jakiś hałas z zewnątrz i uniosłem beretkę. Kto tam? Co się dzieje?

— Nie strzelaj.

To Moses. Przyniósł niewielki garnek z wodą. Podał mi szmatę do obmycia twarzy.

— Co teraz zrobisz? — zapytał.

Dobre pytanie. Instynkt podpowiadał mi, że Houston Rockets nie kłamał — Tygrys już stąd wyjechał. Zapewne był w drodze powrotnej do Nigerii ze swymi diamentami. Znów mi uciekł. Ten morderca i przywódca gangu nie był głupi.

— Chyba muszę się rozejrzeć za porannym lotem — odrzekłem.

— Lotnisko jest małe. Łatwo cię tam znajdą. Chłopcy, a może policja.

Miał rację. O ile pamiętałem, w zasadzie to nawet nie było lotnisko, ale pas startowy bez żadnej osłony.

Wciąż nie wiedziałem, kto zaaranżował moje powitanie w Lagos przy pierwszej wizycie. Jeśli Tygrys wiedział, gdzie jestem — a musiałem założyć, że teraz na pewno wiedział — mogła mnie czekać kolejna runda podobnej gościnności, tym razem pewnie z gorszym skutkiem.

Nagle na dworze rozległy się krzyki. Głosy młodych mężczyzn. Trudno stwierdzić ilu — co najmniej sześciu.

Moses wytknął głowę przez drzwi, po czym wrócił i zdmuchnął płomyk lampy.

— Już tu są — powiedział. — Powinieneś iść. Musisz iść.

Nie mogłem się nie zgodzić, choćby dlatego, że nie chciałem mieszać Mosesa w cały ten bałagan.

— Powiedz, kiedy będzie droga wolna.

Wyglądał bokiem przez drzwi i obserwował. Ja stałem na przeciwko, gotowy do biegu, gdy tylko da sygnał.

— Teraz! — Pokazał w lewo. — Idź teraz! Szybko!

Przebiegłem wąską dróżkę i popędziłem gruntową uliczką. Kolejna okazała się szersza, ale kompletnie pusta. Skręciłem w lewo i biegłem przed siebie.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że Moses wciąż mi towarzyszy.

— Tędy. — Wskazał prosto w ciemność. — Wiem, gdzie możesz kupić samochód.

Rozdział 62

Podążyłem za wątym jednorękim mężczyzną w stronę Running Recovery do starego kamiennego domu na obrzeżach miasta. Była już co najmniej jedenasta, ale w budynku wciąż paliły się światła. Zastanawiałem się, czy Moses to w tych okolicach anomalia, czy też wiele innych osób także pomogłoby obcemu, a szczególnie Amerykaninowi. Z tego, co słyszałem, mieszkańcy Sierra Leone i Nigerii to dobrzy ludzie, którzy padli ofiarą okoliczności oraz żądzy zysku.

Drzwi otworzył szpakowaty mężczyzna.

— Czego chcesz? — zapytał.

Zebrała się za nim gromadka dzieci. Wszystkie chciały zobaczyć, któż to taki przyszedł do domu w środku nocy.

— Ten Amerykanin chce kupić samochód — oznajmił zwyczajnie Moses. — Ma gotówkę.

Zgodnie z jego poradą początkowo trzymałem się z tyłu. Zanim zaproponuję pieniądze, musiałem dokładnie poznać ofertę.

— Masz szczęście — rzekł mężczyzna stojący w drzwiach i uśmiechnął się nieznacznie. — Jesteśmy otwarci do późna.

Ze wszystkich wraków na tyłach budynku najlepsza okazała się wiekowa mazda drifter. Nad platformą rozciągnięto podartą plandekę,

a na desce rozdzielczej w miejscu licznika ziała dziura.

Silnik, choć niechętnie, zapalił jednak za pierwszym razem. A cena była odpowiednia — pięćset leone.

Poza tym właściciel nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy spędzili noc w pick-upie na jego posesji.

Powiedziałem Mosesowi, że zrobił dla mnie już nadto i powinien wracać do domu, ale on nie chciał o tym słyszeć. Został ze mną do rana, po czym oddalił się, by zdobyć kilka rzeczy jego zdaniem niezbędnych dla bezpieczeństwa mojej podróży, w tym policyjne zezwolenie na opuszczenie kraju.

Gdy na niego czekałem, zaczęło do mnie docierać, na co się porywałem, decydując się na tę podróż. Od Lagos dzieliło mnie ponad tysiąc pięćset kilometrów nieznanego terenu. Moją jedyną pomocą miały być mapy, choć Moses nie wiedział, czy zdoła je zdobyć.

Dlatego kiedy wrócił, złożyłem mu propozycję:

— Pojedź ze mną, a w zamian zatrzymasz pick-up — powiedziałem. — W ramach uczciwej zapłaty za twoją pomoc.

Spodziewałem się dyskusji, a przynajmniej chwili wahania, ale nie.

Wrzucił do auta wykonaną ze skóry kozy torbę z prowiantem i wręczył mi pieniądze, których nie wydał.

— Dobrze — powiedział po prostu. — Pojadę.

Rozdział 63

— Sampson?

— No?

— To okropne, wiesz? Nienawidzę cię.

— Przykro mi, Bree, trzeba było wybrać reszkę.

W domu przy Eighteenth Street panowała już cisza. Zniknęły roje ludzi, którzy kręcili się tu w noc morderstw. Tego ranka Bree i Sampson mieli dom dla siebie. Mimo że oboje wcale nie chcieli tu być.

To dlatego na werandzie rzucili monetą.

Sampsonowi przypadła główna sypialnia.

Bree — pokój dziecięcy.

Dmuchięła w lateksową rękawiczkę, naciągnęła ją i przekręciła klucz w zamku. Pchnęła drzwi i przestąpiła próg dopiero wtedy, gdy otworzyły się na pełną szerokość. Schyliła głowę i prędko weszła po schodach.

— Nienawidzę cię, John! — zawołała.

Oczywiście zabrano ciała dzieci, ale wszędzie pozostał osad proszku daktyloskopijnego. Poza tym na miejscu zbrodni nic się nie zmieniło: dwie żółte kołdry przesiąknięte krwią, ochlapane piętrowe łóżko, dywan, ściany i sufit. Dwa małe biurka pod przeciwległą ścianą

stały nienaruszone, jakby wcale nie doszło tutaj do niewyobrażalnej zbrodni.

Ayana Abboud miała dziesięć lat. Jej brat Peter — siedem.

Zamach na ich ojca, Básela Abbouda, Bree rozumiała dużo lepiej. Jego artykuły w „Washington Times” już dawno temu stanowczo nawoływały Stany Zjednoczone do wojskowej interwencji w Darfurze bez względu na stanowisko Rady Bezpieczeństwa ONZ. Pisał o szerzącym się łapówkarstwie zarówno w Afryce, jak i w Waszyngtonie. Ten człowiek od razu narobił sobie wrogów na dwóch kontynentach.

Czy takich, którzy zabiliby mu żonę i dzieci? Na to wyglądało. Całą czwórkę wymordowano we własnym domu.

Bree powoli obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, wyobrażając sobie, że widzi to miejsce po raz pierwszy. Co rzucało się w oczy? Co wcześniej przeoczyli? Co zauważyłby Alex, gdyby był teraz tutaj, a nie w Afryce?

Afryka! Po raz pierwszy jego podróż zaczynała mieć sens. Taka brutalność — ona musiała stamtąd pochodzić. To ostrzeżenie można zrozumieć w pełni jedynie w kontekście Lagos, Sierra Leone, Darfuru.

Mordercy nawet nie próbowali zatrzeć śladów ani czegoś ukryć. Ślady palców widać było wszędzie, gdzie znajdowała się krew. W całym domu odkryto również setki niewidocznych odcisków — na ścianach, łózkach, na ciałach ofiar.

W kuchni w pośpiechu spożyto jedzenie: kotlety wieprzowe, blok lodowy z plastikowego pudełka, napoje gazowane i alkohol.

Cóż za głupota, ewentualnie sprawcy nie przejmowali się, że mogą zostać złapani i skazani na dożywocie.

Bree nie musiała czekać na wyniki badań, by wiedzieć, że żadne z tych odcisków palców nie figurują w systemie FBI. Przypuszczała, że należą do młodych obywateli któregoś z państw Afryki, nienotowanych

w Stanach Zjednoczonych. Zapewne w ogóle nie zarejestrowano ich wjazdu do kraju. Część odcisków pokrywała się przypuszczalnie ze zdjętymi w domu Eleanor Cox, inne natomiast były nowe. Bree pomyślała, że mordercy są jak dzikie duchy, wykorzystywane do brudnej roboty przez kogoś starszego. Bardzo skuteczne duchy. I z bardzo posranymi umysłami. Boże, jak ona nienawidziła tego, kto za tym stał!

Kiedy obróciła się wokół własnej osi i znów patrzyła na łóżeczka dzieci, usłyszała za sobą ciche stukanie w mansardowe okno.

Odwróciła się i niemal krzyknęła z zaskoczenia. Zawsze się bała, że zginie od strzału w plecy.

Na kratkach w oknie wisiał mały chłopiec o szeroko otwartych oczach. Wpatrywał się w nią, a gdy ich spojrzenia się spotkały, jedną ręką puścił pręty i pokazał, by podeszła.

— Widziałem okropne zabójstwa. Wszystko widziałem — powiedział tak cicho, by tylko ona słyszała. — Wiem, kim są mordercy.

Rozdział 64

— Proszę. Mogę powiedzieć, co tu się stało. Wszystko.

Szyba tłumiała głos chłopca. Bree sądziła, że mały nie ma więcej niż jedenaście, dwanaście lat.

Albo był przestraszony, albo to dobry aktor — a może jedno i drugie.

Sampson stanął za plecami Bree. Nie wyciągnęli broni, chociaż absolutnie nie ufali chłopakowi.

Bree trzymała dłoń na pistolecie.

— Powiedz mi, co o tym wiesz — odezwała się.

Wraz z Sampsonem zbliżyli się do okna z przeciwnych stron. Pierwsza ruszyła Bree. Musiała schylić głowę, by zmieścić się w wykuszu mansardy.

Z tej pozycji widziała, że chłopiec opiera stopy o krawędź ozdobnego wykończenia muru.

Pod nim był dach tylnej werandy, a mniej więcej trzy metry niżej niewielki ogród, obumarły jak to w listopadzie.

— Nie podchodź — ostrzegł chłopak — bo ucieknę. Bardzo szybko biegam. Nie złapiecie mnie.

— Dobrze. Ale przynajmniej otworzę okno.

Stary blokowy mechanizm wymagał pewnej siły, lecz w końcu Bree zdołała podnieść ramę na kilkanaście centymetrów.

— Co tu robisz? — spytała.

— Wiem, co było. Zabili chłopca i dziewczynę w tym pokoju. Innych na dole.

Miał afrykański akcent. Bree obstawiała, że pochodzi z Nigerii.

— Skąd tyle wiesz? — zapytała. — Dlaczego mam ci wierzyć?

— Jestem czujką, ale niedługo mnie zmuszą, żebym poszedł z nimi zabijać innych. — Spojrzał za Bree i Sampsona. — Nie chcę tego robić. Proszę. Jestem katolik.

— Już dobrze — odparła Bree. — Nie musisz nikogo krzywdzić. Ja też jestem katoliczką. Zejdź stamtąd, to będziemy mogli...

— Nie! — Znów jedną ręką puścił kratę, grożąc, że zeskoczy i ucieknie. — Nie próbuj ze mną sztuczek!

— Dobrze, dobrze. — Bree uniosła ręce. Następnie przyklękła nieco bliżej. — Po prostu porozmawiajmy. Powiedz mi coś jeszcze. Jak się nazywasz?

— Benjamin.

— Benjaminie, czy wiesz coś o mężczyźnie, którego nazywają Tygrysem? Czy on tu był?

Alex opowiedział jej o Tygrysie przez telefon. Morderca ponoć przebywał w Afryce, ale te informacje mogły się okazać błędne.

Chłopiec powoli pokiwał głową.

— Znam, tak. — Po czym dodał: — Ale jest więcej niż jeden. Więcej niż jeden Tygrys.

To dopiero zaskokowało Bree — i przypuszczała, że również Alexa nieźle by zaskoczyło.

— Wielu ludzi nosi ten przydomek? — spytała. — Jesteś pewien?

Mały znów kiwnął głową.

— Tu, w Waszyngtonie?

— Tak. Może dwóch czy trzech.

— I w Nigerii też?

— Tak.

— Ilu jest Tygrysów, Benjaminie? Wiesz?

— Nie mówili mi, ale dużo. Wszyscy bossowie gangów to Tygrysy.

Bree zerknęła przez ramię na Sampsona, a potem znów na chłopca.

— Benjaminie, chcesz usłyszeć sekret?

Chyba był zmieszany tym pytaniem. Rozglądał się na boki. Potem spojrział w dół, by sprawdzić drogę ucieczki.

Właśnie wtedy Bree ruszyła naprzód. Szybko! Dużo szybciej, niż Benjamin mógł się spodziewać.

Rozdział 65

Sięgnęła przez kraty i zacisnęła dłoń na chudym nadgarstku chłopaka.

— Sampson, leć!

— Puszczaj mnie! — wrzeszczał mały.

Próbował zeskoczyć, a jego ciężar przyciągnął Bree do prętów. Pod tym kątem nie mogła go podźwignąć, więc pozostawało nie zważać na ból i trzymać, dopóki Sampson nie złapie chłopaka od dołu. Szybciej, John, myślała. Zaraz go puszcze!

— Benjaminie, zapewnimy ci bezpieczeństwo. Musisz z nami iść.

— Nie, pieprzona suko! — wrzasnął. — Okłamałaś mnie!

Jego przemiana była zaskakująca. W przerażonych oczach dostrzegła teraz wściekłość. Paznokciami drapał dłoń Bree aż do krwi. Czy kłamał? Czy w rzeczywistości był jednym z zabójców?

W końcu usłyszała kroki Sampsona gdzieś w dole. Szybciej, John!

Gdy już myślała, że pęknie jej ręka, chłopak się wyrwał. Opadł na dach werandy i zeskoczył dwa i pół metra na ziemię.

Dwa szybkie kroki i już wspinał się na niewysoki jesion, który

ledwie wytrzymał jego ciężar, nie mówiąc już o ciężarze dorosłego.

Kiedy Sampson wybiegł z za domu, chłopak przeskoczył bokiem przez wysoki płot z cedrowego drewna i wylądował w uliczce po drugiej stronie.

Kilka sekund później Bree wyszła przez drzwi frontowe.

Do uliczki nie prowadziła furtka. Musieliby teraz przebiec przez dom, wyjść drugimi drzwiami i obejść posesję tylko po to, by dowiedzieć się tego, co już wiedzieli: Benjamin dawno uciekł.

Pięć minut później rozesłali nakaz aresztowania, ale Bree nie liczyła na zbyt wiele. Myślami powróciła do Alexa. Zastanawiała się, jak nawiązać kontakt.

— Musi się o tym dowiedzieć. I to zaraz. Tylko że nie wiem, jak się z nim skontaktować. Ani nawet gdzie teraz jest.

Rozdział 66

Tej części Afryki nie polecano na wędrówki z plecakiem ani fotosafari. Wycie hien bez przerwy przypominało mi, gdzie się znalazłem. Podobnie działały znaki drogowe z hasłami typu: UWAGA — LWY — KROKODYLE!

Wyjazd z Sierra Leone i powrót do Nigerii okazał się jeszcze bardziej skomplikowany, niż przypuszczałem. A do tego niebezpieczny. Pułapki czekały niemal na każdym zakręcie.

Na przykład teraz. Drogę blokowały dwa wojskowe jeepy stykające się maskami. Nie było to jednak zwykłe przejście graniczne. Wyjechaliśmy z Koidu przed niecałą godziną.

— Czy oni naprawdę są przedstawicielami władz? — spytałem Mosesa. — Czy można to po czymś poznać?

Wzruszył ramionami, wierząc się niepewnie w fotelu mazdy.

— Mogą być z RUF.

Naliczyłem sześciu. Wszyscy mieli na sobie mieszaninę roboczych mundurów i ubrań cywilnych, a na nogach znane mi już japonki. Każdy był uzbrojony, włącznie z tym, który obsługiwał działko zamontowane na jednym z jeepów.

Do mojego okna podszedł tyczkowaty facet w kasztanowym berecie. Miał przekrwione oczy, jakby był naćpany. Jedną ręką uniósł karabin, a drugą wyciągnął w moim kierunku.

— Papiery.

Na razie zachowałem spokój. Podałem mu policyjne pozwolenie oraz mój paszport. Ledwie na nie zerknął.

— Pięćdziesiąt dolarów. Za wizę.

Bez względu na to, czy ci ludzie rzeczywiście reprezentowali władze, w tym momencie zrozumiałem, że chodzi o zwyczajne wymuszenie.

Podniosłem wzrok i spojrzałem wprost w nabiegłe krwią oczy mężczyzny.

— Dziś rano rozmawiałem z ambasadą Stanów Zjednoczonych we Freetown. Wiceambasador Sassi osobiście mnie zapewnił, że moje dokumenty są w porządku. Więc w czym problem?

Wbił we mnie wzrok, ale nie drgnąłem. Z pobocza ruszyło dwóch kolejnych strażników, ale mężczyzna uniósł dłoń, by zaoszczędzić im trudu.

— Tak czy inaczej, dziesięć za pasażera. Dwadzieścia, jeśli w leone.

Obaj wiedzieliśmy, że tym razem zapłacę. Nie chciałem kusić losu. Dałem mu dwa banknoty pięciodolarowe i ruszyliśmy dalej — w każdym razie do następnej blokady.

Zanim dotarliśmy do prawdziwej granicy, natknęliśmy się jeszcze na cztery kolejne. Przy każdej odbył się podobny rytuał. Im dalej, tym było łatwiej, a przynajmniej taniej. Kiedy w Bo Waterside wjechaliśmy wreszcie do Liberii, stałem się uboższy tylko o jakieś dwadzieścia pięć dolarów.

Najcenniejszy był czas, który straciliśmy.

Do Monrowii dotarliśmy dopiero po zmroku, a ponieważ nie mieliśmy gwarancji, że dalej na wschód zdobędziemy jakieś zapasy, musieliśmy tu zanocować.

Przez całą noc bardzo się martwiłem i kiepsko spałem. Na razie byliśmy bezpieczni, ale przemieszczaliśmy się wolniej niż Tygrys.

Znowu mi uciekał.

Rozdział 67

Jechaliśmy przez cały następny dzień, aż zapadła noc. Zmienialiśmy się za kierownicą, by nadrobić stracony czas. Po drodze Moses opowiedział mi, że większość tutejszych ludzi jest taka jak on — a nie taka jak RUF, a tym bardziej jak Tygrys i jego gang morderców.

— W Afryce jest wielu dobrych ludzi, ale nie ma nikogo, kto pomógłby im walczyć z diabłami — rzekł.

Niecałe pół godziny na wschód od Monrowii minęliśmy ostatni billboard i ostatnią wieżę radiową. Wjechaliśmy w gęsty las deszczowy, który ciągnął się godzinami.

Czasami otwierał się na wielokilometrowe przesieki pełne pieńków podobnych do pomników nagrobnych.

Zwykle jednak droga wiodła przez tunel bambusów, palm, mahoniowców i oplecionych pnączami drzew, których nigdy wcześniej nie widziałem. Liście i niskie krzewy ocierały się o boki pick-upu.

Późnym popołudniem dotarliśmy nad morze. Jechaliśmy przybrzeżnymi równinami i rozległymi stepami stanowiącymi kompletne przeciwieństwo dżungli, którą opuściliśmy.

O zachodzie słońca zobaczyłem ogromną kolonię flamingów, ty-
siące oszałamiająco pięknych ptaków — niezwykle morze różu w
pomarańczowym blasku.

W końcu musieliśmy się zatrzymać na noc. Obaj byliśmy zbyt
zmęczeni, by jechać dalej. Zасыpiając, zastanawiałem się, ilu ojców
może powiedzieć swym dzieciom, że spędziło noc w prawdziwej afry-
kańskiej dżungli.

Rozdział 68

Obudziłem się po kilku godzinach. Moses już rozkładał śniadanie na tylnej klapie auta.

Parówki z puszki, parę poobijanych pomidorów i dwulitrowy dzbanek wody.

— Wygląda apetycznie — powiedziałem. — Dziękuję.

— Jeśli chcesz się obmyć, to tam jest rzeka. — Ruchem głowy wskazał drugą stronę drogi. Zauważyłem, że ma przemoczoną koszulę. — Niedaleko.

Rozgarniając ramionami busz, obszedłem ogromny ciernisty krzew, tak jak zrobił to przede mną Moses.

Mniej więcej po dwudziestu pięciu metrach skończyły się zarośla i wyszedłem na błotnisto-żwirowy brzeg.

Sama rzeka była szeroką, mętną zieloną taflą. Ledwo dostrzegalem ruch wody.

Zrobiłem krok naprzód i zapadłem się po kostki w błocie.

Gdy się cofnąłem, muł ściągnął mi but. Cholera. Chciałem się umyć, a nie ubrudzić.

Rozejrzałem się po brzegu. Ciekawe, gdzie mył się Moses.

Najpierw musiałem odzyskać but. Schyliłem się, wetknąłem dłoń w szlam i zacząłem szukać. Okazał się przyjemnie chłodny.

Nagle woda przede mną zawrzała. Coś chropowatego, jak ogromna kłoda, wynurzyło się bardzo, ale to bardzo szybko.

Zobaczyłem, że to autentyczny, wielki krokodyl. Wbił we mnie czarne ślepie. Podano śniadanie.

Cholera. Cholera. Żegnaj, bucie. Żegnaj, rękę lub nogo?

Zacząłem się niezwykle powoli wycofywać. Na razie wielka bestia wychyliła spod wody tylko odrobinę łuskowatego grzbietu. Widziałem pękaty zarys jej pyska. Ani na sekundę nie spuszczała mnie z oczu.

Wstrzymywałem oddech i wciąż wycofywałem się centymetr po centymetrze.

Jednak przy następnym kroku źle stanąłem w błocie. Upadłem! Krokodyl skoczył naprzód, jakby tylko czekał na sygnał.

Trzy, a może nawet cztery metry cielska wynurzyły się z wody i leciały wprost na mnie, wijąc się na boki.

Spróbowałem podciągnąć nogi, choćby tylko po to, by opóźnić nieuniknione ugryzienie. Jak to się mogło stać? Wszyscy mieli rację: nie powinienem był przyjeżdżać do Afryki.

Nagle za mną huknął strzał!

Potem drugi!

Ogromny krokodyl wydał dziwny, wysoki dźwięk, trochę jak krzyk, a trochę jęk. Zwierzę uniosło tylne nogi i znów runęło w muł. Z boku głowy sączyła się krew. Monstrum drgnęło raz jeszcze, po czym cofnęło się i zniknęło pod wodą.

Obejrzałem się i zobaczyłem Mosesa. W dłoni trzymał beretkę.

— Bardzo przepraszam. Zapomniałem powiedzieć, żebyś wziął to na wszelki wypadek.

Rozdział 69

Afryka! Czy jest na świecie drugie takie miejsce? Wątpię.

Następnego dnia dotarliśmy do Porto Novo i uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli do Lagos pojedę autobusem. Przed publiczną toaletą na dworcu autobusowym stał jakiś mężczyzna. Chciał mnie zmusić do zapłaty za wejście, aż w końcu powiedziałem, że przedź nasikam mu na buty. Roześmiał się i zszedł mi z drogi.

Następnie pożegnałem się z Mosesem, który z dumą odjechał swoim nowym pick-upem. Nigdy się nie dowiedziałem, czy był dobrym samarytaninem, czy oportunistą, ale wierzę, że jednak samarytaninem. Zawsze będę go uważał za swego pierwszego przyjaciela w Afryce.

W hotelu w Lagos zmyłem z siebie trzy dni kurzu, potu i krwi. W łazienkowym lustrze spojrzałem na swój krzywy nos. Alex, ale z ciebie numer, pomyślałem. W końcu padłem na łóżko, by zadzwonić do domu.

Tym razem zacząłem od telefonu do Bree. Dobrze było po prostu usłyszeć jej głos, ale ciepłe powitanie nie trwało długo.

Miała wiadomość, która nie mogła czekać — o nowym morderstwie w domu przy Eighteenth Street oraz o młodym chłopcu, którego tam spotkała. Powiedział, że jest więcej niż jeden Tygrys. Flaherty

tłumaczył mi to samo, lecz ja miałem pewność, że szukam konkretnego mordercy, czułem to przez skórę.

— Jeśli ten chłopak mówił prawdę — odparła Bree — to jest to jak dotąd najlepsza informacja z wewnątrz. On był w tym gangu. Alex, w Waszyngtonie mógłbyś robić tyle samo dobrego, jeśli nie więcej. Wróć do domu.

— Bree, w tej chwili mówisz o świadku widmie. Małym chłopcu. A ja wiem, że człowiek, który zabił Ellie i jej rodzinę, jest teraz tutaj. W Lagos.

Przynajmniej tak mi podpowiadał instynkt. Któż mógł to teraz wiedzieć?

— Zobaczę, czego jeszcze mogę się dowiedzieć, zwłaszcza o nim. — Jej głos był oschły.

Jak dotąd właściwie nigdy się nie kłóciliśmy, ale teraz niewiele brakowało.

— Posłuchaj, Bree — powiedziałem. — Przysięgam, że nie zostanę tu dłużej niż trzeba.

— Myślę, że mamy bardzo różne wyobrażenie na temat tego, co to oznacza.

— Może masz rację. — Powinienem to pewnie zachować dla siebie, ale w tej chwili miałem Bree do zaoferowania tylko prawdę. — Tęsknię za tobą jak szalony — powiedziałem w końcu. To inny rodzaj prawdy i zmiana tematu. — Co masz na sobie? — zażartowałem.

Wiedziała, że nie mówię poważnie, i roześmiała się.

— Myślisz, że gdzie ja teraz jestem? Przez biurko gapi się na mnie Brzydki Fred — w tle rozległ się okrzyk protestu — a w pokoju jest połowa oddziału specjalnego. Mam mówić dalej?

Podziękowałem i pożegnaliśmy się. Zanim wybrałem numer do domu przy Fifth Street, usłyszałem chrzęst przy drzwiach!

— Kto tam? — zawołałem. — Halo?

Drzwi otworzyły się tak szybko, że nie zdążyłem nawet, wstać z łóżka. Rozpoznałem kierownika recepcji.

Nie znałem jednak dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i białych koszulach, którzy stali za nim w holu.

— Co pan robi w moim pokoju? — zapytałem. — O co tu chodzi? Kto to jest?

Nie odezwał się ani słowem. Przytrzymał drzwi tamtym dwom i zamknął je od zewnątrz, gdy ruszyli w moim kierunku. Zeskoczyłem z łóżka i stanąłem na podłodze.

— Co to ma być? Co tu się dzieje?

Rozdział 70

— SSS! — krzyknął jeden z nich na cały głos.

Słyszałem już wcześniej ten skrót. State Security Service, nigeryjska służba bezpieczeństwa, jeśli ci ludzie rzeczywiście byli jej agentami.

Ruszyli wprost na mnie, zupełnie nie zważając na konsekwencje. Jeden złapał mnie wokół ramion, a drugi podniósł za nogi.

Co się teraz działo? Czy to naprawdę agenci służby bezpieczeństwa? Kto ich do mnie przysłał? I dlaczego?

Szarpałem się, ale obaj byli ogromni i silni, a na dodatek szybcy i sprawni. Tak wygięli moje ciało, że nie miałem szans się uwolnić.

Przenieśli mnie przez pokój. Następnie usłyszałem otwierane okno i poczułem wilgoć na skórze!

Cały się spałem i zacząłem wzywać pomocy — tak głośno, jak tylko potrafiłem.

Mignęły mi przed oczami niebo, ziemia i basen w dole, po czym mocno uderzyłem plecami o ścianę hotelu.

Znalazłem się nagle na zewnątrz... i wisiałem głową w dół!

— Czego chcecie?! — wrzasnąłem do tego, który trzymał mnie za nogi.

Miał bardzo okrągłą twarz, płaski nos i zmrużone oczy, trochę jak Mike Tyson. Musiałem się powstrzymywać, by z nim nie walczyć, ale z pewnością nie chciałem zostać wypuszczony.

Ponad moimi wygiętymi kolanami widziałem wyszczerzoną twarz rzekomego agenta SSS.

— Za długo już tu jesteś, Cross. Pora ci odebrać głos.

Roześmiał się i spojrział przez ramię, by podzielić się żartem z towarzyszem.

Nawet gdyby basen znajdował się wprost pode mną — a tak nie było — to raczej nie miałbym szans na przeżycie upadku z tej wysokości. Krew mi pulsowała. Czulem, jak przepływa przez całe ciało; zwłaszcza w głowie narastało ciśnienie.

Potem jednak znów ruszyłem. W górę!

Mój kręgosłup otarł się boleśnie o aluminiową krawędź okna i wyładowałem na podłodze w pokoju.

Rozdział 71

Skoczyłem na nogi i rzuciłem się na najbliższego agenta SSS, ale ten drugi przycisnął mi broń do żeber.

— Spokojnie — powiedział. — Nie chcesz się teraz dać zastrzelić, co?

Zobaczyłem, że moja torba podróżna leży na łóżku. Spakowana!

— Bierz torbę.

— Kto was przysłał? — zapytałem. — Dla kogo pracujecie? To szaleństwo!

Nie odpowiedział. Złapał mnie i wyciągnął do holu. Dryblas numer jeden zamknął za nami drzwi i schował klucz do kieszeni.

Wtedy obaj po prostu się odwrócili i odeszli.

— Wracaj do domu, detektywie Cross. Nie jesteś tu mile widziany. To ostatnie ostrzeżenie.

Nastąpiło dziwaczne pół minuty, kiedy to obaj czekali na windę, rozmawiając ściszym głosem. Potem spokojnie wsiedli i zostawili mnie samego na korytarzu.

Zdezorientowanego.

I pozbawionego klucza.

Najwyraźniej posunęli się najdalej, jak mogli. Nie wiem, kim byli — agentami rządowymi czy nie — i jakie mieli powiązania z Tygrysem, ale nie zabijali na jego polecenie.

Nawet nie spróbowali wsadzić mnie do samolotu.

Ale dlaczego?

Co się działo w tym ich szalonym kraju?

Rozdział 72

Choć trudno to sobie wyobrazić, w ciągu następnej godziny moja sytuacja w Lagos jeszcze się pogorszyła. W recepcji hotelu twierdzili, że, już się wymeldowałem”, a wszystkie pokoje są zajęte, choć wiedziałem, że to nieprawda.

Dzwoniłem do paru innych hoteli i wszędzie mówiono mi to samo — odrzucanie karty kredytowej. Coraz więcej wskazywało na to, że dwaj silacze, którzy wyeksmitowali mnie z Superiora, naprawdę reprezentowali państwo, cokolwiek to w Lagos znaczyło.

Parę razy próbowałem skontaktować się z Ianem Flahertym i zostawiłem dwie wiadomości w poczcie głosowej, ale nie oddzwonił.

Dlatego zrobiłem następne, co mi przyszło do głowy: wezwałem kierowcę i kazałem się zawieźć na targ Oshodi. Skoro nie mogłem dorwać Flaherty'ego, postanowiłem porozmawiać z jego wartościowym informatorem. Kończyły mi się możliwości.

Wiedziałem, że wpadłem w coś niedobrego, ale w co? Dlaczego wszyscy chcieli się mnie pozbyć z kraju? Jaki to miało związek z zabójstwem Ellie Cox?

Podróż zajęła ponad godzinę, po czym jeszcze przez pięćdziesiąt

minut kręciłem się po targu i wypytywałem ludzi, zanim trafiłem na odpowiedni stragan z dywanami.

Tego dnia nie pracował tam Tokunbo, ale mężczyzna w średnim wieku ślepy na jedno oko. Słabo mówił po angielsku. Słyszając imię Tokunbo, pokiwał głową — dotarłem na właściwe miejsce — ale potem przegonił mnie, bo myślał, że jestem klientem!

Nie mogłem sobie pozwolić na bezczynne czekanie w nadziei na cud, więc pogodziłem się z porażką i wróciłem do samochodu. Jedy-ny plan C, jaki przychodził mi do głowy, polegał na skontaktowaniu się z amerykańskim konsulem.

Kiedy jednak w ślimaczym tempie poruszaliśmy się ku wyspie Victoria, wpadłem na inny pomysł. Plan D.

— Czy mógłby się pan zatrzymać?

Szofer zaparkował na poboczu za starym, spalonym fordem ran-gerem. Poprosiłem, by otworzył bagażnik, i wyjąłem z niego torbę podróżną.

Szukałem spodni, które miałem na sobie pierwszego dnia w Nige-rii. Koszulę już wyrzuciłem, ale byłem przekonany, że...

Tak, spodnie wciąż były w torbie — zakrwawione i śmierdzące po pobycie w więzieniu.

Sprawdziłem przednie kieszenie, ale były puste.

To, czego szukałem, znalazłem w tylnej. W Kirikiri zabrali mi wszystko, co miałem przy sobie, ale jedną rzecz przeoczyli — wizy-tówkę księdza Bombaty.

Zwróciłem się do kierowcy, który czekał niecierpliwie na wpół wy-chylony z samochodu.

— Ile pan chce za skorzystanie z pańskiej komórki? — spytałem.

Rozdział 73

Dwie godziny później w wielkim stylu jadłem kolacją z księdzem Bombata w jego gabinecie w kościele Chrystusa Odkupiciela, rozległym kompleksie w centrum Lagos.

— Dziękuję, że mnie ksiądz przyjął — powiedziałem. — I za to wszystko. Byłem głodny.

Siedzieliśmy przy wielkim stole i jedliśmy mięso kudu, kabaczki i sałatkę, popijając południowoafrykański zinfandel. Przy krześle z wysokim oparciem oraz sięgającym od podłogi do sufitu oknie za plecami drobnutki ksiądz wydawał się jeszcze mniejszy. Ciężkie czerwone zasłony wpuszczały do pomieszczenia tylko dwie cienkie smużki wieczornego światła.

— Co się panu stało w twarz? — zapytał Bombata z autentyczną troską w głosie. — Albo może powinienem spytać: co się stało z tym drugim facetem?

Zdążyłem już niemal całkiem zapomnieć, jak wyglądam. Nos przestał mnie boleć chyba w Ghanie.

— Wypadek przy goleniu — odparłem i zmusiłem się do krzywego uśmiechu. Nie chciałem, by kolejna osoba miała powód uważać, że powinienem wrócić do domu najbliższym samolotem. — Otrzymałem niepokojące informacje na temat mordercy o przydomku Tygrys.

Czy uważa ksiądz, że może istnieć więcej niż jeden Tygrys? Działający w różnych miejscach? Na przykład tutaj i w Stanach?

— Wszystko jest możliwe — odrzekł ksiądz Bombata z życzliwym uśmiechem. — Ale tak naprawdę nie to pana interesuje, prawda? W każdym razie owszem, to prawdopodobne, szczególnie jeśli zamieszany jest rząd. Albo wielki biznes. Wiele osób mogłoby zatrudnić najemnych morderców. To tutaj częste.

— Ale dlaczego rząd? Albo korporacja?

— Dysponują metodami kontroli informacji niedostępnymi dla innych. A także kontroli dezinformacji.

— Dlaczego mieliby się angażować!

Wstał, żeby dolać mi wina.

— Wyobrażam sobie kilka przyczyn. Lecz wykazałbym się brakiem odpowiedzialności, gdybym sugerował, że na pewno są w to zamieszani. Tak naprawdę nie mam pojęcia. To imię to symbol: Tygrys. Zdaje sobie pan sprawę, że w Afryce nie ma tygrysów, prawda? Może w jakimś zoo.

— Wiem. W każdym razie ja szukam prawdziwego człowieka. Muszę się dowiedzieć, dokąd pojechał. Zabił moją przyjaciółkę i jej rodzinę. Również inne rodziny padły jego ofiarą.

— Jeśli mogę wtrącić... — Ksiądz spojrział na mahoniowy zegar stojący przed nim na biurku. — Z tego, co pan mówi, wynikało, że w tej chwili przede wszystkim musi pan znaleźć miejsce do spania.

— Nie chciałem o to prosić.

— Nie musi pan. Nie mogę zaproponować noclegu tutaj. Sam podjąłbym ryzyko, ale nie narażę mojego zgromadzenia. Mogę pana natomiast zaprowadzić do naszego schroniska dla mężczyzn. Maksymalna długość pobytu wynosi pięć dni. Hotel to co prawda nie jest...

— Zgoda. Dziękuję — powiedziałem.

— Co zaś się tyczy pańskiego tajemniczego Tygrysa, niewiele mogę pomóc.

— Rozumiem.

Czułem spore rozczarowanie, ale starałem się go nie okazywać.

Ksiądz Bombata uniósł dłoń.

— Szybko pan myśli, prawda? Może czasem za szybko. Miałem zamiar powiedzieć, że w tej sprawie nie potrafię panu pomóc, ale znam kogoś, kto może zdoła. To moja kuzynka. Najpiękniejsza kobieta w Nigerii. Ale oczywiście nie jestem obiektywny. Sam pan oceni.

Rozdział 74

Nazywała się Adanne Tansi i zgodnie ze słowami księdza okazała się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek poznałem. Była dziennikarką „Guardiana”, największej gazety w Lagos.

Jej gabinet miał wymiary mniej więcej dwa na dwa i pół metra, a może nawet mniej. Gdy tylko wszedłem, miałem nadzieję, że nie pachnę tak, jakbym spędził noc w zatłoczonym przytułku dla bezdomnych.

Przez następną godzinę Adanne opowiedziała mi, że od dwóch lat pisze o oryginalnym Tygrysie i jego gangu, ale wciąż pozostaje on tajemniczą postacią.

— Nie mam pewności, czy istnieje więcej Tygrysów. Ale także słyszałam tę pogłoskę. Możliwe, że to tylko gangsterski mit. Może sam go rozpowszechnia. Kto wie, co taki człowiek uczyniłby gazecie, gdyby tylko zechciał.

— Albo dziennikarce!

Wzruszyła ramionami.

— Są rzeczy ważniejsze niż życie. Przecież pan tu przyjechał, prawda? Więc też ryzykuje pan życie.

Uśmiechnąłem się.

— Chyba rzeczywiście.

Złapałem się na tym, że nie mogę od niej odwrócić wzroku, choć nie chciałem być niegrzeczny. Adanne Tansi olśniewała tak jak niektóre aktorki. Trudno było nie zwrócić uwagi na jej wysokie kości policzkowe, ciemne, sarnie oczy, ale także sposób bycia. Wydawało się, że niczego się nie boi, i zastanawiało mnie, skąd się coś takiego bierze. Miała wiele do stracenia, a traktowała to lekko.

Podniosła długopis. Wcześniej nie zauważyłem, że pośród masy papierów na biurku miała również notes.

— Żadnych notatek — zaprotestowałem. — To nie wywiad. Jestem tu tylko turystą. Wyraźnie mi to uzmysłowiono.

Adanne natychmiast odłożyła długopis. Uśmiechnęła się, jakby po prostu musiała spróbować.

— Czy podejrzewa pani, gdzie teraz może być Tygrys? — ciągnąłem. — Albo jak się tego dowiedzieć?

— Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: nie — odparła. — A na drugie: chyba tak.

Rozdział 75

Czekałem, ale na tym poprzestała. Po kilku sekundach zrozumiałem, że w Lagos biuro każdej gazety to targowisko.

— W zamian za co? — spytałem w końcu.

Adanne znów się uśmiechnęła. Była kokieteryjna — i sprytna.

— Dobry artykuł o amerykańskim policjancie szukającym mordercy pokroju Tygrysa... Tego nie można nie wydrukować.

Położyłem ręce na poręczach krzesła i gotów byłem wyjść.

— Nie.

Nagle popatrzyła mi prosto w oczy.

— Detektywie, czy zdaje sobie pan sprawę z tego, ile dobrego mógłby sprawić taki artykuł? Ten potwór w ludzkiej skórze ma na sumieniu setki ofiar, może nawet więcej.

— Wiem — powiedziałem, bardzo starając się panować nad głosem. — Jedną z nich była moja przyjaciółka.

— A jedną mój brat — odparła Adanne. — Więc rozumie pan, dlaczego chcę napisać artykuł.

Jej słowa rozbrzmiały w niewielkim pokoju. Nie była zła; mówiła w sposób wyważony, ale z pasją.

— Proszę pani...

— Niech mi pan mówi Adanne. Wszyscy się tak do mnie zwracają.

— Adanne, nie wątpię, że to dla ciebie bardzo ważna sprawa, ale cię nie znam. Chciałbym ci zaufać, lecz nie mogę.

Jej spojrzenie dowodziło, że jeszcze jej nie utraciłem.

— Mam jednak nadzieję, że i tak mi pomożesz — powiedziałem. — Przy okazji, jestem Alex. Wszyscy się tak do mnie zwracają.

Zastanowiła się nad moimi słowami i widziałem, że toczy wewnętrzne zmagania. Taka otwartość to niecodzienne zjawisko u dziennikarzy, w każdym razie u tych, których znałem z Waszyngtonu.

W końcu wstała.

— Dobrze — rzuciła. — Zobaczę, co mogę dla ciebie zrobić. Wchodzę w to. — Znów podniosła długopis: onyksowy ze srebrną końcówką, taki, jakie daje się w prezencie. — Gdzie cię znajdę, Alex?

W przytułku dla mężczyzn przy kościele Chrystusa Odkupiciela — właśnie tam teraz mieszkam, pomyślałem.

Nie wiem, czy dostrzegła moje wahanie. Choć może to niemądre, miałem ochotę zrobić na Adanne Tansi wrażenie.

— Zadzwońię do ciebie — powiedziałem. — Jutro z samego rana. Obiecuję.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

— Wierzę ci, detektywie. Przynajmniej na razie. Proszę, nie zawiadź mnie.

Jakże mogłoby mi to przyjść do głowy, Adanne?

Rozdział 76

Muhammad Szol, biznesmen, o którego koneksjach dużo się mówiło, stał w otwartych podwójnych drzwiach swego gigantycznego domu i przypominał własny portret oprawiony w kosztowne ramy. Główny budynek jego posiadłości miał prawie dwa tysiące metrów kwadratowych, a dom gościnny kolejne siedemset pięćdziesiąt. Mężczyzna należał do najbogatszych ludzi w południowym Darfurze i okazywał to przy każdej okazji.

Teren otoczony wysokim murem z kilkoma bramami, wraz z przylegającą szklarnią cytrusów, sam w sobie stanowił dobitny symbol: kto, jeśli nie diabeł, żyje jak król w samym środku piekła?

Tygrysowi nie przeszkadzało robienie interesów z diabłami. To dla niego była codzienność. Specyfika jego zawodu, a gdyby używał wizytówek, czarny diabeł mógłby widnieć na firmowym logo.

Szol uśmiechnął się szeroko na widok rosłego, dość przystojnego handlarza i mordercy. Ucisnął mu dłoń, chwytając go pod łokciem.

- Witaj, przyjacielu! Oczywiście pański zespół poczeka tutaj.
- Oczywiście.
- Dostaną jeść.

— Oni są zawsze głodni.

Tygrys powierzył dowodzenie Rakiecie, wiedząc, że utrzyma dyscyplinę. Chłopcy czekali przed bramą frontową. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie podwórka, stało dwóch strażników Szola w cywilnych ubraniach. Przyglądali się młodym, nie kryjąc rozbawienia. Sami zaczęli na ulicach.

Niech będą butni i pewni siebie, myślał Tygrys, obserwując starszych wartowników. Zawsze wychodził korzystnie na tym, że go nie doceniano.

Ruszył za Muhammadem Szolem przez imponujący korytarz i wewnętrzny dziedziniec. Z jednej strony domu dochodziły kuchenne zapachy kardamonu i wołowiny, z drugiej — głosy chłopców recytujących coś po arabsku. To dobitniej ilustrowało stanowisko polityczne Szola.

W końcu dotarli do szklanych drzwi na przeciwległym krańcu dziedzińca.

Za nimi widać było ogrodzony gaj egzotycznych drzew owocowych. Szol przystanął.

— Tam porozmawiamy. Czy mogę zaproponować herbatę! A może sok grejpfrutowy?

Ta druga oferta była formą przechwałki, ponieważ taki sok należał tu do rzadkich przysmaków.

— Nic — odparł Tygrys. — Tylko to, po co przyjechałem. Zaraz potem pójdę.

Szol odprawił służącego szybkim ruchem ręki, po czym wyjął klucz z kieszeni galabii i otworzył drzwi.

W szklarni było przyjemnie. Panowała kontrolowana temperatura, a powietrze było nieco wilgotne. Niski parasol liści rzucał cień na podłogę z płytek. Górę zamykał sufit ze szkła i stali.

Szol wskazał Tygrysowi drogę do niewielkiej strefy jadalnej na tyłach pawilonu.

Wokół lśniącego stołu z drewna cyprysowego stały cztery rattanowe krzesła. Szol usunął na bok młode drzewko w doniczce.

Następnie wprowadził kod do sejfu ukrytego w podłodze za rośliną.

Wewnątrz znajdowała się grubo wypchana papierowa koperta. Mężczyzna ją wyjął i położył na stoliku pomiędzy sobą a Tygrysem.

— Wszystko jest w środku.

Gdy Tygrys sprawdził zawartość, położył paczuszkę na podłodze i rozparł się na krześle. Szol się uśmiechnął.

— Dużo pan tu zrobił — rzekł Tygrys, ruchem dłoni wskazując pomieszczenie. — Jestem pod wrażeniem.

Polechtany komplementem biznesmen znów się uśmiechnął.

— Otrzymałem liczne błogosławieństwa.

— Nie tylko. Nie próżnował pan. Widzę, że jest pan mądrym człowiekiem.

— To prawda. Parlament, moje firmy... Na wszystko inne zostaje niewiele czasu.

— Podróże — powiedział Tygrys. — Spotkania w dzień i nocą? No i oczywiście rodzina.

Szol pokiwał głową. Z wyraźną przyjemnością rozmawiał na własny temat.

— Tak, tak. Niemal codziennie.

— Mówi pan rzeczy, których nie powinien mówić. Naraża najbliższych na ryzyko.

Biznesmen przestał kiwać głową. Najwyraźniej zapomniał, że boi się patrzeć Tygrysowi w oczy, i właśnie to zrobił.

— Nie. Naprawdę. Nie rozmawiałem o interesach z panem ani z nikim innym.

— Tak — odparł Tygrys i nawet nie drgnął. — Naprawdę. Rozmawiał pan. Zna pan taką dziennikarkę, Adanne Tansi? — Jednym palcem rozchylił kołnierzyk. Odezwał się do mikrofonu. — Rozpirzyć tę chatę! Teraz, Rakietą. Nie oszczędźcie nikogo. Zróbcie pokazówkę.

Rozdział 77

Kilka sekund później w całej szklarni rozniosło się echem kilka strzałów dochodzących z zewnątrz. Następnie rozległ się terkot broni maszynowej.

Muhammad Szol próbował wstać, ale szybki i zwinny Tygrys już zacisnął mu dłonie na gardle i zaczął go dusić. Uderzył nim o ścianę; po szkłe jak pajęczyna rozpełzło się pęknięcie.

— Słyszysz to?! — wrzasnął na cały głos. — Słyszysz? To twoja wina!

Znów rozległy się strzały. Potem krzyki — najpierw kobiet, a po chwili chłopców. Ich głosy brzmiały piskliwie i żałośnie.

— To — powiedział Tygrys — jest dźwięk twoich błędów, twojej chciwości, twojej głupoty.

Szol obiema dłońmi szarpał ogromne, nieruchome nadgarstki Tygrysa. Oczy mu poczerwieniały, a żyły na skroniach omal nie pękły. Zabójca patrzył zafascynowany. Nauczył się, że można doprowadzić człowieka na skraj śmierci i utrzymać go w takim stanie, jak długo się zechce. Podobało mu się to, ponieważ gardził Szolem i ludźmi jego pokroju.

Drzwi szklarni rozprysły się, gdy dwaj ochroniarze wpadli do środka, by ratować szefa.

— Wejdźcie! — krzyknął Tygrys.

Jednym ruchem obrócił Muhammada Szola i wyciągnął pistolet z kabury na kostce. Ruszył przed siebie, osłaniając się biznesmenem jak tarczą, a po drodze strzelał!

Jeden ochroniarz padł na ziemię z dziewięciomilimetrową dziurą w gardle. Drugi trafił swego szefa w wyciągniętą dłoń, a potem w ramię.

Szol wrzasnął, a Tygrys pchnął go ostatnie kilka metrów wprost na strażnika. Obaj upadli. Wtedy Tygrys strzelił ochroniarzowi w twarz.

— *Oga!* — zawołał Rakietka, który pojawił się w pustych drzwiach.

W ulicznej mowie Lagos *oga* oznaczało wodza. Tygrys lubił to określenie, a jego młodzi żołnierze nazywali go tak sami z siebie.

W domu niemal całkowicie ucichły krzyki, ale wciąż słychać było strzały i trzask tłuczonych sprzętów. Chłopcy musieli wyładować złość i energię.

— Był tu nauczyciel. Uczyl dzieci.

— Załatwione — zameldował Rakietka.

— Dobrze. — Tygrys obserwował, jak Szol usiłuje wstać. Strzelił mu w nogę. — Albo założą ci opaskę uciskową, albo umrzesz — powiedział do biznesmena. Następnie zwrócił się do Rakietki. — Zwiążcie pana Szola. A potem włóż mu to do ust. Albo w dupę, jak wolisz.

„To” oznaczało granat M67.

— Zanim wyjdiesz, wyciągnij zawleczkę.

Rozdział 78

Wszystko wciąż wydawało mi się nierealne i przypominało jakieś urojenie.

O dwudziestej pierwszej zamykano drzwi kościelnego przytułku. Nikt nie mógł już wejść ani wyjść. Biorąc pod uwagę ruch panujący w Lagos, ledwo zdążyłem na czas.

Moja prycza stała w końcu jednej z trzech wysokich sal sypialnych odchodzących od głównego korytarza, w którym rano miało zostać podane śniadanie.

Alexie Cross, na co ci przyszło? — pomyślałem. Co tym razem zrobiłeś?

Na łóżku obok leżał ten sam facet co zeszłej nocy, Jamajczyk o imieniu Oscar. Mało się odzywał, ale jego umęczone spojrzenie i na wpół zagojone ślady po igle mówiły wszystko.

Leżał na boku i obserwował, jak szukam szczoteczki do zębów.

— *Hey, mon* — szepnął. — Jakiś niski ojczulek cię szuka. Tam jest.

W drzwiach stał ksiądz Bombata. Gdy na niego spojrzałem, skinął palcem, po czym opuścił salę.

Wyszedłem za nim do holu pełnego nowo przybyłych. Przepchnąłem się przez tłum w stronę drzwi frontowych i wreszcie go dogoniłem.

— Proszę księdza?

Wtedy zobaczyłem, że wybiera numer w komórce. Ciekawe, do kogo dzwonił. Czy miałem usłyszeć jakieś dobre, czy złe wieści?

— Pani Tansi chce z panem rozmawiać — powiedział i podał mi aparat.

Adanne miała wiadomości! W południowym Darfurze doszło do zamachu na jednego z reprezentantów sudańskiej Rady Stanów. Wymordowano również jego rodzinę.

— Czy są jakieś powiązania z Baselem Abboudem w Waszyngtonie? — spytałem.

— Jeszcze nie wiem, ale Tygrys często robi interesy w Sudanie.

— Broń? Heroina? Jakie interesy?

— Chłopcy. Jego lojalni żołnierze. Prowadzi rekrutację w obozach dla uchodźców w Darfurze.

Głęboko westchnąłem.

— Mogłaś mi o tym powiedzieć wcześniej.

— Wynagrodzę ci to. Mogę nam załatwić lot do Nijali na jutro rano.

Zamrugąłem.

— Powiedziałaś: nam?

— Tak. Chyba że wolisz polecieć komercyjną linią do Al-Faszir i poszukać sobie transportu naziemnego. Twój wybór.

W innych okolicznościach w ogóle nie brałbym tego pod uwagę. Jednakże nigdy dotąd nie znajdowałem się osiem tysięcy kilometrów od domu bez żadnej poszlaki i nie spałem w przytulku dla bezdomnych.

Zasłoniłem telefon dłonią.

— Proszę księdza, czy mogę jej ufać! Czy mogę jej powierzyć swoje życie?

— Tak, to dobry człowiek — odparł ksiądz Bombata bez wahania. — I jak już mówiłem, jest moją kuzynką. Wysoka i piękna, dokładnie tak jak ja. Naprawdę może pan jej ufać.

Wróciłem do rozmowy przez telefon.

— Nic nie ukaże się drukiem, póki oboje tego nie ustalimy. Umo-
wa stoi?

— Zgoda. Spotkamy się o piątej przy głównym wjeździe do obozu
wojskowego Ikeja. Aha, Alex, przygotuj się emocjonalnie. Darfur to
naprawdę straszne miejsce.

— Widziałem już w życiu parę strasznych rzeczy — odparłem. — A
nawet trochę więcej.

— Możliwe, ale czegoś takiego nigdy. Uwierz mi.

Część trzecia

Obóz

Rozdział 79

Jak dotąd koneksje Adanne okazywały się bardzo dobre. Byłem pod wrażeniem tego, jak szybko i skutecznie załatwia sprawy.

Następnego ranka wystarczyła krótka rozmowa na pasie startowym oraz jedno połączenie radiowe, żeby sierżant Unii Afrykańskiej wpuścił nas na pokład transportowca C-130.

Już przed szóstą wystartowaliśmy. Byliśmy jedynymi cywilami w samolocie wiozącym proso, sorgo i olej jadalny do Darfuru.

Moje śledztwo trwało dalej. Teraz wzbilo się do chmur i, jak się zdawało, miało jeszcze więcej sensu niż dotychczas.

Od jednego z członków personelu samolotu pożyczyłem mapę, z której dowiedziałem się, że Darfur ma rozmiar Teksasu. Jeśli miałem coś osiągnąć, musiałem poczynić pewne założenia — po pierwsze, że kiedy zamordowano rodzinę Szolów, Tygrys przebywał w Nijali, a po drugie, że informacja Adanne była prawdziwa i on nadal zabierał chłopców z tamtejszych obozów dla przesiedleńców.

Jak bardzo mógł się oddalić w ciągu osiemnastu godzin? To następne pytanie, które wymagało odpowiedzi.

Podczas lotu Adanne cierpliwie opowiadała mi o Darfurze i Sudanie.

Chociaż była powściągliwa, nie mogła ukryć okropności, zwłaszcza wyrządzonych kobietom i dzieciom. Tysiące zgwałcono, a następnie napiętnowano, by jeszcze bardziej je upokorzyć.

— Gwałt stał się w tej wojnie domowej okrutną bronią. Amerykanie sobie tego nie wyobrażają. Nie są w stanie. Czasem dzandzawidzi najpierw łamią kobiecie nogi, żeby nie mogła uciekać i do końca życia została inwalidą. Lubią chłostać ofiary, łamać im po kolei palce, wrywać paznokcie — mówiła Adanne głosem ledwie wznoszącym się ponad szept. — Nawet część żołnierzy „sił pokojowych” jest winna gwałtów oraz wykorzystywania kobiet z obozów dla uchodźców jako prostytutek. Co gorsza, sporą odpowiedzialność ponosi rząd Sudanu. Alex, nie uwierzysz w to, co tam zobaczysz.

— Chcę to zobaczyć — odparłem. — Obiecałem pewnemu człowiekowi w Sierra Leone, że opowiem Amerykanom o tym, co tu się dzieje.

Rozdział 80

— To jest Kaima. — Adanne wskazała żółty trójkąt na mapie. — Jeden z największych obozów w Darfurze. Mogę się założyć, że Tygrys dobrze go zna. Tak jak każdy w tych stronach.

— Co oznaczają pozostałe kolory? — spytałem.

Adanne wyjaśniła, że łącznie istnieje ponad sto obozów. Na zielono zaznaczono niedostępne w porze deszczowej, a na niebiesko — zamknięte dla cywilnych organizacji ze względu na walki toczące się obecnie w tamtych rejonach. Kolor żółty, tak jak w przypadku Kalmy, oznaczał obóz otwarty. To właśnie tam chcieliśmy zacząć polowanie na Tygrysa.

— A te?

Przesunąłem palcem wzdłuż linii czerwonych ikon w kształcie płomienia. Były ich dziesiątki. Adanne westchnęła.

— Na czerwono oznacza się wioski, które zostały zniszczone. Dżandżawidzi palą wszystko, co się da: zapasy żywności, inwentarz żywy... Ciała ludzi i zwierząt wrzucają do studni.

Wszystko po to, żeby nikt tam nie wrócił. Po arabsku *dżandżawid* oznacza jeźdźca z bronią.

Nazywano tak członków arabskich milicji. Powszechnie uważano,

że obecny rząd wspiera je w staraniach, by uczynić życie czarnych Afrykanów w tym rejonie jak najniebezpieczniejszym. Do tej pory z miejsc zamieszkania uciekły aż dwa miliony ludzi, a ponad dwieście tysięcy zginęło. O tylu przynajmniej wiadano.

To druga Rwanda. Właściwie coś gorszego. Tym razem cały świat patrzył i niemal nie kiwnął palcem.

Spoglądałem przez okienko na krajobraz sahelu trzy i pół tysiąca metrów pod nami.

Z tej wysokości wyglądał pięknie — żadnej wojny domowej, żadnego ludobójstwa, żadnej korupcji. Nic tylko bezkresny, spokojny pas jasnobrazowej, wyrzeźbionej ziemi.

To oczywiście fałsz.

Piękny, diaboliczny fałsz.

Ponieważ wkrótce mieliśmy wylądować w piekle.

Rozdział 81

W bazie w Nijali załatwiliśmy sobie transport do obozu Kaima w konwoju pięciu ciężarówek wiozących worki ze zbożem oraz skrzynie z terapeutycznym mlekiem F75 i F100. Zdawało się, że Adanne zna tutaj wszystkich. Z zainteresowaniem patrzyłem, jak pracuje. Najwyraźniej jej tajemnicą nie była uroda, ale życzliwy uśmiech. Raz za razem skutkowałam w kontaktach z przepracowanymi ludźmi żyjącymi w ekstremalnym stresie.

Gdy w końcu ujrzeliśmy Kalmę, uznałem, że określenie „obóz” nie jest właściwe.

Owszem, stały tam namioty, szałas i chaty z drewna i słomy, ale ciągnęły się kilometrami. Mieszkało tu sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. To było całe miasto. I to pełne nieznośnego cierpienia, rozpacz i śmierci wywołanej niezliczonymi przyczynami, od ataków dżandżawidów przez dyzenterię aż do porodów bez lekarstw, a zwykle również bez asysty lekarza czy położnej.

Przynajmniej w okolicach centrum obozu widzieliśmy oznaki jakiejś stabilizacji. Trwała lekcja w niewielkiej szkole na wolnym powietrzu, a w kilku ceglanych budynkach o dachach z blachy falistej

racjonowano ograniczone zapasy pożywienia.

Adanne dokładnie wiedziała, dokąd powinniśmy się udać w pierwszej kolejności. Zaprowadziła mnie do namiotu urzędu komisarza ONZ do spraw uchodźców, gdzie młody żołnierz zgodził się dla nas tłumaczyć, chociaż wielu mieszkańców obozu trochę mówiło po angielsku.

Nazywał się Emmanuel. Był równie rosy, żyłasty, miał równie ciemną skórę i głęboko osadzone oczy jak wielu tak zwanych Zagubionych Chłopców, którzy w ciągu wielu lat wyemigrowali do Waszyngtonu. Znał angielski, arabski i dinka.

— Ludzie tutaj to głównie Furowie — wyjaśnił, kiedy ruszyliśmy długą gruntową aleją. — A osiemdziesiąt procent to zmalretowane kobiety.

— Ich mężczyźni na ogół nie żyją, szukają pracy lub starają się o przesiedlenie — dodała Adanne. — Alex, jesteśmy w najbardziej bezbronnyim mieście świata. Bez porównania. Sam się przekonasz.

Łatwo zrozumiałem, co mieli na myśli. Większość osób, z którymi rozmawialiśmy, to kobiety pracujące przed domostwami. Przypominały mi Moseśa i jego kolegów, ponieważ równie chętnie dzieliły się z obcym człowiekiem swymi strasznymi historiami.

Jedna z nich, Madina, plotła matę ze słomy. Z płaczem opowiedziała o przybyciu do Kalmy. Dżandżawidzi zniszczyli jej wioskę. Okaleczyli i zamordowali jej męża, matkę i ojca. Większość sąsiadów i przyjaciół spłonęła żywcem w chatach.

Madina przybyła tu z trójką dzieci i bez dobytku. Na nieszczęście wszystkie zmarły w obozie.

Na maty do spania, które wyrabiała, istniał popyt ze względu na robaki, które nocą wychodziły spod ziemi i wwierały się w skórę

uchodźców. Zarobki przeznaczala na ziarno i cebulę, choć liczyła, że kiedyś zgromadzi wystarczająco dużo, by kupić trochę płótna. Od przybycia chodziła w tym samym *toobie*.

— Kiedy to było? — spytała Adanne.

— Trzy lata temu — odpowiedziała ze smutkiem Madina. — Jeden rok na jedno moje dziecko.

Rozdział 82

— Nie zapomniałam o twoim Tygrysie — powiedziała Adanne, gdy powoli maszerowaliśmy dalej. — Rekrutuje tu chłopców. To dla niego łatwe rozwiązanie.

— Miałaś rację, gdy mówiłaś o okropnościach.

Chciałem rozmawiać z ludźmi z możliwie największej liczby sektorów, lecz gdy zbliżyliśmy się do jednego z namiotów medycznych, znów musiałem się zatrzymać. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie szokującego.

Namiot był przepelniony chorymi i umierającymi pacjentami. Na każdej pryczy leżało co najmniej dwóch. Wszelką wolną przestrzeń wypełniały ciała niczym w układance. Co gorsza, na zewnątrz ciągnęły się długie kolejki. Co najmniej trzysta bardzo chorych kobiet i dzieci czekało na leczenie albo miejsce na godniejszą śmierć.

— Niestety, niewiele można zrobić, by ulżyć ich cierpieniu — powiedziała Adanne. — Lekarstw brakuje. Większość transportów zostaje skradziona, nim tutaj dotrze. Szerzy się głód, zapalenie płuc, malaria. Nawet biegunka może być śmiertelna. Kłopoty z wodą i straszne warunki sanitarne powodują, że problemom nie ma końca.

Dostrzegłem jednego lekarza i dwie pielęgniarki wolontariuszki.

I tyle. To był cały personel szpitala dla tysięcy bardzo chorych ludzi.

— Nazywają to „drugą fazą” kryzysu — ciągnęła Adanne. — Więcej osób umiera w obozach niż poza nimi. Tysiące, Alex. Każdego dnia. Ostrzegalam, że to przerażające.

— Ujęłaś to zbyt delikatnie — odparłem. — To niewyobrażalne. Ci wszyscy ludzie... Dzieci...

Przyklęknałem obok dziewczynki w jednym z nielicznych łóżek. Jej zamglone oczy wyglądały surrealistycznie. Odgoniłem stado czarnych, bzyczących much, które zebrały się obok jej ucha.

— Jak powiedzieć „Bóg z tobą”? — spytałem Emmanuela.

— *Allah ma 'ak* — odrzekł.

— *Allah ma 'ak* — powiedziałem zatem do maleńkiej dziewczynki, choć nie wiedziałem, czy mnie słyszy.

Tego dnia oderwałem się od śledztwa w sprawie naprawdę strasznych morderstw i znalazłem się w centrum nieopisanej zagłady. Jak to możliwe na tym świecie? Żeby każdego dnia w taki sposób umierały tysiące ludzi?

Adanne położyła mi dłoń na ramieniu.

— Alex? Możemy już iść? Powinniśmy ruszać. Przyjechałeś tutaj z powodu Tygrysa, a nie tego. Nic nie możesz poradzić.

Po jej głosie poznałem, że już to wszystko widziała, zapewne wielokrotnie.

— Jeszcze nie — odrzekłem. — Co tutaj trzeba zrobić! Cokolwiek. Szybka odpowiedź Emmanuela była nieoczekiwana:

— To zależy. Czy któreś z was potrafi się obchodzić z karabinem?

Rozdział 83

Przez następne kilka minut Adanne wyjaśniała to, co powinno być dla mnie oczywiste — że prosta czynność zbierania drewna na opał należała do najniebezpieczniejszych elementów życia w Kaimie.

Po pustyni stale krążyły patrole dżandżawidów, i to niedaleko obozu. Osoby opuszczające jego teren ryzykowały, że zostaną zgwałcone, zastrzelone albo jedno i drugie. Gdy to możliwe, zdesperowane zbierające drewno kobiety oraz ich dzieci korzystały z eskorty żołnierzy Unii Afrykańskiej. Zwykle jednak były zdane na siebie. Brak drewna oznaczał brak możliwości nakarmienia rodziny.

Emmanuel dał mi starszy model M16 wyposażony w przyzwoity celownik.

— Nie wahaj się pociągnąć za spust — powiedział. — Bo gwarantuję, że dżandżawidzi nie będą mieli oporów. To wprawni strzelcy, nawet gdy jeżdżą na koniach lub wielbłądach.

— Nie zawaham się — obiecałem.

Adanne chwyciła mnie za łokieć i zaraz puściła.

— Alex, jesteś pewien? — spytała. — Rzeczywiście chcesz się angażować?

— Jestem pewien.

Mniej więcej godzinę później wyruszyliśmy z nieustraszoną grupą dwudziestu paru zbieraczek.

Kilka miało na plecach dzieci. Jedna zabrała osła i wózek na drewno.

Musiałem to zrobić, w czymkolwiek pomóc. Na tyle siebie znałem: to tkwiło w mojej naturze. Adanne poszła z nami, ponieważ, jak powiedziała: „Teraz czuję się za ciebie odpowiedzialna. W końcu to ja cię tu sprowadziłam, prawda?”.

Rozdział 84

Lata zbierania drewna coraz dalej od obozu sprawiły, że marsz stał się daleki i straszny.

Postanowiłem wykorzystać czas na rozmowę z jak największą liczbą kobiet. Jak się okazało, jedna miała informację o znikających chłopcach, a może także o Tygrysie.

— Mówi, że w jej sektorze jest pewna chata — przekazał Emmanuel. — Mieszkało w niej kilku chłopców. Ale już ich nie ma.

— To chyba nie jest niezwykle — odparłem.

— Owszem, tylko że oni zostawili wszystkie swoje rzeczy. Mówi, że w obozie widziano rosłego mężczyznę w mundurze polowym. Ktoś jej powiedział, że to Tygrys.

— Czy któryś z zaginionych chłopców miał w obozie rodziców?

— Nie.

— Czy ktoś widział, jak odchodzili?

— Odeszli z tym ogromnym mężczyzną.

Po dwóch godzinach marszu w końcu dotarliśmy do długiego ciągu niskich, rachitycznych zarośli. Kobiety rozciągnęły na ziemi płachty i zaczęły łamać gałązki. Adanne i ja dołączyliśmy, podczas gdy

Emmanuel wypatrywał na horyzoncie patrolów dżandżawidów.

Pracując ramię w ramię ze zbieraczkami, bez tłumacza byłem zdany głównie na kontakt wzrokowy oraz gesty. Zdawało się, że kobiety nie zwracają uwagi na zadrapania na ramionach. Z łatwością wyprzedzały nowicjuszy i starały się nie śmiać z naszej nieporadności.

Z pewną młodą matką nawiązałem porozumienie bez słów. Robiliśmy do siebie głupie miny jak małe dzieci. Wydęła wytatuowaną na niebiesko wargę. Ja przyłożyłem do głowy dwa patyki jak rogi jelenia. To ją bardzo rozbawiło. Przyłożyła dłoń do ust, choć nie do końca zasłoniła olśniewająco promienny uśmiech.

Nagle jednak spoważniała.

Powoli opuściła rękę, a jej wzrok skupił się na czymś w oddali.

Obróciłem się — ale widziałem tylko odległą chmurę kurzu.

Wtedy Emmanuel zaczął krzyczeć, by wszyscy uciekali!

— Szybko! Już! Uciekajcie! Wracajcie do obozu!

Rozdział 85

Dżandżawidzi!

Już ich widziałem. Jechało ku nam na koniach kilkunastu uzbrojonych morderców.

W powietrzu unosiła się jakaś mgielka, swoisty miraż, przez co trudno było oszacować dokładną liczbę. Tak czy inaczej, ich tempo nie pozostawiało wątpliwości. Pędzili ku nam, i to szybko.

Dwie kobiety —jedna z dzieckiem, które kurczowo trzymało się jej ubrania — wyprzęgały osła.

— Zabierz je stąd! — zawołałem do Adanne. — Idź z nimi. Proszę.

— Nie macie więcej broni?! — odrzyknęła.

— Nie — odparł Emmanuel. — W tej chwili naszą bronią jest odległość. Idź! Na litość boską, idź! Zabierz je do obozu.

Emmanuel i ja musieliśmy stawić opór dżandżawidom.

Zajęliśmy pozycje za porzuconym wózkiem. Posłużył mi bardziej jako oparcie dla karabinu niż osłona.

Mogliśmy liczyć na przewagę, bo znajdowaliśmy się na ziemi — a oni mieli strzelać z siodeł.

Widziałem ich już w celowniku. Jedenastu brodatych zabójców w workowatych mundurach wymachiwało kałasznikowami.

Właśnie wjeżdżali w nasz zasięg.

To oni pierwsi otworzyli ogień.

Obok nas wzbił się piasek. Nie trafili, ale niewiele brakowało. To nie amatorzy. Już wykrzykiwali pod naszym adresem groźby, przekonani o rezultacie starcia. Dlaczego nie? Przecież przewyższali nas liczebnie: jedenastu do dwóch.

— Teraz? — zapytałem w końcu Emmanuela.

— Teraz! — krzyknął.

Oddaliśmy cztery strzały. Dwa trafiły. Zabójcy osunęli się w siodłach, jakby ktoś upuścił sznurki marionetek, po czym spadli na ziemię. Jednego stratował własny koń. Wyglądało na to, że morderca skręcił kark.

Kiedy znów pociągnąłem za spust, dotarło do mnie, że teraz wszystko się zmieniło. Moje pierwsze zabójstwo w Afryce.

Z tyłu usłyszałem krzyk i ścisnęło mnie w trzewiach. Jedna z uciekających kobiet została trafiona — albo zabłąkaną kulą, albo celowo.

To nie Adanne, stwierdziłem, szybko obejrzawszy się przez ramię.

Adanne biegła nisko pochylona. Próbowwała dotrzeć do rannej kobiety, która wiała się na ziemi. Na szczęście dostała tylko w ramię. Tylko.

Gdy znów odwróciłem się do dżandzawidów, zobaczyłem, że dwóch jeźdźców się zatrzymało. Zeskakiwali z koni — nie po to, by pomóc rannym braciom, lecz aby zająć lepszą pozycję strzelecką.

Reszta szybko się zbliżała. Znajdowali się pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów od nas.

Emmanuel i ja mieliśmy ten sam odruch. Strzeliliśmy do jeźdźców

na przodzie, raz za razem. Następnie do tych leżących na ziemi. W ciągu następnych trzydziestu sekund poległo kolejnych trzech napastników.

Wtedy Emmanuel krzyknął, padł na ziemię i zaczął się wić z bólu. Dopadła nas reszta dżandżawidów.

Rozdział 86

W powietrzu wszędzie unosiły się tumany kurzu. To chyba dobrze, bo musieli strzelać na oślep — ale ja też. Z tej odległości huk wystrzałów karabinów był ogłuszający.

Jeden z jeźdźców przebił się przez chmurę pyłu i przemknął tuż obok mnie. Instynktownie chwyciłem go za nogę i nie puściłem. Pęd porwał mnie z miejsca, koń powlókł przez sekundę lub dwie, po czym jeździec zsunął się z siodła i runął na ziemię.

Chwyciłem jego karabin i zatrzymałem przy nogach. Strzeliłem i raniłem kolejnego jeźdźcę. A potem następnego w brzuch. Byli pewni siebie — bo zbieraczki opałü zwykle nie mogą stawić oporu — ale brakowało im wyszkolenia, a pomimo tego, co mówił Emmanuel, niewielu ludzi potrafi celnie strzelać z siodła.

Trzech jeźdźców złamało szyki i zaczęło uciekać. Dało mi to odrobinę nadziei — nie dużo, ale odrobinę.

Popędziłem do mężczyzny, którego ściągnąłem z konia. Przycisnąłem mu głowę do ziemi i mocno uderzyłem prosto w gardło.

— Nie ruszaj się!

Nie musiał znać angielskiego, żeby zrozumieć, co mówię. Leżał zupełnie nieruchomo.

— Alex!

Głos dobiegł z tyłu.

To Adanne.

Ona i jeszcze jedna kobieta wymachiwały patykami, by odgonić konia ostatniego jeźdźca. Kilka kobiet znajdowało się na ziemi z rękami nad głową. Na pewno wciąż myślały, że zaraz zginą.

Adanne znów machnęła kijem i koń stanął dęba. Jeździec stracił uchwyt i spadł.

— Alex, biegnij!

To Emmanuel się uniósł. Mierzył w dzandżawida ze swej pozycji na ziemi.

Ruszyłem sprintem w stronę kobiet.

Zrzucony jeździec właśnie wstawał. Dopadając go, obróciłem karabin. Spojrzał na mnie w porę, by dostać kolbą w twarz. Nos mu eksplodował.

— Adanne, weź jego broń. Nic ci nie jest? — zapytałem.

— Zaraz nie będzie.

Emmanuel wołał do mnie, krzyczał:

— Puść ich, Alex! Puść ich!

Nie umiałem się powstrzymać.

— O czym ty mówisz? Przecież musimy ich zamknąć.

W tym samym momencie dotarła do mnie prawda o sytuacji, w jakiej się znalazłem. Ta sama gra, inne zasady.

— Nie ma sensu aresztować dzandżawidów — odezwała się Adanne. — Znają ludzi władzy, a ludzie władzy znają ich. To by tylko ściągnęło na obóz więcej kłopotów. ONZ nie może pomóc. Nikt nie może.

Zatrzymałem karabin dzandżawida, ale pokazałem mu, by wsiadł na konia.

I wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Roześmiał mi się w twarz. Odjechał, wciąż się śmiejąc.

Rozdział 87

ONZ nie może pomóc. Nikt nie może. Tak właśnie uważali uchodźcy w obozie Kaima. Wiedzieli, że taka jest prawda, a teraz i ja to rozumiałem.

Mieszkańcy obozu umieli jednak okazać wdzięczność za drobne przysługi i dobre intencje.

Tej nocy kilka kobiet wykorzystało cenne drewno na opał, by przygotować kolację dla naszej trójki w ramach podziękowania za udzieloną pomoc. Pozbawianie tych ludzi jedzenia wydawało mi się niewyobrażalne, ale Emmanuel zapewnił, że to jedyna stosowna reakcja.

Zaszokował mnie, pojawiając się na kolacji w bandażach i z uśmiechem na ustach. W ręku miał torbę cebuli, którą skombinował na tę okazję.

Potem wszyscy usiedliśmy wokół ognia, by spożyć *kisrę* i duszone warzywa. Jedliśmy ze wspólnej miski wyłącznie prawą ręką. Czulem, że tak właśnie trzeba. Przeżyłem niemal religijne doświadczenie, wyjątkowe pod wieloma względami.

To byli dobrzy ludzie, którzy nie z własnej winy znaleźli się w tragicznej sytuacji.

Mimo to nawet oni swobodnie rozmawiali o ludowej, brutalnej sprawiedliwości. Pewna kobieta z dumą opowiedziała, jak w jej wiosce

postępowano z przestępcami. Wszyscy mieszkańcy rzucali się na nich z ostrymi przedmiotami, dźgali ich, po czym zakładali im na szyję oponę wypełnioną benzyną i podpalali. Żadnego sądu, żadnych badań DNA i najwyraźniej żadnych wyrzutów sumienia ze strony samozwańczych stróżów prawa.

Podczas kolacji mnie i Adanne traktowano jak gości honorowych. Wciąż napływali kolejni ludzie i każdy chciał nas dotknąć.

Kiedy w pobliżu nie było Emmanuela, sens słów wypowiedzianych w dinka lub po arabsku wychwytywałem z ciepłego tonu i mowy ciała.

Kilkakrotnie w środku zdań dosłyszałem coś, co brzmiało jak „Ali”. Adanne również zwróciła na to uwagę.

W pewnym momencie nachyliła się do mnie i powiedziała:

— Uważają, że wyglądasz jak Muhammad Ali.

— To właśnie mówią?

— To prawda, Alex. Rzeczywiście jesteś podobny do niego z czasów, gdy był mistrzem świata. Wiesz, tutaj wciąż go kochają. — Z uśmiechem skinęła głową w stronę grupki młodych kobiet, które kręciły się w pobliżu. — Myślę, że przy okazji zyskałeś kilka fanek.

— Zazdrosna? — spytałem z szerokim uśmiechem.

Od wielu dni nie byłem równie szczęśliwy i odprężony. Mała dziewczynka nieproszona wdrapała jej się na kolana i zwinęła w kłębek.

— Tego wyrazu nie ma w moim słowniku — powiedziała Adanne. Potem się uśmiechnęła. — No, może odrobinę zazdrosna. Przynajmniej dzisiaj.

Bardzo polubiłem Adanne. Była odważna i taktowna, a ksiądz Bombata miał rację: to dobry człowiek. Tego dnia ryzykowała życie dla zbieraczek chrustu, a może również dlatego, że czuła się za mnie odpowiedzialna.

Pozostaliśmy przy ognisku do późnego wieczora, a tłum ciągle

rósł. Właściwie dorośli przychodzili i odchodzili, ale dzieci wciąż się wokół nas kręciły. Były publicznością, której nie mogłem się oprzeć. Adanne również. Czują się przy nich bardzo swobodnie.

Wstałem i z pomocą Emmanuela opowiedziałem improwizowaną wersję jednej z ulubionych bajek moich dzieci.

To historia małego chłopca, który najbardziej ze wszystkiego na świecie chciał się nauczyć gwizdać. Tym razem dałem mu na imię Deng.

— Deng próbował...

Wydałem policzki i dmuchnąłem, a dzieci tarzały się ze śmiechu, jakby nigdy nie słyszały czegoś równie śmiesznego. Pewnie podobało im się, że potrafię się wygłupiać i żartować z samego siebie.

— I próbował...

Wybałuszylem oczy i dmuchnąłem prosto w ich twarze, a gdy wciąż się śmiały, poczułem sporą satysfakcję. Ten wieczór był jak oaza spokoju i radości pośród wszystkiego, czego doświadczyłem od przybycia do Afryki.

— Lubisz dzieci, prawda? — spytała Adanne, kiedy skończyłem bajkę i znów obok niej usiadłem.

Ze śmiechu miała oczy pełne łez.

— Lubię. Masz dzieci?

Pokręciła głową i popatrzyła mi w oczy. W końcu się odezwała.

— Nie mogę mieć dzieci. Kiedy byłam bardzo młoda... zostałam zgwalcona. Użyli trzonka łopaty. To nieważne. Ani dla mnie, ani dla nikogo innego. — Uśmiechnęła się. — Ale wciąż mogę lubić ich towarzystwo. Świetnie sobie z nimi radzisz.

Rozdział 88

Kolejna minuta wydała się czymś niemożliwym. Nie tej nocy. Żadnej nocy.

Dżandżawidzi wrócili. Pojawili się znikąd, wyłonili się z ciemności jak duchy. Napad był nagły i bezwstydnym. Wdarli się do obozu.

Trudno oszacować, ilu ich było, lecz co najmniej kilkudziesięciu. Jednego chyba rozpoznałem — tego, który zaśmiał mi się w twarz, gdy go wypuściłem.

Tym razem przybyli pieszo, bez koni czy wielbłądów. Mieli broń palną, a także noże i pejczy. Kilku wymachiwało włóczniami.

Jeden powiewał flagą Sudanu, jakby przybyli tu w imieniu państwa. Zresztą może tak było. Kolejny niósł sztandar przedstawiający groźnego białego jeźdźca na granatowym tle — symbol dżandżawidów.

Kobiety i dzieci, które przed minutą śmiały się i bawiły, teraz krzyczały, usiłując uciec w bezpieczne miejsce.

Atak był szatański. Czyste zło, podobnie jak te morderstwa w Waszyngtonie. Dorośli mężczyźni siekli bezbronnych uchodźców i strzelali do nich. Parę metrów ode mnie kryty strzechą dach chaty zajął się ogniem. Napastnicy podpalili starszego mężczyznę.

Przybywali kolejni dżandżawidzi — na koniach, wielbłądach oraz w dwóch land cruiserach z zamontowanymi karabinami maszynowymi. Nic tylko cięcie, zabijanie, krzyki wniebogłosy — ten atak nie miał innego celu.

Załatwiłem kilku sukinsynów, ale nic nie mogłem poradzić przeciwko takiej liczbie. Teraz rozumiałem to, co mieszkańcy tego obozu, tego kraju wiedzieli od dawna: nikt nie może nam pomóc.

Jednak tej nocy ktoś pomógł. W końcu jeepami i furgonetkami nadjechali sudańscy żołnierze i paru z sił ONZ. Dżandżawidzi zaczęli uciekać. Zabrali z sobą kilka kobiet i zwierząt.

Ostatni mściwy, bezsensowny czyn: podpalili magazyn prosa.

W końcu znalazłem Adanne. Tuliła w ramionach dziecko, które przed chwilą oglądało śmierć swojej matki.

Zaległa dziwna cisza, przerywana jedynie płaczem ludzi i niskim wyciem wiejącego harmattanau.

Rozdział 89

Kiedy w końcu położyłem się na słomianej macie w namiocie, nadchodził ranek. Namiot udostępni mi pracownicy Czerwonego Krzyża i byłem zbyt zmęczony, by ich przekonywać, że nie potrzebuję dachu nad głową.

Nagle otworzyła się kłapa wejścia. Podniosłem się na łokciu, by zobaczyć, kto przyszedł.

— Alex, to ja, Adanne. Mogę wejść?

— Oczywiście. — Serce zabiło mi w piersi.

Weszła do namiotu i usiadła obok mnie na macie.

— Straszny dzień — powiedziałem ochrypłym szeptem.

— Nie zawsze jest tak źle — odparła. — Choć bywa gorzej.

Sudańscy żołnierze wiedzieli, że w obozie jest dziennikarz. I Amerykanin. To dlatego przegonili džandzawidów. O ile to możliwe, chcą uniknąć złej prasy.

Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się. Adanne też. Nie był to radosny uśmiech. Wiedziałem, że mówi prawdę, ale wydawało się to tak absurdalne i niedorzeczne.

— Alex, mamy dzielić jeden namiot — powiedziała w końcu Adanne. — Masz coś przeciwko temu?

— Dzielić z tobą namiot? Nie, chyba to zniosę. Postaram się.

Wyprostowała się na macie. Wyciągnęła rękę i pogładziła moją dłoń. Odpowiedziałem uściskiem.

— Masz kogoś w Ameryce? — spytała.

— Mam. Nazywa się Bree. Też jest detektywem.

— To twoja żona?

— Nie. Byłem żonaty... kiedyś. Moją żonę zamordowano. Dawno temu.

— Przepraszam, że zadaję tyle pytań. Powinniśmy już iść spać.

Tak, zdecydowanie powinniśmy.

Trzymaliśmy się za ręce, póki nie odplynęliśmy w sen. Tylko trzymaliśmy się za ręce.

Rozdział 90

Następnego dnia wyjechaliśmy z obozu Kaima. W nocnym ataku zginęło dziewięciu uchodźców, a kolejna czwórka zaginęła. Gdyby to się stało w Waszyngtonie, wrzałoby już całe miasto.

Jedną z ofiar był Emmanuel. Dżandżawidzi obcięli mu głowę, zapewne dlatego, że wcześniej wraz ze mną stawiał im opór.

Wspólne przecucie zaprowadziło mnie i Adanne do obozu Abu Szuk, drugiego co do wielkości w tym rejonie. Spotkaliśmy się tam z chłodniejszym przyjęciem niż w Kaimie.

Poprzedniej nocy wybuchł tu duży pożar, przez co personel miał pełne ręce roboty. Kazano nam czekać w głównym namiocie administracji.

— Chodźmy — powiedziałem, kiedy nikt nie zajął się nami przez niemal półtorej godziny.

Musiała biec, żeby mnie dogonić. Ruszyłem wzdłuż rzędu budowli wyglądających jak schrony. Abu Szuk miało o wiele bardziej jednolity i ponury charakter niż Kaima. Niemal wszystkie budynki były identycznie wyglądającymi konstrukcjami z suszonej cegły.

— Dokąd? — spytała Adanne, gdy mnie wreszcie dogoniła.

— Tam, gdzie są ludzie.

— Dobrze, Alex. Dziś będę detektywem tak jak ty.

Po trzech godzinach mieliśmy za sobą sześć niemal kompletnie bezproduktywnych rozmów, w których Adanne starała się pełnić funkcję tłumacza. Mieszkańcy początkowo byli równie przyjaźni jak ci z Kalmy, lecz gdy tylko wspominałem o Tygrysie, natychmiast milkli albo odchodzili. Potwierdzili, że tu bywał, ale nie chcieli powiedzieć nic więcej.

W końcu dotarliśmy na kraniec obozu. Dalej piaszczysta równina ciągnęła się w kierunku niewysokich, jasnobrązowych gór i zapewne band dżandżawidów.

— Alex, musimy wracać — oświadczyła Adanne stanowczym tonem. — Niestety, to niewiele dało, prawda? Jesteśmy odwodnieni i wciąż nie wiemy, gdzie dziś przenocujemy. Będziemy mieli szczęście, jeśli ktoś nas podwiezie do miasta — przystanąła i rozejrzała się wokół — jeśli w ogóle uda nam się przed zmrokiem odnaleźć drogę do namiotu administracji.

Obóz był niesamowitym labiryntem, pełnym rzędów identycznych chatek. I wysiedleńców, tysiocy ludzi, wielu chorych i umierających.

Odetchnąłem głęboko, by przegonić frustrację, która ogarnęła mnie tego dnia.

— Dobrze. Masz rację. Chodźmy.

Ruszyliśmy w drogę powrotną i właśnie wyszliśmy zza węgła, gdy znów przystanąłem. Wyciągnąłem rękę, by Adanne nie zrobiła ani kroku dalej.

— Stój. Nie ruszaj się — powiedziałem cicho.

Z jednego z domków wyszedł rosły mężczyzna. Jego odzież w każdym innym miejscu uznałbym za zwyczajną. Tutaj identyfikowała go jako osobę z zewnątrz.

Był ogromny i potężnie zbudowany. Miał wydatne czoło i ogoloną głowę. Nosił ciemne spodnie, białe *dasziki* z długim rękawem oraz okulary przeciwsłoneczne.

Zrobiłem krok w tył, by pozostać niewidoczny.

To on. Byłem pewien, że to ten sam sukinsyn, którego widziałem w Chantilly. Tygrys — ten, którego ścigałem.

— Alex...

— Cicho. To on.

— O Boże, rzeczywiście!

Mężczyzna dał znak komuś, kogo nie widzieliśmy, a wtedy z chatki za jego plecami wyszło dwóch chłopców. Jeden był mi obcy. Drugi miał na sobie czerwono-białą koszulkę Houston Rockets. Natychmiast rozpoznałem w nim bandytę z Sierra Leone.

Adanne mocno ścisnęła mnie za ramię i szepnęła:

— Co chcesz zrobić?

Oddalali się, lecz wciąż ich widzieliśmy.

— Oczekaj pięć minut, a potem poszukaj drogi powrotnej. Znajdę cię.

— Alex!

Otworzyła usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkła. Chyba w moich oczach zobaczyła, jak bardzo jestem zdeterminowany. Zrozumiałem, że wszystko, co mi powiedziano, to prawda. Reguły, które znałem, nie miały tutaj zastosowania.

Nie było mowy o tym, by go aresztować i zawieźć do Waszyngtonu.

Musiałem zabić Tygrysa, może już tutaj, w obozie Abu Szuk.

Nie czułem szczególnych skrupułów. Tygrys to morderca.

A ja wreszcie go dopadłem.

Rozdział 91

Trzymałem się z tyłu i śledziłem zabójcę z bezpiecznej odległości. Nietrudno było nie tracić go z oczu. Nie miałem konkretnego planu. Na razie.

Wtedy przed jednym z domków zobaczyłem łopatę. Zabrałem ją i szedłem dalej.

Niedawno zaszło słońce, była to pora, kiedy wszystko ma niebieski odcień, a dźwięk dobrze się niesie. Może mnie usłyszał, ponieważ się odwrócił. Czmychnąłem w bok i chyba mnie nie zauważył, przy najmniej taką miałem nadzieję.

Chaty wzdłuż ścieżki stały jedna przy drugiej. Wepchnąłem się w trzydziestocentymetrową szparę między dwoma takimi domami. Bo obu stronach miałem ściany z szorstkiej suszonej cegły. Obcierały mi ramiona, gdy usiłowałem precyzyjnie się na drugą stronę i ponownie zlokalizować Tygrysa.

Dotarłem mniej więcej do połowy, kiedy w przejście wkroczył jeden z młodocianych bandziorów.

Nie ruszał się. Krzyknął tylko coś w joruba.

Obejrzałem się przez ramię. Na drugim końcu przesmyku stał Houston Rockets. W półmroku nie widziałem jego oczu, ale dostrzegłem biel wyszczerzonych zębów.

— To on! — zawołał wysokim głosem przypominającym chichot.
— Ten amerykański gliniarz!

Coś mocno grzmotnęło w ścianę od wewnątrz chaty. Cały dom wygiął się, a na ziemię spadły duże kawały suszonego błota.

— Jeszcze raz! — wrzasnął Rockets.

Zrozumiałem, co się dzieje — chcieli mnie zgnieść w tym ciasnym przesmyku.

Wtedy eksplodowała cała ściana. Posypały się na mnie cegły, gruz i pył.

Przedarłem się naprzód, wziąłem porządny zamach i uderzyłem łopatą najbliższego łobuza.

I wówczas stanąłem oko w oko z Tygrysem.

Rozdział 92

— Teraz umrzesz — powiedział rzeczowo, jakby sprawa była już przesądzona.

Nie wątpiłem, że mówi prawdę.

Sprawiał wrażenie niesamowicie spokojnego. Kiedy wyciągnął ręce, by chwycić mnie za ramię i gardło, w jego oczach ledwie dostrzegalem emocje. Myślałem tylko o tym, że nie mogę wypuścić łopaty, a gdy nadarzy się okazja, muszę jej użyć.

Tygrys rzucił mnie w głąb przesmyku z taką łatwością, jakbym był dzieckiem. Nie — dziecięcą lalką. Wylądowałem na szczątkach drewna i tynku. Coś ostrego rozorało mi plecy.

Dostrzegłem, że Houston Rockets blokuje mi odwrót. Nie miałem dokąd uciec.

Tygrys ruszył wprost na mnie. Z całej siły zamachnąłem się łopatą i celowałem w kolana.

Trafiłem — w baseballu takim uderzeniem nie wybiłbym piłki w trybuny, ale na pewno w koniec boiska. Tygrys zgiął się, ale nie upadł. Niewiarygodne. Grzmotnąłem go w rzepki, a on wciąż stał i patrzył na mnie spode łba.

— To wszystko, na co cię stać? — zapytał.

Zupełnie jakby nic nie poczuł. Podniosłem więc znów łopatę

i trafiłem go w lewe ramię. Musiało zboleć, ale jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— A teraz moja kolej — powiedział. — Zniesiesz cios!

Nagle oślepił mnie reflektor. Zza niego dobiegały głosy. Kto to?

— *Ne bouge pas!*

Słyszałem kroki na piachu i metaliczny szczęk broni. Nagle w przejściu pojawiło się trzech żołnierzy Unii Afrykańskiej.

— *Laisse la tomber!* — krzyknął jeden z nich.

Dopiero po sekundzie zrozumiałem, że jestem podejrzany, tak samo jak Tygrys. A może jeszcze gorzej: jestem jedynym podejrzanym?

Rzuciłem łopatę na ziemię i nie czekałem na dalsze pytania.

— Ten człowiek jest poszukiwany w Stanach Zjednoczonych i w Nigerii za morderstwo. Jestem policjantem.

— *Tais-toi!* — warknął jeden z żołnierzy i uderzył mnie kolbą w twarz.

Jezu! Nie chciałem mieć znów złamanego nosa.

— Posłuchajcie mnie! *Écoutez-moi!* — To senegalski oddział, a ja nie najlepiej radziłem sobie z francuskim. Sytuacja z każdą chwilą coraz bardziej wymykała się spod kontroli. — On ma dwóch współników. *Deux garçons, vous comprenez!* Wszyscy są mordercami!

Za tę ostatnią uwagę zarobiłem cios w brzuch. Zwinąłem się wpół, usiłując złapać oddech, a Tygrys stał nieruchomo, milczał, nie protestował ani słowem.

Był idealnie spokojny. Mądrzejszy ode mnie.

Czyżby panował nad sytuacją? — przemknęło mi przez głowę.

Rozdział 93

Pod bronią wyprowadzili nas z przesmyku między domami i kazali uklęknąć na piachu. Zebrał się tłum liczący już chyba kilkaset osób.

Na miejscu było tylko pięciu żołnierzy UA. Ledwie wystarczało, by mieć nas na muszce, a wszystkich gapiów trzymać na odległość kilku metrów. Parę osób wskazywało palcami Tygrysa. Ponieważ był ogromny? A może dlatego, że wiedzieli, kto to jest? Lub jak bardzo jest niebezpieczny?

— Alex? Alex? — Usłyszałem głos Adanne i żaden dźwięk nie mógł być przyjemniejszy.

Zobaczyłem, jak przeciska się przez tłum. Otworzyła szeroko oczy, gdy zobaczyła, że półtora metra ode mnie klęczy Tygrys. On też ją zauważył.

— Przepuście mnie. Jestem z „Guardiana”.

Wyjęła z kieszeni legitymację dziennikarską, ale żołnierz ją odepchnął.

Znów mnie zawołała. Krzyczała, ryzykując własne bezpieczeństwo.

— Alex! Powiedz im, że „Guardian” pisze o tobie artykuł! Powiedz im, że „Guardian” tu jest. Opiszę ich.

Zaraz potem moje uszy zarejestrowały inny dźwięk — wysokie wy-cie samochodu jadącego na wstecznym biegu!

Czy rzeczywiście? Czy dobrze słyszałem? Kto nadjeżdżał?

Ruch zaczął się na tyłach tłumu. Potem ludzie rozpierzchli się gwałtownie, krzycząc i przeklinając.

Wszystko pogrążyło się w chaosie, jeszcze gorszym niż dotych-czas.

Wąską ulicą na wstecznym biegu bardzo szybko zbliżał się czarny pick-up. Zanosił go na boki i ścinał daszki garnków przed domami. Słyszałem strzały, które mogły dochodzić z wozu.

Żołnierze UA cofnęli się, a pick-up stanął dwadzieścia metrów od nas.

Na tylnej platformie siedział Houston Rockets. Oślaniał się dziewczynką. Mogła mieć dwanaście lub trzynaście lat. Jedną ręką ścisnął ją za gardło. W drugiej — wysoko nad głową, tak by wszyscy widzieli — trzymał granat.

Tygrys nie tracił czasu. Poderwał się i pobiegł do auta. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i mężczyzna zniknął w kabinie.

Wytknął ogromną rękę przez okno i mocno klepnął w dach.

Gdy pick-up odjeżdżał, dziewczynka została wyrzucona z platfor-my. Dzięki Bogu przynajmniej za to.

Lecz gdy patrzyliśmy zszokowani, zamachała rękami w powietrzu i uderzyła głową o ziemię. Potem wybuchła!

Houston Rockets musiał wepchnąć granat w jej ubranie. Nie mieli powodu jej zabijać. To było morderstwo wyłącznie na pokaz. Może przeznaczone właśnie dla mnie.

Lub dla Adanne.

Rozdział 94

Następnego dnia, wyczerpani i przygnębieni, wróciliśmy do Lagos. Najwyraźniej do takiego szaleństwa dochodziło tu częściej. Jak ludzie to znosili?

Adanne nalegała, żebym chociaż na jedną noc zatrzymał się u jej rodziny.

— Co tylko chcesz, Alex. Pragnę dopaść tego mordercę tak bardzo jak ty. Tyle już o nim napisałam.

Miała mieszkanie w centrum, ale pojechaliśmy do domu jej rodziców na wyspie Victoria — w części tej fascynującej metropolii, której dotąd nie poznałem.

Ulice były szerokie i czyste, a żaden budynek nie przekraczał wysokością dwóch kondygnacji. Ściany większości domów pokrywał żółty lub różowy tynk. W powietrzu unosiła się znajoma woń gnijących kwiatów i owoców.

Adanne podjechała do bramy i wstukała kod.

— Alex — odezwała się, zanim wysiedliśmy z samochodu — wolałabym oszczędzić rodzicom stresu i trosk. Powiedziałam, że byliśmy w Abudży. Martwią się wojną domową.

— Dobrze. A zatem Abudża.

— Dziękuję. To bardzo miłe — szepnęła mi do ucha. — O, już idą.

Pomyśla, że jesteś moim nowym chłopakiem. Ale zaraz to wyjaśnię, nie martw się.

Wszyscy wyszli przez wiatę na samochód. Ja wciąż rozmyślałem o koncepcji „nowego chłopaka Adanne”.

Pojawili się dwaj chłopcy, urocze, uśmiechnięte bliźniaki w szkolnych mundurkach z rozwiązanymi krawatami. Przepychali się łokciami, bo każdy chciał jako pierwszy dopaść drzwi Adanne.

Wszyscy ją tulili, a potem przyszedł czas, żeby mnie przedstawić. Byłem „policjantem z Ameryki, który pomaga przy ważnym artykule”. Absolutnie nie byłem jej nowym chłopakiem. Adanne błyskawicznie sprawiła, że każdy śmiał się z tej niedorzeczności. Ha, ha, ależ z niej komediantka.

Rozdział 95

Poznałem jej matkę Somadinę, ojca Uchenę, szwagierkę Nkiru oraz bratanków Jamesa i Calvina. Nigdy nie widziałem miłszych i bardziej życzliwych ludzi. Najwyraźniej uważali za coś naturalnego przybycie obcego człowieka, który miał się u nich zatrzymać na nie wiadomo jak długo.

Przez okna ich skromnego, parterowego domu widziałem przyjemne otoczenie. Z holu otoczony murem ogród pełen tamaryndowców i rabatek z kwiatami. Nawet wewnątrz czułem woń hibiskusa.

Adanne zaprowadziła mnie do gabinetu ojca. Podobnie jak w jej biurze w redakcji „Guardiana”, tu również ściany pokryte były artykułami oprawionymi w ramki.

Zauważyłem, że niektóre dotyczą gangu chłopców morderców oraz mężczyzny, który im przewodzi. W tekście nie pojawiał się jednakże przydomek Tygrys.

— To wszystko twoje artykuły? — spytałem, rozglądając się wokół. — Pracowita z ciebie dziewczynka, co?

Była trochę zażenowana. Po raz pierwszy widziałem u niej oznaki zmieszania.

— Powiedzmy, że nigdy nie musiałam się zastanawiać, czy ojciec jest ze mnie dumny. Matka też.

Na biurku dostrzegłem oprawioną fotografię młodego żołnierza o rysach i oczach Adanne.

— Twój brat?

— Tak, Kalu. — Podeszła i podniosła ją z biurka. W jej spojrzeniu natychmiast pojawił się smutek. — Był w wojskach inżynieryjnych. Mój starszy brat. Uwielbiałam go, Alex. Myślę, że byś go polubił.

Chciałem spytać o jego los, ale tego nie zrobiłem.

— Powiem ci. Dwa lata temu pojechał do Niku na spotkanie Ministerstwa Rozwoju Miejskiego. Tamtego wieczoru w popularnej restauracji wydano prywatną kolację dla piętnastu osób. Nikt nie wie dokładnie, co się stało, ale wszyscy zginęli. Zmasakrowano ich przy użyciu broni palnej i maczet.

Czy to Tygrys? — zastanawiałem się. I jego chłopcy mordercy? Czy to dlatego pisała o nim artykuły? I może dlatego teraz tu byłem? Czy w końcu wszystko układało się w logiczną całość?

Adanne westchnęła i odstawiła fotografię. W zamyśleniu rozgarnęła palcami warkoczyki. Po raz kolejny zwróciłem uwagę na to, jaka jest piękna. Wręcz oszałamiająca. Tego się nie dało zignorować.

— Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Tygryście. Tylko dlatego, że sama zaczęłam grzebać. „Oficjalne” śledztwo policyjne zaprowadziło donikąd. Jak zwykle.

— I wciąż grzebiesz? — spytałem.

Kiwnęła głową.

— Może pewnego dnia będę mogła powiedzieć rodzicom, że sprawa zabójstwa Kalu została rozwiązana. To byłoby coś wspaniałego. „Ułożyłabym sobie karierę”, jak to mówią. Do tego czasu nie rozmawiamy na ten temat. Rozumiesz?

— Rozumiem. I przykro mi.

— Niepotrzebnie. Pracuję nad artykułem, który jest ważniejszy niż kwestia tego konkretnego zabójcy. Dotyczy ludzi, którzy zatrudniają

takich jak on. Tych, którzy chcą rządzić naszym krajem. Naprawdę, temat przeraża nawet mnie.

Przez kilka sekund oboje milczeliśmy, co było dla nas nietypowe. Patrzyliśmy na siebie i to nasze milczenie uległo naglej, ale niezaprzeczalnej zmianie.

Podobnie jak z pewnością większość mężczyzn, chciałem pocałować Adanne, ale się powstrzymałem. Nie chciałem jej obrazić ani znieważać jej rodziców, a przede wszystkim Bree.

Adanne uśmiechnęła się do mnie.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Alex. Nie spodziewałam się tego... po Amerykaninie.

Rozdział 96

Przeprosiłem wszystkich na kilka minut i pożyczyłem od Adanne komórkę, by zadzwonić w pewne miejsce. Nie oczekiwałem, że Ian Flaherty odbierze, ale chciałem przynajmniej spróbować odzyskać kontakt z CIA.

Dlatego zaskoczyło mnie, kiedy odezwał się po drugim dzwonku, a zaraz potem zaszokowało, ponieważ wiedział, że to ja.

— Cross?

— Flaherty? Jak to zrobiłeś?

— Identyfikacja numeru. Słyszałeś o czymś takim?

— Ale...

— Tansi. Nazwisko twojej dziewczyny jest na liście pasażerów lotu UA razem z twoim. Wszędzie cię szukam. I jej, ona też jest gwiazdą. Píše kontrowersyjne artykuły, jeden za drugim. Tu się o niej mówi. Musimy porozmawiać. Poważnie. Wreszcie zwróciłeś moją uwagę. Ten twój morderca, Tygrys, też.

— Poczekaj no chwilę. Zwolnij trochę. — Zdążyłem już zapomnieć, jak szybko Flaherty potrafił mnie wkurzyć. — Szukałeś mnie? Od kiedy? Próbowałem się do ciebie dodzwonić tylko szesnaście razy.

— Odkąd dowiedziałem się czegoś, co chciałbyś usłyszeć.

— Jak to?

Nie od razu odpowiedział.

— Po prostu: odkąd dowiedziałem się czegoś, co chciałbyś usłyszeć.

Nagle zrozumiałem, że nie ufa linii telefonicznej. Na chwilę zamilkłem, żeby się opanować. Wziąłem z biurka długopis.

— Gdzie możemy się spotkać?

— Powiedzmy, że jutro o tej samej godzinie co ostatnio, w miejscu podanym na wizytówce, którą ci dałem. Wiesz, co mam na myśli... detektywie?

Chodziło mu o bank przy Broad Street, ale wyraźnie nie chciał tego powiedzieć głośno. Placówka znajdowała się na wyspie Victoria, co było dla mnie idealne.

— Rozumiem. To do zobaczenia.

— Ubierz się ładnie. Załóż krawat albo coś.

— Krawat? — zapytałem. — O czym ty mówisz!

Ale on już się rozłączył.

Co za fiut.

Rozdział 97

Kiedy skończyłem rozmowę, wszyscy czekali na patiu — z winem palmowym i orzechami koli, których nie ruszyli, póki nie przyszedłem.

Najpierw jednak Uchenna, ojciec Adanne, pobłogosławił orzechy zgodnie z jorubańską tradycją, a chłopcy, James i Calvin, podali je wszystkim przy stole.

Adanne musiała uważać moją wizytę za coś przyjemnego lub zabawnego, bo cały czas się uśmiechała. Widziałem, że cieszy się z powrotu do domu.

Potem chłopcy namówili mnie, żebym pograł z nimi w piłkę w ogródku. Albo byli po prostu grzeczni, albo naprawdę imponowało im, że potrafię trochę zonglować, chociaż niemiłosiernie przeganiali mnie po trawniku. Przyjemnie jednak biegało się z dziećmi. Sympatycznymi chłopcami. Nie mordercami.

Na kolację podano potrawkę z kurczaka *egusi oraz fufu*, czyli tłuczone bataty maczane w rosole. Było też dużo smażonych bananów z sosem pomidorowym tak pikantnym, że pod jego wpływem zszedłby lakier z samochodu. Rodzinna atmosfera wydawała mi się znajoma, a zarazem odmienna. Na dodatek to był zdecydowanie mój najsmaczniejszy posiłek w Afryce.

Wydawało się, że dla Uchenny ulubionym tematem rozmów jest jego córka. Przez te kilka godzin dowiedziałem się o niej więcej niż przez cały czas spędzony z nią przed powrotem do Lagos. Kilka razy Adanne wtrącała się, by przedstawić własną wersję niektórych opowieści ojca, ale kiedy Somadina wyciągnęła jej zdjęcia z dzieciństwa, poddała się i poszła do kuchni zmywać.

Gdy odeszła od stołu, rozmowa zboczyła na poważniejsze tematy. Ojciec Adanne mówił o tragicznych morderstwach chrześcijan na północy kraju oraz ich odwecie na wschodzie. Wspomnił o pewnej nauczycielce chrześcijance, którą zatłukli na śmierć jej muzułmańscy uczniowie.

W końcu zaczął opowiadać o prowokacyjnych artykułach, które co tydzień pisywała jego córka, o tym, jak bardzo były niebezpieczne.

Przez większość wieczoru przy stole jednak panowała wesołość. Czuję się jak w domu. To była dobra rodzina, podobnie jak wiele innych w Lagos.

Kiedy Nkiru położyła chłopców spać, a Adanne znów do nas dołączyła, rozmowa powtórnie zeszła na politykę i inne tematy dorosłych. W tym tygodniu w stanie Bayelsa doszło do czterech zamachów bombowych. To w rejonie delty, w pobliżu pól naftowych. Wraz z przemocą w różnych częściach kraju w Nigerii rosły nastroje separatystyczne.

— To wszystko wina złych mężczyzn. Od zawsze — powiedziała Adanne. — Pora, żeby światem zaczęły rządzić kobiety. My chcemy tworzyć, a nie niszczyć. Tak, tato, mówię poważnie. Nie, nie wypłam za dużo wina.

— To z powodu piwa — rzekł jej ojciec.

Rozdział 98

Okolo północy Adanne zaprowadziła mnie do niewielkiej sypialni na tyłach domu, gdzie miałem nocować. Dotknęła mojego ramienia, weszła za mną do pokoju i usiadła na łóżku.

Widziałem, że wciąż jest w wesołym nastroju. Nadal się uśmiechała i była inną osobą niż ta, która kilka dni temu zabrała mnie do Darfuru. Zupełnie różną od podejrzliwej dziennikarki o poważnej twarzy, którą poznałem w jej gabinecie.

— Lubią cię, Alex, szczególnie moja matka i szwagierka. Nie wiem dlaczego. Nie pojmuję.

Zaśmiałem się.

— Chyba je nabrałem. Wkrótce się na mnie poznają.

— Właśnie. To chciałam powiedzieć. Proszę, teraz nawet myślimy tak samo. No to... o czym teraz myślisz, Alex? Powiedz mi prawdę.

Nie miałem dla Adanne odpowiedzi. To znaczy w zasadzie miałem, ale nie chciałem tego powiedzieć na głos. W końcu i tak się przełamalem.

— Myślę, że pociągamy się nawzajem, ale powinniśmy to zignorować.

— Pewnie masz rację, Alex. A może nie.

Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek. Zatrzymała na nim

usta przez kilka sekund. Ładnie pachniała: mydłem, czystością i świeżością.

Spojrzała mi w oczy, wciąż się uśmiechając. Miała idealnie białe zęby.

— Chcę tu tylko z tobą chwilę poleżeć. Możemy? Być z sobą i nie posunąć się do większej intymności? Jak myślisz? Udałoby się drugą noc z rzędu?

W końcu odpowiedziałem na jej pocałunek. Pocałowałem ją w usta, ale tylko przelotnie.

— Chętnie to zrobię — powiedziałem.

— Ja też. W moim sercu zaczyna kiełkować miłość do ciebie. To pewnie tylko zadurzenie. Nic nie mów. Czymkolwiek to jest, nie psuj tej chwili.

Nic nie powiedziałem. Leżeliśmy objęci, póki nie zmorzył nas sen. Nie wiem, czy ta noc zbliżyła nas do siebie, czy od siebie oddaliła, ale nie doszło do niczego, czego moglibyśmy żałować.

Choć ja być może powinienem właśnie żałować, że do niczego nie doszło.

Rozdział 99

Następnego ranka Adanne wstała wcześniej, by przygotować dla wszystkich kawę i świeżo wyciśnięty sok. Potem zaproponowała, że odwiezie mnie na spotkanie z Flahertym. Była teraz poważniejsza i bardziej rzeczowa — taka, jaką widziałem ją z dala od rodziny.

— Dlaczego masz na sobie ten głupi krawat? — zapytała. — Wyglądasz jak prawnik ze śródmieścia. Albo bankier. Fuj!

— Nie mam pojęcia — odparłem z uśmiechem. Teraz to ja cały czas się uśmiechałem. — To chyba kolejna nigeryjska tajemnica.

— Sam jesteś tajemnicą — powiedziała. — Tak mi się wydaje.

— Nie jesteś odosobniona w tej opinii.

Zatrzymała samochód przed bankiem na Broad Street.

— Uważaj na siebie, Alex. — Cmoknęła mnie w policzek. — Tu jest niebezpiecznie, bardziej niż kiedykolwiek.

Wysiadłem z samochodu, pomachałem i odjechała. Natychmiast postanowiłem o niej nie myśleć, ale i tak nie potrafiłem skupić się na czymkolwiek innym. Rozmyślałem o uśmiechu Adanne, o zeszłej nocy, o tym, czego nie zrobiliśmy.

Flaherty! — przypomniałem sobie. Czego on, do cholery, ode mnie chce?

Jednak agenta CIA nigdzie nie było. Czekałem około dwudziestu minut — dokładnie tyle, ile trzeba, by nabawić się paranoi — i wreszcie jego peugeot podjechał do krawężnika.

Flaherty otworzył drzwi po mojej stronie.

— Wsiadaj, jedziemy. Nie mam czasu.

Na fotelu leżała niebieska teczka. Podniosłem ją.

— Co to?

Agent wyglądał na brudnego, spoconego i kompletnie zestresowanego. Bardziej gnidowatego niż zwykle. Ruszył. Jak to miał w zwyczaju, nie raczył odpowiedzieć na moje pytanie.

Wobec tego otworzyłem teczkę. W środku znajdowała się jedynie kserokopia formularza, do którego przypięto zszywaczem fotografię małego chłopca.

— Dokumenty adopcyjne?

— Papiery z sierocińca. To twój Tygrys. Nazywa się Abidemi Sowande. Urodzony w Lagos w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku w bogatej rodzinie. Rodzice zmarli, kiedy miał siedem lat. Brak krewnych. Wygląda na to, że mały Abi nie był okazem zdrowia psychicznego. Po śmierci rodziców trafił na rok do psychiatryka. Kiedy wyszedł, rodzinna fortuna zniknęła.

— Co się z nią stało?

Flaherty wzruszył ramionami. Odrobina dymu z papierosa wpadła mu do oka. Zmrużył powieki i potarł je.

— Sowande miał trafić do opieki społecznej, ale gdzieś po drodze ze szpitala do sierocińca zniknął. Najwyraźniej był bystrym chłopcem. A przynajmniej miał wysoki iloraz inteligencji. Spędził dwa lata na uniwersytecie w Anglii. Potem się ulotnił i pojawił dopiero parę lat temu tutaj. To wszystko, co mam. Aż do tej pory nie figurował w żadnych aktach. Przypuszczamy, że pracował jako najemnik.

Przyglądałem się fotografii. Czy ten chłopiec mógł być mężczyzną z Darfuru? Mordercą tylu ludzi w Afryce i w Waszyngtonie? Zabójcą Ellie?

— Skąd wiemy, że to w ogóle on? — spytałem.

— Ten zamordowany facet w Sudanie, Muhammad Szol... Dotarliśmy do źródła, które twierdzi, że chwalił się robieniem interesów z Tygrysem. Podobno trochę o nim wiedział. Wydawało się to naciągane, ale potem ktoś odkopał te akta i okazało się, że odciski palców pasują do tych z miejsca zbrodni w domu Szola. Nieźle, co?

— Sam nie wiem — odrzekłem, unosząc teczkę. — Co ja mam z tym zrobić? Nazbyt wygodny zbieg okoliczności.

Flaherty spojrzał na mnie wilkiem i aż zjechał z pasa.

— Jezu, Cross, jakiej byś jeszcze chciał pomocy?

— Pomocy? — Miałem ochotę go uderzyć. — Najpierw wystawiasz mnie do wiatru, a potem nagle się pojawiaasz i podajesz mi nazwisko kogoś, kto najwyraźniej już nie istnieje? Może to najemnik, ale kto wie? O takiej pomocy mówisz?

— Za dużo oczekujesz, detektywie. Od pierwszego dnia mówiłem ci, że nie możesz na mnie liczyć.

— Nie, powiedziałeś mi to czwartego dnia. Pierwsze trzy spędziłem w więzieniu.

Rozdział 100

Flaherty ze złością wyrzucił niedopałek przez okno i otarł twarz z potu.

— Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego jeszcze żyjesz? Bo wszyscy myślą, że jesteś z CIA, a my nie wyprowadzamy ich z błędu. Nianczymy cię. Ja cię nianczę. Nie musisz dziękować.

Zaciskałem i rozluźniałem dłonie, usiłując powstrzymać gniew. Irytowały mnie nie tylko arogancja Flaherty'ego i jego protekcjonalny ton. Dobijała mnie cała ta sprawa. Tygrys był gorszy od wszystkich seryjnych zabójców, których kiedykolwiek aresztowałem — więc dlaczego pozwalano mu pozostać na wolności?

Spojrzałem na Flaherty'ego.

— Co ty właściwie robisz dla Agencji?

— Naprawiam kserokopiarki w ambasadzie — odparł z kamienną twarzą. Potem zapalił kolejnego papierosa i wydmuchnął dym. — Szczerze mówiąc, jestem tu oficjalnie jako przedstawiciel CIA. Odpowiada ci?

— Może być. A dlaczego sam nie prowadzisz sprawy Tygrysa? Dlaczego przekazujesz mi informacje, zamiast samemu je wykorzystać? Abidemi Sowande to morderca. Wiesz o tym.

Ta dyskusja — może sam fakt, że wyciągnąłem ten temat na

światło dzienne — rozładowała napięcie w samochodzie. Poza tym wreszcie się rozkręciłem.

— A tak w ogóle to po co, na Boga, mam na sobie ten głupi krawat?

Flaherty po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Ach — rzekł. — Wreszcie pytanie, na które mogę odpowiedzieć.

Rozdział 101

Godzinę później siedziałem w poczekalni zarządu na trzydziestym piętrze biurowca Unilight International w Ikei. Orientowałem się, że Unilight International to jeden z najlepiej prosperujących producentów towarów konfekcjonowanych na świecie, ale na tym moja wiedza się kończyła.

Na ścianach wisiały błyszczące fotografie mydła Lubra i pasty do zębów Oral. Próbowiałem wykombinować, co ja tu właściwie robię. Flaherty wysadził mnie przed budynkiem, wetknął mi wizytówkę i podał numer piętra.

— Willem de Bues chce się z tobą spotkać, a ty z nim.

— Doktor Cross? — odezwała się recepcjonistka. — Pan dyrektor pana przyjmie.

Zaprowadziła mnie korytarzem, który kończył się podwójnymi drzwiami. Otworzyła je i wszedłem do ogromnego narożnego biura z oknami od podłogi do sufitu.

Robiło się coraz dziwniej. Jaki związek mogła mieć odnosząca sukcesy międzynarodowa korporacja z moim śledztwem?

Pod kątem do drzwi stało masywne biurko, a przed nim para wygodnych krzeseł. Przeciwny róg pomieszczenia zajmowały dwie pikowane kanapy. Właśnie wstali z nich dwaj mężczyźni w ciemnych

garniturach, białych koszulach i klubowych krawatach.

— Dzień dobry, panie doktorze — powiedział ten wyższy. Był biały, miał krótko przystrzyżone blond włosy i kwadratowe okulary w grubych oprawkach. Podszedł i uścisnął mi dłoń. — Nazywam się Willem de Bues. — Miał chyba holenderski akcent. Wskazał gestem swego towarzysza. — To Thomas Lassiter, adwokat z naszego działu prawnego.

— Miło mi panów poznać — odparłem, choć jeszcze nie wiedziałem, czy to prawda.

Skąd miałem wiedzieć? Równie dobrze mogli mnie zaraz pobić i złamać nos.

— Jak rozumiemy, śledzi pan miejscowego człowieka znanego jako Tygrys — rzekł de Bues, czym zbił mnie z pantaląku.

Co taki biznesmen mógł mieć wspólnego z najemnym zabójcą?

— Zgadza się — przyznałem. — Przyjechałem z Waszyngtonu, gdzie dokonał kilku bestialskich morderstw. W każdym razie bestialskich według naszych norm.

— Wobec tego może mamy temat do rozmowy. Proszę usiąść — powiedział pan de Bues. Nie ulegało wątpliwości, że przywykł do wydawania poleceń. — Oczywiście wiemy, jaką cieszy się pan reputacją jako policjant. Znamy pana dokonania w zakresie rozwiązywania trudnych spraw.

— Może najpierw powie mi pan, o co chodzi? I dlaczego jest z nami pański adwokat?

De Bues wcale się nie speszył. Wręcz się uśmiechnął.

— Chcemy panu pomóc znaleźć Tygrysa. A ponieważ jest to dość... nietypowa sytuacja, pragnę mieć pewność, że podczas tego spotkania nie powiem ani nie zaproponuję niczego niezgodnego z prawem. Czy to wystarczająco szczerą odpowiedź! Proszę, niech pan spocznie, detektywie. No już.

Rozdział 102

— Dlaczego mielibyście mi pomóc w śledztwie dotyczącym morderstwa? — spytałem.

Naprawdę byłem ciekaw.

— Unilight International jest zainteresowane rynkiem nigeryjskim. Sama sprzedaż kosmetyków i produktów do pielęgnacji skóry osiągnęła wystarczająco wysoki pułap, by uzasadnić zaplanowany rozwój na południowy wschód. To dotyczy wielu międzynarodowych korporacji, nie tylko firm naftowych.

— W delcie?

— Tak, w Port Harcourt. I oczywiście w Lagos. Nasze stosunki z lokalnymi frakcjami nie liczą się dla wielu islamskich organizacji fundamentalistycznych, które pojawiły się w tym rejonie.

— Twierdzi pan, że Tygrys jest fundamentalistą? To dla mnie nowość.

— Nie, na ten temat nic mi nie wiadomo. Wątpię, czy w ogóle jest religijny. Jednak to nie tajemnica, że handluje towarami, a z osiągniętych zysków wspiera tego typu organizacje. Diamenty, kradziona ropa i tak dalej. Ogólnie rzecz ujmując, pomaga im wejść do gry i utrudnia życie wszystkim zagranicznym korporacjom. Jak panu z

pewnością wiadomo, „Tygrys” to tutejsze określenie najemnego zabójcy.

— Więc chcecie, żeby ktoś pomógł wam się go pozbyć!

De Bues spojrział na adwokata i odpowiedział dopiero wtedy, gdy ten skinął głową.

— Chcemy panu pomóc w śledztwie, to wszystko. My jesteśmy ci dobrzy, podobnie jak pan, doktorze. Tu nie ma żadnego „spisku”, to nie film o Bournie.

— Dlaczego nie zwrócić się do miejscowych władz!

Znów się uśmiechnął tym swoim beznamiętnym uśmiechem.

— Traktuj mnie pan protekcyjnie, doktorze Cross. Jak obaj wiemy, sytuacja polityczna w tym kraju jest bardzo skomplikowana. Można śmiało twierdzić, że nie unikniemy wojny domowej. Ale wojna jest jak pożar, prawda? Choć w jej wyniku coś spłonie, pozostanie żywna ziemia.

Miałem wrażenie, że każdego dnia spędzonego w Afryce brnę coraz dalej na drugą stronę lustra. Ta rozmowa nie była wyjątkiem. CIA skierowała mnie do międzynarodowej korporacji — a może całej korporacyjnej kliki — żebym tam szukał pomocy w sprawie brutalnych morderstw?

Wstałem.

— Dziękuję za pańską propozycję. Muszę ją przemyśleć.

De Bues ruszył za mną do drzwi.

— Proszę, doktorze. — Wręczył mi wizytówkę. — Niech pan przynajmniej weźmie mój telefon. Naprawdę chcemy panu pomóc.

— Dziękuję — odparłem i na tym poprzestałem.

Gdy szedłem do wyjścia, de Bues pokiwał głową.

— Pan nic nie rozumie, prawda? Lada chwila ten region eksploatuje. Jeśli tak się stanie, Afrykę czeka los Bliskiego Wschodu. To jest klucz do pańskiego śledztwa.

Rozdział 103

Byłem bardziej zdezorientowany i poirytowany niż kiedykolwiek. Taksówką pojechałem do biura Adanne, skąd wspólnie ruszyliśmy do jej rodziców. Po drodze zastanawialiśmy się nad sprawą, zaangażowaniem Unilight i miejscem pobytu Tygrysa.

W najbliższym czasie zamierzałem zbadać lokalne archiwa — szkolne, szpitalne, policyjne — od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego aż do teraz. Chciałem sprawdzić, czy pojawia się w nich Abidemi Sowande.

Adanne miała dobre pomysły, jak dotrzeć do informacji na szczeblu państwowym. Wcale jej nie zdziwiło, że międzynarodowe przedsiębiorstwa są przestraszone i szukają pomocy, gdzie się da.

— Może twoje śledztwo się rozkręca — powiedziała. — Takie mam wrażenie.

— Ja też.

Wzięła mnie za rękę i właśnie takiego odwrócenia uwagi potrzebowałem.

— Jeżeli będziesz grzeczny, to może nawet znów się z tobą prześpię.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze zdołam być grzeczny w jej towarzystwie.

— Pamiętaj, Alex, wiem, co myślisz. Ja pewnie myślę to samo.

Dopiero gdy skręciliśmy w ulicę, przy której stał dom rodziców Adarme, zrozumieliśmy, że coś jest nie tak.

— O nie —jęknęła. — O nie, o nie...

Zatrzymała samochód u szczytu ulicy. Przed domem rodziców stało co najmniej sześć samochodów policyjnych i wozów straży pożarnej, każdy zaparkowany pod innym kątem. Po ziemi wiły się węże strażackie. Biegły z ulicy przez otwartą bramę. Zza muru biły w niebo kłęby czarnego dymu.

Adanne zaczęła na oślep szukać przycisku zwalniającego pas bezpieczeństwa, aż wreszcie klamra wystrzeliła z zapięcia.

— O Boże, o Boże! O mój Boże!

— Adanne, poczekaj! — zawołałem.

Usiłowałem ją złapać i zatrzymać.

Ale ona już wyskoczyła z auta i biegła w stronę domu rodziców. Krzyczała na całe gardło. Wtedy i ja zacząłem biec.

Rozdział 104

Dogoniłem Adanne tuż przed bramą. Złapałem ją i uniosłem nad ziemią. Zaczęła wierzgać, usiłowała mi się wyrwać. Wyciągała ręce w stronę bramy, choć ją stamtąd odciągałem.

— Adanne — powiedziałem. — Nie chcesz tam wchodzić. Nie chcesz tego zobaczyć, uwierz mi.

Dom wciąż płonął, lecz w większości pozostał już tylko czarnym, upiornym szkieletem. Z miejsca, gdzie staliśmy, mieliśmy widok na przestrzał aż na tył posiadłości. Po dachu nie pozostał już nawet ślad.

Podjazd i trawnik przed domem były pełne czarnych, dymiących szczątków. Nie ulegało wątpliwości, że doszło tu do eksplozji. Możliwe, że dom obrzucono bombami zapalającymi.

Kiedy na trawniku zobaczyłem dwa drobne kształty przykryte płachtami, mocniej chwyciłem Adanne i przycisnąłem jej głowę do swego torsu. To musiały być ciała bliźniaków, nieszczęsnych Jamesa i Calvina. Adanne też to wiedziała. Płakała cicho w moich ramionach.

Zatrzymałem przebiegającego policjanta.

— Ile osób było w środku? — spytałem.

Zanim odpowiedział, zmierzył mnie wzrokiem.

— Państwo są rodziną? Kim jesteście? Dlaczego chcecie wiedzieć?

— To dom rodziców tej kobiety. Ja jestem jej przyjacielem. To Adanne Tansi.

— Troje dorosłych, dwoje dzieci. — Spojrzał na nią, potem znów na mnie i pokręcił głową.

Nikt nie przeżył.

Ciałem Adanne wstrząsnął silny dreszcz, zaczęła płakać. Coś mamrotała — może to była modlitwa. Nie potrafiłem rozróżnić słów ani nawet rozpoznać języka.

— Muszę porozmawiać z waszym dowódcą — zwróciłem się do policjanta.

— Na jaki temat?

— CIA.

Funkcjonariusz otworzył usta, by coś powiedzieć, ale go uprzedziłem.

— Niech pan po prostu idzie po dowódcę. Proszę go tu natychmiast przyprowadzić.

Gdy odszedł, przyłożyłem usta do czoła Adanne i szepnąłem cicho:

— Jestem przy tobie. Nie jesteś sama.

Wciąż płakała w moich ramionach i drżała, jakby w trzydziestostopniowym upale trzęsła się z zimna.

W naszą stronę szedł dowódca — wysoki mężczyzna, szeroki w barkach, ubrany w ciemny garnitur. Okrzyki strażaków i syk wody wszystko zagłuszały, ale słowa nie były mi potrzebne.

Poznałem jego twarz: ten płaski nos, okrągłe policzki, idiotycznie zmrużone oczy jak u Mike'a Tysona. Gdy ostatnio go widziałem, trzymał mnie do góry nogami za oknem hotelu.

Rozdział 105

— Adanne, posłuchaj mnie! — Już zacząłem ją ciągnąć do auta. — Tutaj nie jesteśmy bezpieczni. Musimy natychmiast stąd odjechać. Ten człowiek, ten policjant, niemal mnie zabił w pokoju hotelowym.

Kiwnęła głową i chyba zrozumiała. Szliśmy w milczeniu. Doprowadziłem ją do wylotu ulicy, gdzie stał samochód, i posadziłem na fotelu pasażera.

— Musimy jechać.

Kiedy usiadłem za kierownicą, przez przednią szybę widziałem, jak dowódca przedziera się przez pierścień wozów zaparkowanych przed domem. Po chwili puścił się biegiem wprost ku nam. Ruszyli za nim dwaj inni mężczyźni. Jeden z nich towarzyszył chyba swemu zwierzchnikowi w hotelu, gdy próbowali mnie wygonić z kraju.

— Adanne, zapnij pas! Musimy stąd uciekać. Natychmiast!

Wrzuciłem wsteczny bieg i obejrzałem się przez ramię.

Skrzyżowanie za nami było zbyt ruchliwe. Nie mogłem czekać, aż ruch się przerzedzi.

Dlatego zmieniłem zdanie.

Wrzuciłem jedynekę i ruszyłem wprost na biegnących gliniarzy. Zacząłem trąbić, wciskałem klakson raz za razem.

Samochód Adanne to tylko mały ford escort, ale wziąłem policjantów przez zaskoczenie. Wcisnąłem gaz do dechy i nie zbaczalem z kursu. „Dowódca” również nie ustąpił.

W ostatniej chwili ostro zahamowałem, ale i tak go uderzyłem. Wybałuszył oczy ze strachu — zapewne tak samo jak ja, kiedy wisiałem za oknem hotelu.

Teraz gwałtownie wrzuciłem wsteczny bieg. Staczając się z maski na ulicę, policjant ułamał wycieraczkę.

Wycofałem się do rogu i mocno zakręciłem kierownicą, by obrócić auto w przeciwną stronę. Zatrąbił klakson. Kombi marki Audi otarło się o nas i prawie zerwało nam tylny zderzak.

Wybrałem pierwszy lepszy kierunek i wdepnąłem pedał gazu, wyciskając z czterech cylindrów silnika ostatnie poty.

— Dokąd jedziemy? — Adanne nieco się wyprostowała, niemal jakby ocknęła się z transu.

— Do miasta — powiedziałem.

Jeśli Lagos miało jakąkolwiek zaletę, to były nią tłumy, w których można się ukryć.

Rozdział 106

— Adanne? — Ścisnąłem ją za ramię. — Musimy stąd uciekać. Tamten policjant... Kiedy mieszkałem w Lagos, omal mnie nie zabił. To na pewno on. Wszystko jest jakoś powiązane, to nie może być przypadek.

Adanne nie polemizowała ze mną. Kiwnęła głową i wskazała na prawo.

— Skręć tutaj na most Mainland. To najlepsza droga. Pojedziemy przez Benin.

— Trzymaj się!

— Na to już za późno. O wiele za późno.

Wszedłem w zakręt, w ogóle nie zwalniając. Wyjechaliśmy na szeroki bulwar. Po obu stronach mijaliśmy niskie, tynkowane sklepy, otwarte posesje oraz stare, zakurzone auta i pick-upy. Wolno stojący billboard promował kościół Łaski Pańskiej. Na rysunku kobieta w szatach chórzystki kierowała wzrok ku niebu i wznosiła ręce do Boga.

Ale to nie Boga usłyszałem po chwili.

Ponad dachem forda rozległ się ogłuszający łopot śmigieł helikoptera.

Już nas znaleźli!

Byli tuż nad nami.

— To policja! — zawołała Adanne. — Alex, oni nas zabiją. Wiem o rzeczach, których nie pozwolą opisać w żadnej gazecie.

Rozdział 107

Spojrzałem w górę. Niewielki mechaniczny ptak z białym podwoziem wisiał niemal dokładnie nad nami. Nie miał oznaczeń policyjnych, a niski pułap był kolejnym złym znakiem.

Pilot zachowywał się coraz bardziej lekkomyślnie. Najwyraźniej nie zważał na bezpieczeństwo ludzi na ulicy, a w zasadzie nawet na własny los.

Do mostu Mainland pozostawało wciąż około półtora kilometra. Rozejrzałem się po okolicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek osłony — garażu albo budowy... Nic nie rzuciło mi się w oczy. Nie mieliśmy się gdzie ukryć przed śmigłowcem.

Co gorsza, po kilku przecznicach w lusterku wstecznym zobaczyłem czerwono-niebieskie koguty. Co najmniej trzy radiowozy szybko nas doganiały.

— Cholera! To już na pewno policja.

— Alex, mówię poważnie. Jeśli damy się złapać, zabiją nas. To nie paranoja.

— Wierzę ci. Ale dlaczego?

— Wiem o strasznych rzeczach. Piszę o tym artykuł. Muszę komuś powiedzieć, czego się dowiedziałam.

— Powiedz mnie.

W ciągu następnych kilku szalonych minut Adanne zdradziła mi

tajemnice, którymi z nikim dotąd się nie dzieliła. Jedną z nich był fakt, że Ellie Cox odwiedziła ją w Lagos. Wymieniły się informacjami i źródłami. Rozmawiały o Abidemim Sowande — o Tygrysie. I o grupie, dla której pracował.

— Alex, to jeden z najniebezpieczniejszych najemników świata.

Przyspieszyłem. Śmigąłem slalomem między jadącymi autami, kiedy jednak znów spojrzałem w lusterko, radiowozy wciąż były blisko. Słuchając wszystkiego, co Adanne wiedziała o Tygrysie i innych, popadłem w odrętwienie. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że Ellie i ona się spotkały.

Nagle Adanne ścisnęła mnie za ramię.

— Alex! — krzyknęła. — Tam!

Z pustej posesji po lewej stronie wyskoczył samochód policyjny. Zablockował nam drogę.

Wdusiłem hamulec — za późno.

Nasz escort wpadł w poślizg i uderzył w bok radiowożu.

Przód auta złożył się, jakby wykonano go z modeliny. Nic dziwnego, że Ford traci udział w rynku. Kłatką piersiową grzmotnąłem w kolumnę kierownicy. Widziałem, jak głowa Adanne uderza o przednią szybę.

Drugi radiowóz zajechał od tyłu. Wyła syrena, koguty wirowały jak szalone.

— Adanne?

Posadziłem ją. Czoło miała ubrudzone krwią. Uniosła brwi i zamrugała.

— Nic ci nie jest? — spytałem.

— Chyba nie. Alex, nic im nie mów. Zginie jeszcze więcej ludzi. Nie mów im o niczym, co ode mnie usłyszałeś. Obiecujesz? Alex?

Rozdział 108

Do samochodu z obu stron podbiegli policjanci w niebieskich mundurach. Kiedy otworzyli drzwi i nas chwycili, Adanne wyszła po dobroci. Ze mną mieli więcej roboty.

Gdy w końcu wyciągnęli mnie z fotela, zacząłem wymachiwać pięściami. Prawym prostym trafiłem kogoś prosto w szczękę. To było miłe uczucie.

Potem dwaj policjanci rzucili mnie na chodnik. To już było gorsze. Coś mi trzasnęło w ramieniu. Jezu!

Odruchowo uniosłem rękę i zalała mnie fala bólu, choć jednocześnie poczułem, że staw z powrotem wskoczył na swoje miejsce. Nie byłem natomiast pewien, czy mogę tą ręką ruszać. I jak teraz miałem walczyć?

Ze wszystkich stron krzyczeli policjanci. Co najmniej czterech wdzierało się w mieszance języków, których nie rozumiałem. Jeden wystrzelił ze służbowego rewolweru w powietrze, żeby nie pozostawić mi żadnych wątpliwości.

Adanne również krzyczała.

— Jestem z „Guardiana”! Jestem dziennikarką. Jestem z prasy!

Pod samochodem widziałem, że leży po drugiej stronie twarzą do ziemi. Wokół niej kręciły się nogi w czarnych butach. Potem ktoś wycelował w jej głowę z pistoletu.

To jej nie powstrzymało. Dalej wołała:

— Adanne Tansi! Jestem z „Guardiana”!

Powtarzała to w kółko, by słyszeli nie tylko policjanci, ale też każdy, kto znalazł się w pobliżu. Zatomowaliśmy ruch uliczny w obu kierunkach.

Przy odrobinie szczęścia Adanne w ten sposób mogła przestać być anonimowym podejrzanym i stać się znaną postacią. To dobry ruch — szczególnie jeśli wziąć pod uwagę stan jej umysłu po tym, co wydarzyło się w domu rodziców.

Dwaj gliniarze stojący nade mną wymienili spojrzenia. Jeden schylił się, by ściągnąć mi ręce za plecami i skuć kajdankami. Zabolało, jakby mi wyrywał ramię.

Następnie zostałem uderzony i kopnięty w plecy. Wszystko prędko zaczynało tracić kontury i znów stawało się nierealne. Bronilem się przed utratą przytomności.

— Alex! — Znow usłyszałem głos Adanne. — Alex! Tu jestem! Alex!

Obróciłem się, by odnaleźć ją wzrokiem. Czyjś obcas uderzył mnie w policzek i skroń. Ale i tak ją zobaczyłem. Policjanci dokąds ją ciągnęli. Nie do zwykłego radiowozu — dalej, do nieoznakowanego czarnego sedana.

Dokąd ją wieźli?

— Ona jest z „Guardiana”! — wrzasnąłem na cały głos. — Ona jest z „Guardiana”! Z prasy!

Adarme wyrywała się i wierzgała, a ja usiłowałem strząsnąć z pleców dwóch gliniarzy.

Ale za późno. Adanne wciąż krzyczała, kiedy wepchnęli ją do auta, zatrzasnęli drzwi i prędko odjechali.

Rozdział 109

Wewnętrzny głos krzyczał, bym jej pomógł, ale wiedziałem, że z nim czegokolwiek spróbuję, muszę to najpierw przemyśleć.

Nie miałem pojęcia, czy samochód, do którego mnie wsadzili, jechał za Adanne, i nie mogłem tego sprawdzić. Znajdowałem się w radiowozie, małym i ciasnym w porównaniu z waszyngtońskimi. W kabinie unosiła się mocna woń tytoniu i potu, a także czyjegoś moczu. Czy to naprawdę policjanci?

Leżałem bokiem na tylnym siedzeniu obitym porwanym winylem. Kilka centymetrów przed twarzą miałem zardzewiałą kratę. Rwało mnie ramię i obawiałem się, że jest złamane. Ale to teraz moje najmniejsze zmartwienie. Najbardziej niepokoiłem się o Adanne i jej los.

— Dokąd ją zabrali? — zapytałem.

Dwaj umundurowani policjanci nawet na mnie nie spojrzeli. Nie mogłem ich sprowokować.

— Powiedzcie coś! Powiedzcie, dokąd jedziemy! — domagałem się.

I wtedy sam zobaczyłem. Gorzej być nie mogło. Rozpoznałem drogowskaz przy skręcie do Kirikiri. Następnie znajomy betonowy mur zwieńczony drutem kolczastym.

Tylko nie to!

Czułem się, jakbym trafił do piekła na ziemi. Nie dość, że byłem tu już raz, to teraz wracałem, świadomy, co mnie czeka.

Gdy zatrzymaliśmy się na terenie więzienia, potrzeba było obu gliniarzy i dwóch kolejnych strażników, żeby wyciągnąć mnie z radiowozu.

Myślałem, że zawloką mnie na górę na blok, ale udaliśmy się na dół. Na dole nie mogło być dobrze. Gdzie Adarme? Czy także tutaj?

Moje stopy obijały się o kamienne schody, a potem ocierały o zbity brud na podłodze słabo oświetlonego korytarza. Wszystko wyglądało i pachniało podobnie jak w bloku na górze, lecz gdy mineliśmy jedne ze stalowych drzwi, okazało się, że wszystkie wychodzą na tę samą ogromną przestrzeń.

Był tu niski sufit, z którego ściekał jakiś szlam. Przez środek pomieszczenia biegł rząd dobudowanych wsporników. Znikały w mroku po obu stronach.

Pusta przestrzeń? Na tortury? Przesłuchania? Egzekucje?

Byłem przekonany, że ta sceneria jest nieprzypadkowa. Dawała do myślenia.

Policjanci i strażnicy zostawili mnie samego, przykutego plecami do jednego z pordzewiałych stalowych słupów. Miał jakieś dziesięć centymetrów grubości i tkwił w tym miejscu. Tak jak ja.

Przestałem się szarpać, gdy tylko odeszli. Uznałem, że lepiej oszczędzać siły.

Nie wiedziałem, z czyjego polecenia mnie tu umieszczono. Tygrysa? Policji? Rządu?

Kogoś innego?

Na litość boską, międzynarodowej korporacji? Może właśnie tak. Tutaj wszystko możliwe.

Pomyślałem, że jeśli będę miał niesamowite szczęście, Flaherty

znów zacznie mnie szukać. A jeśli poszczęści mi się jeszcze bardziej, zdoła mnie tu znaleźć. Ale to mogło potrwać wiele dni, a potem miną kolejne, zanim odzuję Adanne.

Jeśli wciąż żyła.

Jeśli nie wyciągnęli z niej tajemnic.

Jeśli... jeśli... jeśli...

Rozdział 110

Zapaliło się światło... a właściwie dwa.

Szybko, jedno po drugim.

Nie miałem pojęcia, ile godzin minęło ani jaka była pora dnia. Wiedziałem tylko, że nie zasnąłem.

Przy jednych drzwiach stał mężczyzna, którego uważałem teraz za komendanta policji. Ten, którego potrąciłem samochodem Adanne.

Wciąż jeszcze trzymał dłoń na włączniku w ścianie. W górze świeciły jasno dwie lampy z pojedynczymi żarówkami. Nie zamontowano ich z myślą o tym, by działały łagodnie na wzrok, umysł czy duszę.

— Mów, co wiesz o Tygrysie — powiedział mężczyzna, ruszając w moją stronę.

Zauważyłem, że zmienił garnitur — a na czole miał prostokątny opatrunek.

— Gdzie jest Adanne Tansi? — zapytałem.

— Nie denerwuj mnie, Cross, bo dostaniesz w nos.

Komendant zarechotał cicho. Pamiętałem, że ostatnio też sobie dowcipkował. Mówił z jorubańskim akcentem, a jego głos był spokojny. Zbyt spokojny. Za dobrze nad sobą panował jak na kogoś,

kogo próbowałem przejechać, komu chciałem odcisnąć ślad opon na paskudnej gębie.

— Powiedz mi, czy żyje — poprosiłem. — Tylko to chcę usłyszeć.

— Żyje. Mniej więcej. — Rozchylił ramiona. — A teraz gadaj o tym zabójcy, za którym tu przyjechałeś. Co o nim wiesz? Jesteś z CIA? Pracujesz z nią? Tą dziennikarką?

Przynajmniej czegoś ode mnie chciał. Lepsze „coś za coś” niż nic.

— Jest wielu Tygrysów, zabójców do wynajęcia — powiedziałem. — Sam o tym wiesz. Ten, którego szukam, to rosły mężczyzna. Działa na skalę międzynarodową. Ma grupy co najmniej w Lagos i Waszyngtonie. Z tego, co wiem, nazywa się Sowande. Dwa dni temu był w południowym Darfurze. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. — Zawiesiłem głos i spojrzałem mu w oczy. — Nie pracuję dla CIA. Absolutnie nie. Mów, gdzie ona jest.

Nieznacznie wzruszył ramionami.

— Tutaj. W Kirikiri. Nie musisz się o nią martwić. Jest niedaleko. Zobacz! O tam. Dziennikarka jest tu z nami.

Rozdział 111

Nieznajomy policjant wepchnął Adanne do pomieszczenia. Szła przed nim, szurając nogami. Usta miała zaklejone taśmą, a z obu policzków spływała krew.

Obcięto jej warkoczyki, a kikuty sterczały pod różnymi kątami. Jedno oko miała zamknięte — opuchnięte i sinoczarne. Zobaczyła mnie i kiwnęła głową na znak, że nic jej nie jest. Nie uwierzyłem.

— Może teraz powiesz mi o Tygrysie coś więcej — rzucił komendant. — Coś, czego jeszcze nie wiem. Po co tu przyjechałeś? Nie po to, żeby rozwiązać sprawę morderstw. Dlaczego miałbym w to wierzyć? Skąd znasz Adanne Tansi?

Zacząłem na niego krzyczeć:

— Człowieku, co z tobą, do cholery?! Jestem gliniarzem, tak jak ty. Prowadzę śledztwo. To proste.

Kajdanki wrzynały mi się w skórę. Ból ramienia doprowadzał do mdłości. Miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Komendant skinieniem głowy dał znak policjantowi, który wprowadził Adanne. Ten z wielką siłą uderzył ją w brzuch. Miałem wrażenie, że sam poczułem ten brutalny cios.

Adanne jęknęła i upadła na kolana. Na brudnej twarzy miała ślady łez, ale teraz nie płakała. Obserwowała mnie. Taśma zaklejająca

jej usta robiła się czerwona od krwi. Jej oczy wyrażały błaganie. Ale o co?

— Dlaczego to robicie? — wycedziłem przez zęby. Wyobrażałem sobie, jak zaciskam palce na jego gardle. — W Waszyngtonie zginęła moja przyjaciółka. Dlatego tu jestem. To wszystko. Nie biorę udziału w żadnym spisku.

— Zdejmij jej taśmę — nakazał komendant.

Gdy podwładny wykonał polecenie, Adanne natychmiast powiedziała:

— Alex, nie martw się o mnie.

Komendant zwrócił się do gliniarza:

— Uderz ją. Jeszcze raz. — Potem spojrzał na mnie. — Alex, martw się o nią.

— Dobrze! — przerwałem. — Tygrys nazywa się Abidemi Sowan-de. Zniknął w osiemdziesiątym pierwszym roku, kiedy miał dziewięć lat. Pojawił się w Anglii, gdzie studiował przez dwa lata, a potem już nie używał tej tożsamości. Zamordował wielu ludzi tutaj i w Ameryce. Wykorzystuje dzikich chłopców. Być może kontroluje innych Tygrysów. Tyle wiem. Nic więcej nie umiem powiedzieć. O diamentach, ropie i nielegalnym handlu wiecie sami.

Komendant uniósł dłoń, by powstrzymać kolejny cios.

— To wszystko? Na pewno?

— Na pewno, do cholery! Jestem tylko gliną z Waszyngtonu. Adanne nie ma z tym nic wspólnego.

Zmrużył oczy, zaczął się zastanawiać i chyba był usatysfakcjonowany. Powoli opuścił rękę.

— I tak powinienem cię zabić — powiedział. — Ale decyzja nie należy do mnie.

Wtedy usłyszałem inny głos.

— Rzeczywiście, ona należy do mnie, detektywie.

Rozdział 112

Z cienia wyszedł jakiś człowiek, rosły mężczyzna — najemnik znany jako Tygrys. Ten, którego gonilem.

— Najwyraźniej nikt o mnie zbyt dużo nie wie. To dobrze, nie sądzisz? Chcę, żeby tak zostało. Ona pisze artykuły do gazet, dla londyńskiego „Timesa”, może też dla „New York Timesa”. A ty ciągle wchodzisz mi w drogę. — Podszedł do mnie. — Niewiarygodne. Niektórzy się ciebie boją, co? Nie ja. Dla mnie jesteś zabawny. Niepoważny. Zbłądziłeś się, detektywie.

Moje ciało odrobinę się rozluźniło. Chyba się nie zdenerwował, a ja go nie interesowałem. Był natomiast ogromny, umięśniony i groźniejszy niż ktokolwiek, kogo poznałem.

Wtedy, nie odwracając ode mnie wzroku, powiedział:

— Zastrzel ją. Nie, nie, zaczekaj. Daj mi broń.

— NIE! — wrzasnąłem.

Tylko tyle zdążyłem. Adanne otworzyła szeroko zdrowe oko i odnalazła mnie w tym niewiarygodnym koszmarze, który oboje przeżywaliliśmy.

Tygrys zrobił szybki krok naprzód. — Ładna dziewczyna — powiedział. — Ale głupia. I na dodatek martwa! To ty jej to zrobiłeś, Cross. To ty, a nie ja. Strzał. Potem drugi.

Rozdział 113

Wystrzelił z policyjnego rewolweru tuż obok głowy Adanne. Dwukrotnie. Umyślnie nie trafił, a teraz radośnie roześmiał się z tego żartu.

— Ludzie nie mogą uwierzyć, że czarnoskóry może być sprytny i inteligentny. Czy ty też się z tym spotkałeś, detektywie Cross? A ty, Adanne?

Nie odpowiedziała, tylko na niego splunęła.

— Morderca! — wydyszała.

— Jeden z najlepszych i dumny ze swych osiągnięć.

Wtedy oddał trzeci strzał, wprost między oczy Adanne. Jej ciało runęło w przód i uderzyło twarzą o ziemię. Ramiona rozpostarły się jak skrzydła. Już się nie poruszyła.

I właśnie tak — tak gwałtownie, w takim oblędzie — Adanne odeszła. Leżała martwa w tej potwornej celi, zamordowana przez Tygrysa na oczach policjantów, którzy nie zrobili nic, by go powstrzymać.

Wrzał we mnie gniew. Nie ma słów, by opisać, co czułem. Jeden sznur zaciskał mi się na gardle, drugi na czole.

„Nie martw się o mnie” — powiedziała Adanne. Wiedziała, że ją zabiją. Cały czas to wiedziała.

Jej morderca stał nad nią i przyglądał mi się uważnie. Uśmiechnął się szeroko. Zsunął spodnie, uklęknął i dokonał na niej ostatecznego aktu zniewagi.

— Ładna dziewczyna — warknął. — Ty jej to zrobiłeś. Nigdy o tym nie zapomnij, detektywie. Nigdy.

Rozdział 114

Alex, nie martw się o mnie.

Nie martw się o mnie.

Nie martw się.

Noc w końcu stała się dniem, a ja wciąż żyłem. Przez czarny materiał kaptura, który założyli mi na głowę, widziałem, że jest jasno. Co więcej, dokąś mnie prowadzili.

Wyciągnęli mnie na dwór. Sznur na szyi dławił — byłem słaby i brakowało mi tlenu. Wrzucili mnie na tylne siedzenie jakiejś furgonetki czy półciężarówki, wozu z wysokim zawieszeniem i silnikiem diesla.

Potem długo jechaliśmy. Pomimo kaptura nie zamykałem oczu. W myślach wciąż jednak widziałem tylko ostatni moment życia Adanne, a potem...

Tygrys zabił ją i zrobił coś jeszcze gorszego. Uważał, że jestem pośmiewiskiem. Mówił, że mu nie zagrażam. Ot, kolejny policjant. Jeszcze zobaczymy.

O ile przeżyję następne kilka godzin.

Podczas jazdy modliłem się za Adanne i jej rodzinę. Przysiągłem, że to jeszcze nie koniec. Oczywiście im to już nie sprawiło różnicy. Ale mnie — owszem. Zastanawiałem się, czemu wciąż żyję. To nie miało sensu. Kolejna tajemnica.

Gdy w końcu się zatrzymaliśmy, po obu stronach auta otworzyły się drzwi. Co teraz?

Ktoś przycisnął mi głowę do fotela. Brutalnie ściągnął kajdanki. Czyjeś silne ręce wypchnęły mnie z samochodu.

— Wracaj do domu. Już!

Pofrunąłem w powietrzu — tylko kilka chwil czułem przerażenie i niepewność.

Potem wylądowałem na kamieniu czy betonie. Zanim wstałem i odwiązałem kaptur, tamci zniknęli bez śladu.

Zostawili mnie w bocznej ulicy przed budynkiem z białego kamienia. Przypominał kanciaste gmachy urzędowe w centrum Waszyngtonu.

Przez żelazny płot widziałem przystrzyżony trawnik i stróżówkę przed wejściem.

W górze na lekkim wietrze powiewała amerykańska flaga.

To konsulaty Stanów Zjednoczonych. Na pewno. Ambasada była w Abudży. Właśnie tu mnie musieli przywieźć.

Ale dlaczego?

Rozdział 115

Wokół konsulatu coś się działo. Coś ważnego. I wyglądało niebezpiecznie. Na ulicy przed bramą frontową zebrały się setki ludzi. Właściwie robili wrażenie dwóch oddzielnych grup. Połowa ustawiła się tak, jakby czekała na wejście do środka. Reszta, po drugiej stronie betonowej bariery, protestowała przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Zobaczyłem wykonane ręcznie transparenty z hasłami: „Stany płacą cenę”, „Rządy w delcie dla ludzi z delty” i „Amerykanie precz”.

Nawet z daleka widziałem, że w takiej sytuacji lada moment może dojść do przemocy i zrobić się paskudnie. Nie chciałem czekać, aż to się stanie.

Przeszedłem za róg i torując sobie drogę zdrowym ramieniem, zacząłem się przepychać przez tłum. Ludzie po obu stronach usiłowali mnie chwycić, może dlatego, że wciskałem się w kolejkę, a może wyglądałem na Amerykanina. Okrzyki na ulicy zagłuszały wszystkie inne dźwięki wokół mnie.

Jakiś facet złapał mnie za koszulę. Zanim go odtrąciłem, rozerwał mi ją od góry do dołu.

Nie miało to dla mnie znaczenia. Nic go nie miało. Znów zacząłem się zastanawiać, dlaczego wciąż żyję. Bo myśleli, że jestem z CIA? Bo

mam przyjaciół w Waszyngtonie? A może w końcu uwierzyli, że jestem gliną?

Przebiełem się do głównej bramy. Byłem brudny i bosy, nie miałem paszportu. Zastąpił mi drogę żołnierz piechoty morskiej z podwójnym podbródkiem. Powiedziałem, że nazywam się Alex Cross, jestem amerykańskim funkcjonariuszem policji i chcę natychmiast rozmawiać z ambasadorem.

Żołnierz w ogóle nie chciał mnie słuchać.

— Zostałem porwany — powiedziałem. — Jestem amerykańskim gliniarzem. Niedawno byłem świadkiem morderstwa.

— Weź pan numer — mruknął strażnik.

Rozdział 116

Zaczynałem poważnie świrować, ale musiałem zapanować nad emocjami. Były rzeczy, o których należało komuś powiedzieć, należało przekazać informacje, tajemnice Adanne, które powinien poznać ktoś kompetentny.

Przy bramie przez kilka minut musiałem się zmagać ze zdrowym sceptycyzmem, zanim wreszcie przekonałem strażnika, żeby mnie zaanonsował. Odpowiedź była natychmiastowa: wprowadzić detektywa Crossa do środka. Zupełnie jakby się mnie spodziewali. Nie miałem pewności, czy to dobry, czy zły znak. Jeśli wziąć pod uwagę moje niedawne doświadczenia, zapewne zły.

Hol konsulatu — z wykrywaczami metalu i kuloodpornym szkłem w oknach — przypominał miejski posterunek policji. Ludzie czekali w kolejkach do każdego biurka i okienka. Większość była podenerwowana.

Brzmienie różnych amerykańskich akcentów — a także portret Condoleezy Rice obserwującej z góry całe pomieszczenie — sprawiało, że umysł płał mi figle. Już sam nie wiedziałem, gdzie jestem i jak tu się właściwie dostałem.

W środku czekał na mnie cywil w garniturze koloru złamanej bieli.

Przedstawił się jako „pan Collins”, Nigeryjczyk zajmujący tu nieokreślone stanowisko.

W przeciwieństwie do żołnierza piechoty morskiej, który mnie tu przyprowadził, Collins był miły i chętnie odpowiedział na kilka pytań zadanych po drodze.

— Rebelianci przeprowadzili dziś w stanie Rivers co najmniej jeden atak — wyjaśnił, bez przerwy gestykulując. — Większy niż wszystkie do tej pory. Rząd tego nie potwierdza, ale niezależne media nazywają to początkiem wojny domowej.

Na pierwszym piętrze gwar z parteru zastąpiła chłodna, urzędowa atmosfera i ściszone rozmowy.

Zaprowadzono mnie wprost do biura ambasadora, gdzie przez kilka minut czekałem przed jego gabinetem — aż wyszło stamtąd naraz kilkunastu mężczyzn, białych i czarnoskórych, a czterech wyglądało na Chińczyków. Wszyscy byli ponurzy i zdenerwowani. Nikt nie spojrzał wprost na mnie. Może nikogo nie obchodziło, że siedzę tam bosy i w podartym ubraniu.

Pan Collins uprzejmie przytrzymał mi drzwi, a potem zamknął je od zewnątrz.

Rozdział 117

Ambasador Robert Oweleen był wysokim i smukłym — niemal przesadnie chudym — srebrnowłosym mężczyzną koło sześćdziesiątki. Stał za dużym stylowym biurkiem. Po bokach umieszczono flagi amerykańską i nigeryjską. Dwaj asystenci ambasadora nie ruszyli się z niewielkiej kanapy we wnęce.

— Witam. — Uścisnął mi dłoń. Nie uśmiechał się. — Mój Boże, co się panu stało?

— Wiele rzeczy. Nie będę marnował pańskiego czasu. Jestem tu w sprawie pewnego człowieka, zabójcy znanego jako Tygrys. To kwestia nigeryjskiego i amerykańskiego bezpieczeństwa.

— Wiem, dlaczego pan tu jest, panie Cross. Abu Rock naciskało w pańskiej sprawie.

— Przepraszam... Abu Rock?

— Stolica. Najwyraźniej jedyną osobą, która chce pana widzieć w Nigerii, jest pan sam. CIA dosłownie uratowała panu życie, nieprawdaż?

Trochę osłupiałem, co tylko spotęgowało ogólne poczucie odrętwienia i oszołomienia wszystkimi wydarzeniami. Ambasador Stanów Zjednoczonych wiedział o mojej obecności w Nigerii? Ktoś

wywieszał informacje o mnie na billboardach czy jak?

— Dziś wysyłamy pana do domu — dodał Oweleen stanowczo.

Spojrzałem na podłogę, a potem podniosłem wzrok na niego. Usi-
łowałem się pozbierać.

— Panie ambasadorze, człowiek, którego ścigam, to wielokrotny
morderca. Być może ma powiązania z tutejszym rządem. Z pewno-
ścią łączy go jakaś dziwna więź z policją. Gdybym tylko mógł skon-
taktować się z moim łącznikiem z CIA w Lagos...

— Panu się wydaje, że kogo tutaj reprezentuje? — przerwał mi. —
W tym kraju jest pan zwykłym gościem, nikim więcej. Jeśli taka pań-
ska wola, może pan złożyć skargę w Departamencie Stanu. W Wa-
szyngtonie.

— Panie ambasadorze, tego człowieka trzeba powstrzymać.
Wczoraj zabił Adanne Tansi, dziennikarkę „Guardiana”. Na moich
oczach. Wymordował też całą jej rodzinę. Poza tym jest odpowie-
dzialny za co najmniej osiem ofiar w Waszyngtonie.

Oweleenowi w końcu puściły nerwy.

— Kim pan, do cholery, jest? Trzy dni temu nigdy o panu nie sły-
szałem, a teraz muszę tracić czas na takie rozmowy! Czy pan ma po-
jęcie, co tu się teraz dzieje? — Machnął ręką w stronę wiszącego na
ścianie telewizora plazmowego. — Zróbcie głośniej.

Jeden z asystentów wcisnął guzik na pilocie — a wtedy zacząłem
oglądać program w milczeniu i z przerażeniem.

Rozdział 118

Telewizor włączony był na kanał CNN. Brytyjski reporter relacjonował wydarzenia, a na ekranie pokazywano zdjęcia lotnicze luksusowego kompleksu mieszkalnego — równe rzędy dwukondygnacyjnych budynków.

Napis głosił: „Z ostatniej chwili — kompleks mieszkalny Summit Oil, wyspa Bonny, Nigeria”.

— Nigdy dotąd nie napadano rodzin — mówił reporter — i nigdy nie brano tak dużej liczby zakładników. W e-mailu wysłanym do prasy międzynarodowej Ludowy Ruch na rzecz Wyzwolenia Delt Nigru przyznał się do przeprowadzenia ataku. Do wiadomości dołączono te szokujące zdjęcia.

Na ekranie pojawiło się teraz ziarniste nagranie wideo zarejestrowane w podczerwieni.

Na podłodze ciemnego korytarza siedziały dziesiątki ludzi. Wszyscy mieli zakryte głowy i związane ręce, ale nietrudno było poznać, że są tam zarówno mężczyźni, jak też kobiety i dzieci. Niektórzy płakali, inni rozpaczliwie jężeli.

— To obywatele brytyjscy i amerykańscy — poinformował mnie ambasador Oweleen. — Wszyscy. Niech pan się czuje szczęściarzem, że w ogóle stąd wyleci.

— Wylecę? Kiedy?

Uniósł rękę i znów spojrzał na telewizor.

— Niech pan tylko popatrzy. Widzi pan, co się dzieje!

Na ekranie uzbrojeni żołnierze gęsiego opuszczali ciężarówkę.

Brytyjski reporter mówił dalej:

— Siły rządowe otoczyły kompleks, podczas gdy na całym świecie rośnie presja gospodarcza. W związku z zapowiadanyymi kolejnymi atakami w całym regionie zamykane są obiekty przemysłu naftowego. Zwolnienie produkcji osiągnęło niespotykany poziom siedemdziesięciu procent, uznawany za katastroficzny. W grę wchodzi interesy Chin, Francji, Holandii oraz naturalnie Stanów Zjednoczonych. W normalnych warunkach Nigeria dostarcza Ameryce około dwudziestu procent ropy.

Na biurku zabrzączał telefon. Ambasador Oweleen podniósł słuchawkę.

— Tak? — odezwał się. A zaraz potem: — Niech wejdą.

— Panie ambasadorze — spróbowałam ponownie. — Nie proszę o wiele. Muszę tylko wykonać jeden telefon...

— Niezwłocznie pozwolimy panu wziąć prysznic i damy świeże ubranie. Zajmiemy się procedurą imigracyjną. Natychmiast wydamy panu nowy paszport. Ale wtedy pan stąd wyjedzie. Proszę zapomnieć o tym swoim polowaniu. Od tej chwili jest po wszystkim.

W końcu nie wytrzymałam.

— Nie chcę prysznica! — wrzasnęłam. — Ani ubrania. Chcę, żeby mnie pan posłuchał. Dopiero co byłem świadkiem zamordowania dziennikarki Adanne Tansi w więzieniu Kirikiri. Pisała ważny artykuł, którego treść miała związek z obecnymi aktami przemocy w pobliżu pól naftowych.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Oweleen ominął mnie wzrokiem. Zupełnie jakby stracił zainteresowanie mną w chwili, gdy podniosłem głos. Nawet nie odpowiedział.

Odezwał się bezpośrednio do dwóch żołnierzy piechoty morskiej, którzy czekali przy wejściu.

— Skończyliśmy. Proszę zaprowadzić detektywa Crossa na dół i pozwolić mu się odświeżyć przed podróżą do Stanów.

Rozdział 119

Dwaj żołnierze eskortujący mnie do szatni w podziemiu byli uprzejmi i okazali mi szacunek, ale ściśle trzymali się poleceń.

W szatni znajdowały się drewniane szafki i wypłowiały dywan, a także łaźnia parowa wyłożona kafelkami, wanna z hydromasażem i niewielka przestrzeń z prysznicami. Zgodnie z obietnicą dostałem świeży ręcznik.

Jeden z żołnierzy spytał mnie o numer buta, kołnierzyka i rozmiar spodni, po czym wyszedł. Drugi oznajmił, że na kąpiel i ubranie się mam dziesięć minut, więc nie powinienem tracić czasu. Obaj byli czarnoskórzy — zapewne to nie przypadek.

W łaźnicy znajdowały się cztery kabiny prysznicowe. Każda miała z przodu małą przebieralnię zakrytą zasłoną. Wszedłem do ostatniej. Myśli gnały jak szalone. Mijały moje ostatnie chwile w tym kraju.

Co ja teraz zrobię? W szatni nie było okien i miała tylko jedno wyjście. Odkręciłem wodę, by strażnik myślał, że się kąpię.

Potem pochylilem się i wsunąłem głowę pod strumień.

Nagle cały zacząłem się trząść. Przypomniałem sobie Adanne. To się musiało skończyć, przynajmniej na razie.

Któs nucił tę balladę Jamesa Blunta, która ciągle leciała w radiu. Tę, w której wokalista w kółko powtarza słowo *beautiful*.

Zdjąłem z siebie resztki koszuli. Znów włożyłem głowę pod prysznic, a zaraz potem wychyliłem się z kabiny, ociekając wodą.

— Przepraszam, mógłby mi pan przynieść drugi ręcznik? — poprosiłem strażnika.

Po drodze do szatni zauważyłem, że przy wejściu leżał cały stos.

— Po co panu aż dwa? — spytał, wetknąwszy głowę za zasłonę.

— Żartuje pan? Sam pan widział, jak wyglądam. I pachnę.

Pokręcił głową, ale zaraz poszedł po ręcznik.

— Dzięki! — zawołałem.

Natychmiast ruszyłem do sąsiedniej kabiny. Przytrzymałem pierścienie zasłony, żeby nie zabrzączały na drążku.

Mężczyzna, który brał tu prysznic, powiesił ubranie na haczyku w przebieralni.

Zacząłem grzebać w kieszeniach jego spodni i znalazłem to, czego szukałem: telefon komórkowy.

W kilka sekund wróciłem do siebie. Dosłownie po chwili żołnierz przerzucił przez drążek biały ręcznik frotté.

— Lepiej niech się pan pospieszy — usłyszałem.

Rozkręciłem prysznic na najsilniejszy — i najgłośniejszy — strumień. Następnie wybrałem numer telefonu Iana Flaherty'ego. Odebrał osobiście.

Rozdział 120

— Flaherty? Mówi Alex Cross.

— Cross? Gdzie jesteś?

— W konsulacie. Jestem jeszcze w Afryce. Odsyłają mnie do kraju. Właśnie teraz. Musisz z kimś porozmawiać i to powstrzymać. Jestem już blisko tego sukinsyna, Tygrysa.

— Nie da rady. Nie mogę cię dłużej kryć — odpowiedział bez chwili namysłu.

— Nie chcę, żebyś mnie krył. Adanne Tansi nie żyje. On ją zabił. Wykonaj parę telefonów. Mogę doprowadzić tę sprawę do końca.

— Nic nie rozumiesz — odparł Flaherty. — Nie masz tu czego szukać. Koniec gry. Wracaj do domu i już się stamtąd nie ruszaj. Zapomnij o Abim Sowande. Czy jak on się teraz nazywa.

W kabinie obok przestała lecieć woda. Mężczyzna zaczął gwizdać. Uderzyłem się nasadą dłoni w czoło, żeby sobie wszystko ułożyć. Flaherty wcale mnie nie krył. Od samego początku byłem w błędzie.

— To ja kryłem ciebie, prawda? — powiedziałem.

Gwizdanie w sąsiedniej kabinie na moment ustało, po czym powróciło.

— To dlatego chciałeś, żeby wszyscy myśleli, że jestem z CIA. Kiedy ja działałem otwarcie, ty mogłeś w ukryciu. Wygodny sposób na odwrócenie uwagi.

— Słuchaj. — Po głosie Flaherty'ego poznawałem, że ma dość. — Muszę już iść. Parę razy uratowaliśmy ci tyłek. Bądź wdzięczny. Tutaj jest wojna. Zmywaj się stąd. Zadzwoń do mnie ze Stanów.

— Flaherty!

Rozłączył się w tej samej chwili, gdy nagle rozsunała się kotara.

Po drugiej stronie stał żołnierz, który przyniósł mi ręcznik. Był naprawdę wściekły. Przycisnął mnie do ściany i przygniół nadgarstek. Nie stawiałem oporu. Choćby dlatego, że ramię potwornie mnie bolało. Kiedy sięgnął po telefon, po prostu mu go oddałem.

Rzeczywiście koniec gry.

Wracałem do domu.

Czy tego chciałem, czy nie.

Szczerze mówiąc, miałem mieszane uczucia.

Rozdział 121

Opuściłem konsulat właściwie tak samo jak Kirikiri — jako więzień. Tym razem zatrzymany przez władze Stanów Zjednoczonych. Zastanawiałem się, czy zdołałbym znów uciec. Czy naprawdę miałem ochotę?

Jeden z żołnierzy piechoty morskiej prowadził samochód, a drugi siedział obok mnie. Co gorsza, zostałem do niego przykuty kajdanami. Najwyraźniej uznali, że spróbuję utrudniać im życie.

Główna brama do konsulatu była zamknięta. Nikt już nie czekał na wejście.

Przybyło natomiast demonstrantów. Stali wzdłuż płotu, trzymali się go tak, jakby ściskali pręty w celi więziennej. Przeklinali wszystko, co amerykańskie, a także życie, które zgotował im los.

Kiedy wyjechaliśmy przez bramę, otoczył nas tłum.

Ciała przyciskały się do okien samochodu, dłonie uderzały o szyby, pięści bębniły w dach. W oczach ludzi widziałem gniew i strach. Frustrację, jaką budzi życie spędzone w nędzy i krzywdzie.

— Czego chcą ci ludzie? — spytał młody żołnierz, który siedział obok mnie. Na jego naszywce widniało nazwisko Owens. — Przecież

ci zakładnicy w delcie to Amerykanie i Brytyjczycy. Pewnie wszyscy zginą.

— Czego chcą? — odparł kierowca. — Chcą, żeby nas tu nie było.

Mnie też nikt tutaj nie chce, pomyślałem, nawet Amerykanie. I nikt nie chce wysłuchać prawdy.

Rozdział 122

Na drogach prowadzących na lotnisko imienia Murtali Muhammada panował jeszcze większy tłok, niż kiedy byłem tu ostatnio — jeśli to w ogóle możliwe. Zatrzymaliśmy się przy tej samej bazie lotniczej, skąd wraz z Adanne leciałem do Sudanu. Dalej musieliśmy pojechać autobusem.

Pelen był amerykańskich rodzin, które zapewne jechały do domu, a przynajmniej opuszczały Nigerię. Wszyscy bez przerwy rozmawiali o przerażającej sytuacji w delcie. Jak dotąd nikogo nie uwolniono i wszyscy bali się, że zakładnicy wkrótce zginą.

Zaskoczyło mnie to, że prawie nikt nie zwracał uwagi na dwóch mężczyzn skutych kajdankami. Chyba wszyscy mieli na głowie zbyt ważne rzeczy, żeby przejmować się mną i moim strażnikiem.

W terminalu lotniska kipiało od ludzi. Panował zgiełk i chaos, jakby tu wybuchła bomba. Przebiliśmy się do biura ochrony, by załatwić kwestię doprowadzenia mnie do samolotu. Wyglądało na to, że pożegnani się z kajdankami dopiero wtedy, gdy zapnę pas w samolocie.

Poczekalnia, podobnie jak wszystkie inne miejsca, pełna była ludzi — wpatrzonych w ekran jednego telewizora, nastawionego na afrykański kanał.

Reporterka miała jorubański akcent, taki sam jak Adanne. Nie-samowite, ale właśnie to w końcu przepelniło czarę. Łzy pociekły mi po twarzy. Trząśłem się jak w gorączce.

— Wszystko w porządku, stary? — spytał żołnierz, do którego byłem przykutym.

W gruncie rzeczy wydawał się porządnym człowiekiem. Po prostu wykonywał swoją pracę i robił to dobrze.

— Tak, tak — odparłem. — Nic mi nie jest.

Nie ja jeden tutaj płakałem. I nie bez powodu. Siły nigeryjskie wkroczyły do kompleksu na wyspie Bonny. Miała to być „misja ratunkowa”, ale zginęli wszyscy zakładnicy — trzydzieści cztery osoby. W całym rejonie delty wybuchły walki. Pojawiły się doniesienia o zamieszkach w dwóch kolejnych stanach na południu.

Zdjęcia zmasakrowanych zakładników były szokujące jak na standardy amerykańskich wiadomości. Leżeli na podłodze korytarza w zakrwawionych ubraniach, zarówno dorośli, jak i dzieci. Ich ciała opadły bezwładnie jedno na drugie. Na głowach wciąż miały kaptury.

Jakaś kobieta obok mnie wydała z siebie przeszywający krzyk. Jej rodzina wciąż przebywała w delcie. Wszyscy inni nie odwracali wzroku od telewizora.

— Urzędy gubernatorów stanów Rivers, Delta i Bayelsa wydały ostrzeżenia — ciągnęła reporterka. — Apeluje się do mieszkańców tych rejonów, by w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin przemieszczali się jedynie w wyjątkowych sytuacjach. Obowiązuje ścisła godzina policyjna. Osoby naruszające ją zostaną aresztowane, a być może nawet zastrzelone.

— Zaczęli wpuszczać na pokład pana samolotu — odezwał się Owens, żołnierz, który mnie eskortował. — Chodźmy. Cholera, szkoda, że nie mogę lecieć z panem. Ja też jestem z Waszyngtonu. Chciałbym wrócić do domu. Tęsknię. Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo.

Wziąłem od niego numer telefonu i obiecałem, że po przylocie zadzwonię do jego matki.

Kilka minut później wyprowadzono nas do samolotu. Usłyszałem, że ktoś mnie woła. Spojrzałem w bok, w stronę budynku terminalu.

To, co zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach i wszystko odmieniło.

Patrzył na mnie ksiądz Bombata. Uniósł drobną dłoń i pomachał.

Tuż obok, górujący nad księdzem — jeśli to rzeczywiście był ksiądz — stał Tygrys. Abi Sowande. Bydlak przesunął kciukiem w poprzek gardła.

Co to miało oznaczać? Że jeszcze nie koniec?

Cholera, świetnie o tym wiedziałem.

Zdecydowanie nie koniec. Jeszcze nie zrezygnowałem.

Ale może Tygrys już sobie z tego zdawał sprawę.

Część czwarta

Znowu w domu

Rozdział 123

Wiedziałem, że poniosłem klęskę.

I wiedziałem — od bardzo dawna — że oglądałem już tyle morderstw, tyle rozlewu krwi, przeprowadziłem tak wiele śledztw, iż kilku ludziom starczyłoby to do końca życia. Jednak nic nie przygotowało mnie na szalony koszmar ostatnich kilku tygodni: tortury i ludobójstwo, cierpienie niewinnych kobiet i dzieci, a wreszcie bezsensowne zamordowanie Adanne Tansi i jej rodziny.

Podczas lotu do Londynu, skąd miałem się przesiąść na samolot do Waszyngtonu, niczego nie pragnąłem bardziej, niż na kilka godzin uciec w sen.

Jednak nie mogłem przegnać koszmarnych obrazów z pobytu w Afryce. Nie opuszczał mnie widok Adanne Tansi zabijanej i gwałconej przez potwornego Tygrysa.

I na co się zdała śmierć jej i jej rodziny? Co osiągnąłem poza nieudanym pościgiem za mordercą? A co z tymi wszystkimi ofiarami, które nigdy nie zostaną pomszczone ani nawet godnie upamiętnione? Co z tajemnicami, które powierzyła mi Adanne?

Wzdrygnąłem się i obudziłem, gdy podchodziliśmy do lądowania na londyńskim Gatwick. Trochę się zdrzemnąłem i teraz byłem

półprzytomny. Miałem rozstrój żołądka i koszmarny ból głowy.

Może to tylko przejaw paranoi, ale wydawało mi się, że przez większość lotu personel pokładowy Virgin Nigeria mnie unikał.

Teraz potrzebowałem wody i aspiryny. Dałem znak stewardesie, która przed wylądowaniem zbierała puste kubki i puszki.

— Przepraszam! — zawołałem.

Byłem pewien, że mnie zauważyła, ale znów zostałem zignorowany.

W końcu zrobiłem coś, co chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się podczas lotu: wcisnąłem przycisk wezwania obsługi. Kilka razy. Najbliższa stewardesa spojrzała na mnie surowo. Nie podeszła, by spytać, czego potrzebuję.

Wobec tego wstałem i sam się do niej udałem.

— Nie wiem, co takiego zrobiłem, by panią urazić... — zacząłem.

Przerwała mi:

— To panu powiem. Jest pan obrzydliwym Amerykaninem. Podobnie zresztą jak większość Amerykanów, ale pan jest jeszcze gorszy. Ściągnął pan cierpienie na osoby, z którymi pan się kontaktował. A teraz chce pan mojej pomocy? O nie. Nie podam panu nawet napoju. Kapitan włączył znak „zapiąć pasy”. Proszę wrócić na miejsce.

Złapałem ją za ramię i przytrzymałem delikatnie, acz stanowczo. Obejrzałem się po samolocie.

Miałem nadzieję, że ktoś nas obserwuje. Ktoś, kto opowiedział o mnie personelowi pokładowemu.

Nikt jednak nie patrzył w naszą stronę. Nikogo nie rozpoznałem.

— Kto pani o mnie powiedział?! — zapytałem. — Ktoś w samolocie? Kto to był? Proszę mi go pokazać.

Strząsnęła moją dłoń.

— Niech sam pan to wykombinuje. Jest pan detektywem.

Następnie odeszła, nie oglądając się. Obraz jej gniewnej twarzy towarzyszył mi przez całą drogę do domu, ciągle się zastanawiałem, dlaczego była tak na mnie wściekła.

Rozdział 124

Kolejne dwanaście godzin podróży minęło bardzo wolno, lecz w końcu dotarłem do Waszyngtonu. Nie mogłem się dodzwonić do Nany, by oznajmić, że wróciłem. Wsiadłem więc do taksówki przed lotniskiem Reagana i ruszyłem na Fifth Street.

Było tuż po dwudziestej pierwszej i panował gęsty wieczorny ruch, ale cieszyłem się, że znów jestem w Waszyngtonie. Czasem miewam takie uczucie po powrocie z długiej, męczącej podróży, a ten przypadek zdecydowanie tak się kwalifikował. Nie mogłem się doczekać, kiedy znajdę się we własnym domu i położę we własnym łóżku.

W taksówce ogarnęło mnie otępienie po wielogodzinnym locie.

Nikt nie zrozumie, co to rzeź i cierpienie, dopóki nie odwiedzi Sudanu, Sierra Leone, części Nigerii. Co więcej, nie istnieją proste odpowiedzi i rozwiązania. Moim zdaniem przyczyną przemocy, której byłem świadkiem, nie jest to, że zwykli ludzie są źli. Natomiast ci na szczytach władzy — owszem, przynajmniej niektórzy.

Poza tym na wolności byli psychopaci tacy jak Tygrys i inni zabójcy do wynajęcia, dzicy chłopcy. Nie miało wielkiego znaczenia, że w

morderców zmieniły ich katastrofalne warunki życia.

Nie opuszczała mnie ironiczna świadomość, że ostatnie dwanaście lat życia spędziłem na ściganiu morderców w Stanach, ale w porównaniu z tym, co widziałem przez ostatnie tygodnie, wszystko bladło.

Ocknąłem się z zamyślenia, gdy taksówkarz zjechał na pobocze. Co się znów stało? Wróciłem do domu, a pech mnie nie opuszcza? Że co, złapaliśmy gumę?

Kierowca obrócił się i nerwowo wyjaśnił:

— Problem z silnikiem. Przepraszam. Bardzo przepraszam. — Po-
tem wyciągnął pistolet i wrzasnął: — Giń, zdrajco!

Rozdział 125

Ktoś uparcie dzwonił do drzwi domu Crossów. Raz za razem, raz za razem.

Nana była w pokoju Alego. Kładła go do snu tak, jak lubił — leżała obok, dopóki słodki chłopczyk nie odpłynął w objęcia Morfeusza, i szeptała słowa jednej z ulubionych bajek.

Dziś czytała mu *Ralph S. Mouse*. Ali chichotał po każdej stronie, a często nawet kilka razy podczas czytania jednej. Wciąż powtarzał:

— Jeszcze raz! Przeczytaj jeszcze raz!

Nana cierpliwie czekała, aż Jannie otworzy drzwi. Ale dzwonek wciąż dzwonił. Ktoś był uparty, nieuprzejmy i doprowadzał ją do szału. Jannie robiła ciasto w kuchni. Gdzież się ta dziewczyna podziewała? Dlaczego nie poszła otworzyć?

— Któż to może być? — mruknęła Nana, podnosząc się z łóżka chłopczyka. — Ali, zaraz wracam... Janelle, wystawiasz moją cierpliwość na próbę, a to nie jest rozsądne.

Lecz gdy Nana dotarła do salonu, zobaczyła, że Janelle już stoi przy drzwiach — szeroko otwartych.

Dziwny chłopak w koszykarskiej koszulce Houston Rockets wciąż dzwonił.

— Czy ty jesteś normalny?! — zawołała Nana, kuśtykając prędko

przez korytarz. — Przestań dzwonić, ale już! Czego chcesz o tej godzinie, synu? Czy ja cię w ogóle znam?

Chłopak w koszulce Rockets w końcu zdjął palec z guzika. Uniósł obrzyna, tak by Nana go zobaczyła, ale ona i tak parła naprzód, póki opiekuńczo nie objęła Jannie.

— Zabiję głupią dziewczynę w sekundę — powiedział. — I ciebie też zabiję, stara. Nie będę się wahał tylko dlatego, że jesteście rodziną detektywa.

Rozdział 126

Wszystko potoczyło się błyskawicznie i kompletnie mnie zaskoczyło, ale gdy dostrzegłem szansę, natychmiast z niej skorzystałem.

Wątpiłem, by taksówkarz był doświadczonym zabójcą. Zawahał się, zamiast od razu pociągnąć za spust i mnie zastrzelić.

Dlatego rzuciłem się naprzód, by jednocześnie złapać pistolet i rękę, która go trzymała.

Grzmotnąłem nadgarstkiem kierowcy o metalowe przepierzenie, a potem raz jeszcze, z całej siły.

Jęknął głośno i wypuścił broń. Chwyciłem ją i wycelowałem w niego.

Nagle schylił się i wyskoczył przez otwarte drzwi.

Puściłem się za nim, ale już zbiegał z trawiastego nasypu. Następnie zniknął w zaroślach.

Miałem go na celowniku jego własnej broni, ale nie strzeliłem. Nazwał mnie „zdrajcą”. Tak jak stewardesa.

Naprawdę w to wierzył czy tylko wykonywał polecenia?

Przypomniałem sobie jego twarz. Chuda. Z bródką. Mógł mieć dwadzieścia parę lat. Żołnierz? Zbir? W jego mowie były ślady nigeryjskiego akcentu. Zatem kto go na mnie nasłał? Tygrys? Ktoś inny? Ale kto?

Na razie nie chciałem spekulować na temat teorii spiskowych. To nie miejsce ani czas.

Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce, więc niewiele myśląc, postanowiłem pojechać taksówką do domu. Gdy dotrę na miejsce, zadzwonię na policję.

Ale co powiem? Ile zdradzę z tej dziwnej i niepokojącej historii?

I jak wiele wyjawię Nanie? Nie byłaby zadowolona, gdyby mnie teraz zobaczyła: za kierownicą taksówki zabranej facetowi, który próbował mnie zabić.

Rozdział 127

Na dotarcie do domu przy Fifth Street potrzebowałem tylko kilku minut.

Zaparkowałem auto na ulicy. Nagle puściłem się biegiem. Już podczas jazdy zacząłem się martwić o Nanę i dzieci.

Czy nikomu nic się nie stało? Może to tylko objaw paranoi. A może nie. W końcu Tygrys zajmował się całymi rodzinami. A mnie ktoś próbował zabić. Nie zmyśliłem tego.

Wystraszyła mnie nasza kotka Rosie, która na trawniku przed domem zakradła się do mnie od tyłu.

Kto ją wypuścił? Rosie była zdeklarowanym kotem domowym. Widziałem, że jest podenerwowana. Dlaczego? Co się stało? Co zobaczyła?

— Nano?! — zawołałem, wbiegając po schodkach na ganek. — Nano!

Przekręciłem gałkę w drzwiach — nie były zamknięte! To też dziwne. W tej dzielnicy nikt nie zostawia otwartych drzwi, a już na pewno nie Nana.

Wszedłem i puściłem się biegiem przez parter domu.

— Nano! Dzieci! — zawołałem od progu.

Nie chciałem ich przestraszyć tylko dlatego, że sam byłem przerażony.

Cisza?

Zatrzymałem się w kuchni. Wyglądała, jak po jakimś kataklizmie. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Najwyraźniej ktoś robił ciasto i przerwał w trakcie pracy.

Ale to nie wszystko. Na podłodze leżały przewrócone krzesła, roztrzaskane talerze i szklanki.

Leżała tam również miska, a w niej chyba lukier waniliowy. To Nana robiła ciasto — szczęściarz ze mnie.

Wyciągnąłem broń, którą zabrałem taksówkarzowi.

Bez tchu ruszyłem na górę. Staralem się nie zdeptać Rosie, gdy wspólnie wspinaliśmy się po schodach.

Cicho.

I szybko.

Rozdział 128

Sprawdziłem wszystkie sypialnie na piętrze. Potem mój gabinet na poddaszu. W końcu zszedłem do piwnicy.

Nic. W całym domu nie było nikogo.

W końcu zadzwoniłem na policję i zgłosiłem, że prawdopodobnie porwano moją rodzinę.

Po kilku minutach na miejsce zajęły trzy radiowozy. Światła na dachach błyskały złowrogo. Wszedłem z domu dokładnie w chwili, gdy przybył Sampson.

Przekazałem mu, co wiedziałem do tej pory. Staliśmy na ganku, a ja trzymałem Rosie, tak naprawdę to dla otuchy. Wszystko zdawało się nierealne, a ja czułem się otępiały.

— To musiał być Tygrys — powiedziałem. — Chodziło o to, co wydarzyło się w Afryce. W drodze z lotniska o mało nie zostałem zastrzelony. — Wskazałem na taksówkę zaparkowaną na ulicy. — Kierowca wyciągnął broń.

— Alex, oni żyją — rzekł Sampson i objął mnie. — Na pewno.

— Obyś miał rację. Inaczej zabiłby ich tutaj tak jak rodzinę Ellie.

— Ci ludzie podejrzewają, że coś wiesz. Czy mają rację?

— Nie wiem zbyt wiele — odparłem. Ale to nie była prawda.

Wtedy usłyszałem kobiecy głos:

— Alex! Alex!

Bree! Biegła ulicą, ponieważ samochód musiała zostawić za skrzyżowaniem. Policja całkowicie zablokowała Fifth Street i wszystko zaczynało przypominać jedno z tych makabrycznych miejsc zbrodni, do których nienawidziłem jeździć. Tylko że tym razem chodziło o mój dom, o moją rodzinę.

— Co się dzieje, Alex? Właśnie dostałam zgłoszenie. Zobaczyłam adres. Co się stało?

— Ktoś porwał Nanę, Alego i Jannie — wyjaśnił Sampson. — Na to wygląda.

Bree objęła mnie mocno.

— Och, Alex, Alex, nie...

Nie składała pustych obietnic. Zamiast nich dała mi jedyne pocieszenie, jakie mogła: swoją bliskość i kilka wyszeptanych słów.

— Żadnego listu, żadnej wiadomości? — spytała w końcu.

— Niczego nie znalazłem. Powinniśmy poszukać jeszcze raz.

Wątpię, czy wystarczająco trzeźwo myślałem. Na pewno nie.

— Sądzisz, że powinieneś tam teraz wracać? — spytała, biorąc mnie za rękę.

— Muszę. Chodź ze mną. Chodźcie oboje.

Razem weszliśmy do domu.

Rozdział 129

Gdy Bree i Sampson zaczęli się rozglądać po domu, ja zadzwoniłem do szkoły Damona. Porozmawiałem z dyrektorem, a potem z nim samym. Powiedziałem, żeby się spakował, bo wkrótce go stamtąd zabierzemy. Sampson już to załatwił.

— Dlaczego muszę wracać do domu? — pytał Damon.

— Nie do domu. Jeszcze nie. Nikt z nas nie jest tu bezpieczny.

Potem dołączyłem do Bree i Sampsona. Przeszukiwaliśmy dom przez kilka godzin, ale nic nie znaleźliśmy. Żadnej wiadomości. Jedynymi śladami walki były bałagan w kuchni oraz pognieciony chodnik w przedpokoju.

Zajrzałem do swojego komputera, ale tam też nic nie było. Nie zostawiono żadnego listu. Żadnych gróźb. Żadnego wyjaśnienia. Może właśnie na tym polegała wiadomość?

Postanowiłem zadzwonić do Lagos. W tej chwili była tam ósma rano.

Dodzwoniłem się do Iana Flaherty'ego, ale tym razem nie odebrał osobiście.

— Pana Flaherty'ego nie ma teraz w biurze — wyjaśniła zdenerwowana asystentka.

— Czy wie pani, gdzie przebywa albo kiedy wróci? — spytałem. — Mam do niego ważną sprawę.

— Przykro mi, ale nie wiem. Dużo się tu teraz dzieje. Sytuacja jest bardzo niedobra.

— Wiem. Czy mogę zostawić wiadomość?

— Oczywiście.

— Proszę powiedzieć, że Alex Cross wrócił do Waszyngtonu. Porwano moją rodzinę. Myślę, że to Tygrys albo jego ludzie. Muszę porozmawiać z panem Flahertym. Proszę mu to koniecznie przekazać. Być może to sprawa życia i śmierci.

— Oczywiście, proszę pana — odparła asystentka. — Jak zawsze.

Rozdział 130

Sampson, Bree i ja zostaliśmy w domu jeszcze przez godzinę. Znow spenetrowaliśmy wszystkie pokoje w poszukiwaniu cze-
gokolwiek przydatnego.

Rozumiałem jednak, że oboje byli tutaj przede wszystkim po to, by upewnić się, że nic mi nie jest, szczególnie że zaczynałem się sy-
pać.

W końcu kazałem Johnowi wrócić do rodziny i trochę się zdrzem-
nąć.

Przez cały czas nikt nie zadzwonił i nie próbował przekazać mi
wiadomości.

— Przed domem stoją dwa radiowozy — powiedział Sampson. —
Zostaną tam przez całą noc. Nawet nie dyskutuj.

— Wiem. Widzę je.

— O to chodzi, cukiereczku. Mają być widoczne.

— Każ im zachować najwyższą czujność — poleciła Bree. — Ja też
tu zostanę. Powiedz, że będę ich sprawdzać.

Sampson uściskał ją, a potem mnie. Dziś nie było policyjnych żar-
tów, żadnych prób rozładowania napięcia.

— Cokolwiek by się działo, dzwoń — powiedział.

Następnie ruszył przez drzwi kuchenne. Przystanął i obrócił się.

— Porozmawiam z tymi przed domem. Może ściągnę jeszcze jeden radiowóz.

Nie zwracałem sobie głowy dyskusją. W tym stanie nie nadawałem się do podejmowania decyzji.

— Dziękuję.

— Nic nam nie będzie — odezwała się Bree.

— Nie wątpię. — Sampson kiwnął głową. — Zadzwońcie, gdyby coś się działo. Cokolwiek!

W końcu zatrzasnął za sobą drzwi.

Zamknąłem je na zamek. Gdyby ktoś próbował się dostać do domu, w ten sposób zyskiwalibyśmy kilka sekund. Mogły się nam przydać.

— Wszystko w porządku? — spytała Bree.

Skinąłem głową.

— Skoro u mnie nocujesz? Oczywiście.

Podeszła i znów mnie przytuliła.

— W takim razie chodźmy na górę. — Wzięła mnie za rękę. — Chodź, Alex.

Pozwoliłem się zaprowadzić na piętro. I tak byłem odrętwiały. Dryfowałem w odległym śnie na jawie.

— Tutaj jest telefon — powiedziała, gdy weszliśmy do sypialni.

Ponownie mnie przytuliła, a potem sięgnęła w dół i zaczęła mi rozpinać pasek. Nie sądziłem, że właśnie tego potrzebuję, lecz okazało się, że byłem w błędzie.

Ale później zadzwonił telefon.

Rozdział 131

Telefony do domu zaczęły się kilka minut po czwartej nad ranem. Ktoś dzwonił i rozłączał się raz za razem, praktycznie bez przerwy.

To była dla mnie psychiczna tortura, ale za każdym razem odbierałem. Nie zdjąłem słuchawki z widełek. Jakżebym mógł? Telefon zapewniał jedyny kontakt z Naną i dziećmi. Więził ich ten, kto teraz do mnie wydzwaniał. Musiałem w to wierzyć.

Całą tę noc, prawdopodobnie najgorszą noc mojego życia, Bree i ja spędziliśmy przytuleni.

Opowiedziałem jej trochę o tym, co robiłem i widziałem w Afryce. O zamordowaniu Adanne i jej rodziny. Lecz również o dobroci i naturalności tamtejszych ludzi, o ich bezradności wobec koszmaru, który nie oni stworzyli i którego nie chcieli.

— A ten Tygrys? Czego się o nim dowiedziałeś?

— Terrorysta, zabójca do wynajęcia, najwyraźniej pracuje na dwa fronty. Dla każdego, kto zapłaci. Bree, to najbardziej brutalny morderca, jakiego w życiu widziałem. Lubi krzywdzić ludzi. Istnieją też inni do niego podobni. „Tygrys” to tamtejsze określenie najemnych zabójców.

— Więc to on porwał Nanę i dzieci? Jesteś pewien?

— Tak — odparłem w tej samej chwili, gdy znów rozbrzmiał telefon. — I to on dzwoni.

Telefon wciąż dzwonił, a ja zacząłem przechadzać się po domu. Chodziłem z pokoju do pokoju, rozmyślając o rodzinie. Rosie nie opuszczała mnie nawet na krok.

W kuchni leżała na wierzchu ulubiona książka kucharska Nany: *The Gift of Southern Cooking**. Była otwarta na oznaczonym gwiazdką przepisie na ciasto czekoladowo-pekanowe.

* *The Gift of Southern Cooking* (ang.) — Dar kuchni Południa.

Na oparciu krzesła wisiał jej słynny gabardynowy płaszcz przeciwdeszczowy. Ileż to razy mi powtarzała: „Nie potrzebuję drugiego płaszcza od deszczu. Minęło pół wieku, zanim się zżyłam z tym”?

Potem obszedłem pokój Alego.

Zobaczyłem jego karty z Pokemonami starannie ułożone na podłodze. Jego ukochaną pluszową zabawkę Moo. Ręcznie malowaną koszulkę z przyjęcia na jego czwarte urodziny. Otwarty egzemplarz książki *Ralph S. Mouse* na nocnej szafce.

Gdy wszedłem do pokoju Jannie, ciężko usiadłem na łóżku. Przemknąłem wzrokiem po jej bogatej kolekcji książek. Po drucianych koszykach pełnych przyborów do włosów, błyszczyków do ust, mleczek o zapachu owocowym. Wreszcie dostrzegłem jej okulary do czytania, które okulista przepisał zaledwie przed miesiącem. Naprawdę mocno przeżyłem ten widok. W tym obrazku — nowych okularów na biurku — było coś niezwykle delikatnego i znaczącego.

Siedziałem i tuliłem Rosie, gdy znów zadzwonił telefon. Odebrała go Bree.

— Pierdol się — powiedziała bardzo cicho.

I odłożyła, nie sprawdzając, kto dzwonił tym razem.

Rozdział 132

Odzyskam swoją rodzinę. Musiałem w to wierzyć. Ale czy to prawda? Jakie były realne szanse? Z pewnością z każdą chwilą malały.

Tego ranka od szóstej trzydzieści do prawie siódmej siedziałem na ganku i usiłowałem nie oszaleć. Przyszło mi na myśl, że mógłbym się przejechać samochodem. Może to by mnie odprężyło.

Bałem się jednak opuścić dom choćby na chwilę.

Nieco po siódmej głucho telefony ustały, a ja na godzinkę zdołałem się zdrzemnąć.

Potem wziąłem prysznic, ubrałem się i wezwałem jednego z policjantów pilnujących domu. Kazałem odbierać wszystkie telefony i podałem numer komórki, pod którą będę dostępny.

O dziewiątej Bree i ja wzięliśmy udział w nadzwyczajnym spotkaniu w Daly Building.

W sali konferencyjnej zaskoczyła mnie obecność kilkunastu policjantów. To byli najlepsi ludzie w Waszyngtonie. Z większością współpracowałem już przy różnych śledztwach. Rozumiałem, że w

ten sposób komenda okazuje mi wsparcie i troskę. Szef wydziału śledczego Davies, Bree i ja zwróciliśmy się do funkcjonariuszy, którzy dysponowali ulicznymi kontaktami i mogli pomóc w odnalezieniu mojej rodziny. Jeśli w ogóle ktokolwiek mógł.

Rozdział 133

Od tego momentu mój dzień robił się już tylko dziwniejszy.

O jedenastej spotkałem się z mniejszą grupą w pozbawionej okien sali konferencyjnej w centrali CIA w Langley. W pomieszczeniu panowała atmosfera skrajnie odmienna od tej w Daly Building. Wszyscy poza mną mieli na sobie garnitury i krawaty. Ich mowa ciała świadczyła o tym, że są spięci i czują się niekomfortowo. Nikt nie chciał tam być z wyjątkiem mnie — potrzebowałem ich pomocy.

Merrill Snyder, oficer National Clandestine Service prowadzący sprawę, przywitał mnie stanowczym uściskiem dłoni i niezbyt obiecującą kwestią:

— Dziękujemy, że pan przyszedł, doktorze Cross.

— Czy możemy zaczynać? — spytałem.

— Czekamy już tylko na jedną osobę — odparł Snyder. — Mamy kawę i zimne napoje.

— Gdzie Eric Dana?

Pamiętałem nazwisko kierownika z poprzedniej wizyty w Langley.

— Jest na urlopie. Człowiek, na którego czekamy, to jego zwierzchnik. Na pewno nie chce pan kawy?

— Nie, dziękuję. Proszę mi wierzyć, dziś rano pochłonąłem już dostatecznie dużo kofeiny.

— Rozumiem. Wciąż nie ma pan wieści od porywaczy? — spytał Snyder. — Żadnego kontaktu?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi sali konferencyjnej otworzyły się szeroko. Wszedł przez nie wysoki, ciemnowłosy mężczyzna po czterdziestce, ubrany w szary garnitur oraz krawat w srebrno-czerwone paski. Nosił się jak ktoś ważny i zapewne taki właśnie był.

Tuż za nim wszedł... Ian Flaherty.

Rozdział 134

Mężczyzna, na którego wszyscy czekali, przedstawił się jako Steven Millard. Powiedział, że jest z National Clandestine Service, ale nie podał rangi. Przypomniałem sobie, że Al Tunney wspomniał jego nazwisko przed moim wyjazdem do Afryki. Millard, szef grupy, od samego początku był zaangażowany w tę sprawę.

Flaherty powiedział tylko:

— Doktorze Cross.

— Czy są jakieś wieści o pańskiej rodzinie? — natychmiast zapytał Millard.

— Jak dotąd żadnych — wtrącił się Snyder. — Nie skontaktowali się z nim.

— W tej chwili w moim domu są policjanci ze stołecznej komendy — wyjaśniłem. — Mają odbierać telefony i w razie czego mnie powiadomić.

— To dobrze. Więcej nie mógł pan zrobić — stwierdził Millard.

Nie byłem pewien, co o nim myśleć. Z pewnością wiedział, że przed odlotem do Afryki spotkałem się z Erikiem Daną, ale co poza tym?

— Przyda się każda pomocy, jaką możecie mi zaoferować — powiedziałem w końcu. — Jest mi naprawdę potrzebna.

— Może pan na nią liczyć — odrzekł Millard. — Ale najpierw chciałbym panu zadać kilka pytań. Odpowiedzi mogą się nam bardzo przydać. Detektywie Cross, po co pan pojechał do Afryki?

— Zamordowano moją przyjaciółkę i całą jej rodzinę. Miałem informację, że zabójca uciekł do Lagos. Prowadziłem śledztwo.

Millard skinął głową. Chyba rozumiał.

— Proszę mi zatem powiedzieć, czego się pan tam dowiedział. Mniemam, że czegoś przydatnego. W przeciwnym razie zawodowy morderca nie wzięłby na celownik pana i pańskiej rodziny tutaj, w Waszyngtonie.

— Liczyłem, że wy mi to wyjaśnicie. Co się dzieje w Nigerii i tu, w Waszyngtonie?

Millard splótł i zaraz rozplótł dłonie.

— Czy widział pan w Nigerii coś niezwykłego bądź niepokojącego? Chcemy ustalić, dlaczego ten zabójca ściga pana aż tutaj. Jest pan znanym policjantem. Ten Tygrys nie podejmowałby ryzyka, gdyby to nie było konieczne. Nie wyobrażam sobie innego scenariusza. Musiał go pan nieźle wkurzyć.

— Więc pan wie, że to on?

— Nie, nie. Nie mam tej pewności. To po prostu sensowne wytłumaczenie, Ian zgadza się ze mną. Zatem co pan takiego wie, doktorze?

Spojrzałem na Flaherty'ego, potem znów na Millarda.

— Nie pomożecie mi znaleźć rodziny, prawda? Chcecie tylko znowu wyciągnąć ze mnie informacje.

Millard westchnął, a po chwili powiedział:

— Panie doktorze, mówię to z przykrością, ale uważamy, że pańska rodzina nie żyje.

Zerwałem się na nogi o wiele za szybko i prawie przewróciłem krzesło.

— Jak pan tak może mówić? Co wiecie? Czego mi nie mówicie? Po co by do mnie wydzwaniali, gdyby moja rodzina już nie żyła?

Millard patrzył mi w oczy, a potem również wstał.

— Radzono panu, by się nie mieszał. Proszę przyjąć moje kondolencje. Udzielimy panu wszelkiej pomocy. — Po chwili poczuł się zobowiązany dodać: — My nie jesteśmy „ci źli”, detektywie. Tu nie ma żadnego wielkiego spisku.

Skoro tak, to dlaczego wszyscy to powtarzali?

Rozdział 135

Te sukinsyny z CIA! Choć tym razem byli nieco bardziej ludzcy, to wiedziałem, że coś ukrywają.

Może dlatego nie powiedziałem im tego, co wyjawiała Adanne, gdy wymordowano jej rodzinę. Dzisiejsze spotkanie przypominało większość moich kontaktów z Agencją na przestrzeni lat.

A Flaherty? Po spotkaniu udał się na „wcześniej zaplanowaną serię spotkań”. Nie ma mowy, żeby to była cała prawda. W każdym razie ja w to nie wierzyłem.

Tego wieczoru wróciłem do pustego domu. Powiedziałem Bree, że chyba lepiej, bym został sam. Z desperacji spróbowałbym wszystkiego.

W myślach wciąż powracały słowa Millarda: „Panie doktorze, mówię to z przykrością, ale uważamy, że pańska rodzina nie żyje”.

Zrobiłem sobie kanapkę, lecz tylko ją nadgryzłem. Potem oglądałem stacje informacyjne — CNN, CNBC, Fox News — ale niemal wcale nie donoszono o wojnie domowej w nigeryjskiej delcie. Niewiarygodne. W Los Angeles zabiła się jakaś hollywoodzka aktorka i to była wiadomość dnia. Informowały o tym wszystkie stacje — zupełnie jakby korzystały z tych samych źródeł i zatrudniały tych samych dziennikarzy.

W końcu dość miałem słuchania o zmarłej aktorce i wyłączyłem telewizor, ale cisza też mi nie sprzyjała. Opanował mnie smutek i strach, że straciłem Nanę, Alego i Jannie.

Dużo czasu spędziłem w kuchni. Trzymałem się za głowę, wspominając obrazy i przeżycia z przeszłości. Alego, wciąż malucha, i to takiego słodkiego. Jannie, która wciąż była moim „Rzepem” i żywym wspomnieniem swej matki. Wreszcie Nanę, która ratowała mnie tyle razy, odkąd po śmierci rodziców jako dziesięcioletek przyjechałem do Waszyngtonu.

Nie wyobrażałem sobie dalszego życia bez nich. Czy było możliwe?

Znów zadzwonił telefon. Natychmiast chwyciłem słuchawkę. Miałem nadzieję, że to Tygrys, że czegoś chce, że chce mnie.

Ale to nie był on.

— Mówi Ian Flaherty. Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie. Wszystko w porządku? Może przypomniałeś sobie coś, co mogłoby pomóc?

— Tobie pomóc? — odezwałem się przez ściśnięte gardło. — Porwali mi rodzinę. Rodzinę! Czy masz pojęcie, jak to jest?

— Chyba tak. Chcemy ci pomóc, doktorze. Tylko nam powiedz, co wiesz.

— Albo co, Flaherty? Co jeszcze mogą mi zrobić?

— Właściwe pytanie brzmi: Co jeszcze mogą zrobić twojej rodzinie?

Zostawił mi numer, pod którym mogłem go zastać o każdej porze dnia i nocy.

Przynajmniej sukinsyn też mało sypiał.

Rozdział 136

Dźwięk telefonu wybudził mnie z płytkiego snu na kanapie w salonie. Podniosłem słuchawkę, wciąż nie całkiem przytomny. Mrowiło mnie w kończynach.

— Słucham, Cross.

— Idź do samochodu. Patrzymy na twój dom, Cross. Światło na górze i w kuchni. Spałeś w salonie.

To był męski głos. Mówił po angielsku z akcentem, którego dużo się nasłuchiwałem przez ostatnie tygodnie — a teraz wsłuchiwałem się w każdą sylabę.

— Czy moja rodzina jest zdrowa? — zapytałem. — Gdzie ich trzymacie? Tylko tyle mi powiedz.

— Zabierz komórkę. Mamy numer, będziesz słuchał poleceń. Nie dzwoń nigdzie albo rodzina zdechnie. Idź, Cross. Słuchaj się.

Usiadłem, wyjrzałem przez okno salonu i wsunąłem stopy w buty.

Na dworze nikogo nie dostrzegłem. Z tego miejsca nie widziałem żadnych samochodów czy świateł.

— Dlaczego miałbym cię słuchać? — zapytałem.

Odezwał się inny głos. — Bo ja tak mówię!

Rozłączył się. Ten drugi głos był szorstki i należał do kogoś starszego. Natychmiast go poznałem. Tygrys. Był tutaj, w Waszyngtonie. Miał moją rodzinę.

Rozdział 137

Nagle pojawiło się jeszcze więcej pytań.

Mieli numer mojej pożyczonej komórki. Jak to możliwe?

Co prawda zdobycie go nie było nierealne, ale jakim cudem udało się to nigeryjskim oprychom?

Nie należałem do zwolenników teorii spiskowych, lecz coraz trudniejsze stawało się wykluczenie rzeczy oczywistej: ktoś chciał się dowiedzieć, co odkryłem w Afryce. I na dobre mnie uciszyć.

Po minucie od rozmowy wyszedłem na ganek. Postanowiłem na razie nie zapalać światła. Na ulicy wciąż nie widziałem żadnego obserwatora.

Czy oni tu byli? Czy już odjechali? Czy wzięli Nanę i dzieci w pobliskiej furgonetce?

Nie chciałem wystawiać się na cel dłużej, niż było to konieczne. Zbiegłem po schodkach i wsiałem do mercedesa — rodzinnego samochodu, który kupiłem po to, by zapewnić nam bezpieczeństwo.

Włączyłem silnik i zacząłem wycofywać się z podjazdu. Poczułem moc auta i tego właśnie potrzebowałem — wsparcia zewnętrznej siły.

Zadzwęczał telefon. Zahamowałem.

— Wciąż jesteś głupcem.

To był starszy z mężczyzn.

Chciałem go zwyzywać, ale milczałem. Może więził moją rodzinę. Trudno było na to liczyć, ale nie miałem wyboru. Musiałem mieć jakąś nadzieję.

Roześmiał się do słuchawki.

— Co cię bawi? — zapytałem.

— Ty. Nie chcesz wiedzieć, w którą stronę skręcić?

— W którą?

— W lewo. A potem jedź za moimi wskazówkami prosto do piekła.

Rozdział 138

Gdy ruszyłem Fifth Street, nie przerwał połączenia, ale mało się odzywał. Nie mówił nic, co pomogłoby mi ustalić, jakie kroki powinienem podjąć. Próbowałem wszystko przemyśleć, opracować jakiś plan — cokolwiek, co mogłoby się udać, nawet jeśli brzmiało niedorzecznie.

— Pozwól mi porozmawiać z rodziną — odezwałem się.

— Niby dlaczego?

Przemknęło mi przez myśl, by wcisnąć hamulec, by mu się postawić, ale w tej chwili to on dyktował warunki.

— Którędy teraz? — spytałem.

— Na najbliższym skrzyżowaniu skreć w prawo. Wykonałem polecenie.

— Walka w Afryce to nie jest twoja walka, białasie! — Jadąc Malcolm X Avenue, słuchałem, jak Tygrys kipi gniewem. — Powinieneś przyspieszyć — powiedział, jakby siedział w kabinie i mnie obserwował.

Skierował mnie na południową nitkę 1-295 biegnącą w stronę Marylandu. Jeździłem tą drogą wiele razy, ale teraz zdawała się nierealna i obca.

Autostrada zbiegła się z 1-95, a potem zjechałem na szosę numer

210 i trzymałem się jej przez prawie dwadzieścia pięć kilometrów, choć wydawało mi się, że dużo dłużej.

W końcu znalazłem się na szosie numer 425.

Tygrys zniżył głos.

— Powiem ci coś i będzie to prawda. Jedziesz tylko po to, żeby zabrać ciała. Chcesz ich, prawda?

— Chcę moją rodzinę — odparłem.

Tylko się zaśmiał.

Od tej pory niewiele mówiłem, chyba że zadawał pytania. Najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Może lubił siebie słuchać.

Musiałem skoncentrować racjonalną część umysłu na czymś innym. Słuchałem więc jego gróźb, jego okrutnych obelg, ale wszystkie po mnie spływały. Przyszło mi to z łatwością, bo i tak trwałem w otępieniu. Byłem tu, ale jakby mnie nie było.

Rozdział 139

— Zjedź z drogi! — polecił.

Wykonałem polecenie.

Wokół nie widziałem innych pojazdów. Chyba nikogo nie minąłem, odkąd wjechałem na Layloes Nick Road gdzieś w Marylandzie, w okolicach Nanjemoy.

Nie miałem jednak całkowitej pewności. Nie mogłem mieć.

Tak bardzo byłem zamroczony. Tak bardzo zdenerwowany i przestraszony, tak bardzo sparaliżowany.

— Skręć w prawo. Na tym skrzyżowaniu. Nie przegap zakrętu. Lepiej się pospiesz! Szybciej!

Skręciłem, po czym zgodnie z poleceniem jechałem prosto. Drzewa i krzewy wokół drogi wydawały się czarne i bardzo gęste, może dlatego, że w ciemności zawężało mi się pole widzenia.

W górze było gwiaździste niebo. Przypomniała mi się Jannie, która kochała gwiazdy, ale prędko odegnałem tę myśl.

Żadnych sentymentów. Nie teraz.

Może już nigdy.

— Wyłącz silnik, wysiądź! Rób, co mówię!

— Właśnie robię.

Rozdział 140

— Widzisz tę farmę przed tobą? Przyjdź po swoją rodzinę. Możesz zabrać ciała! Wiem, że w to nie wierzysz, ale to prawda. Oni nie żyją, doktorze Cross. Przyjdź na farmę i sam zobacz.

Serce podchodziło mi do gardła. Przedzierałem się przez wysokie trawy oraz krzewy, zmierzając do niewielkiego wiejskiego domu, wciąż oddalonego o kilkaset metrów. Ręce i nogi miałem odrętwiałe, jakby należały do kogoś innego.

Żeby się uspokoić, oddychałem powoli i głęboko. Potem nie myślałem o niczym. Wreszcie zebrałem całą nienawiść wobec Tygrysa w małą, zbitą kulkę, która we właściwej chwili mogła eksplodować.

— Pamiętasz, w jakim stanie zastałeś rodzinę Coxów w Georgetown? To jest jeszcze lepsze — szydził. — To twoja zasługa, detektywie.

Miałem ochotę powiedzieć bydlakowi, że moja rodzina nigdy nikogo nie skrzywdziła, ale zdusiłem to w sobie. Nie chciałem jeszcze bardziej się przed nim otwierać. Nie mogłem uwolnić mózgu od takich myśli, lecz usiłowałem skoncentrować się na bieżącym niebezpieczeństwie i koszmarze.

To na pewno pułapka, mówiłem sobie. Ktoś chciał mnie tu zwa-
bić. Chcieli sprawdzić, co wiem o wojnie w Nigerii. To nic. Musiałem
tu przyjechać, bez względu na wszystko.

— Gotowy?

Ten ostatni dźwięk — jego głos — nie dobiegał już z telefonu.

Tygrys wyszedł z zarośli.

— Jesteś na mnie gotowy? — spytał. — Chcesz rozwiązać zagad-
kę?

Rozdział 141

— Wreszcie zacząłeś słuchać. Za późno, głupcze — powiedział zabójca głośno i arogancko, idąc w moją stronę.

Po bokach miał dwóch młodych bandziorów — Houston Rockets oraz chłopca o tępej twarzy, który świecił mi latarką w oczy.

— Gdzie moja rodzina? — zapytałem. Na ile to możliwe w tych warunkach, starałem się trzymać tego tematu.

— Jakie to ma znaczenie? Jedna rodzina? Rozśmieszasz mnie. Wy żałośni Amerykanie. Wszyscy się z was śmieją. Cały świat.

Wyciągnął nóż myśliwski i pokazał mi długie, grube ostrze. Nic o nim nie powiedział — nie musiał. Widziałem w domu Ellie, czego można nim dokonać.

— Gdzie oni są? — spytałem ponownie.

— Myślisz, że wolno ci zadawać pytania? Mogę sprawić, że będziesz wył. Błagał o śmierć. Twoje życie nic dla nas nie znaczy. My na to mówimy *ye ye*. „Bezużyteczne, bezwartościowe”. Twoja rodzina jest niczym. *Ye ye*. To znaczy bezwartościowa. — Tygrys podszedł blisko. Czulem jego pot i woń tytoniu w oddechu. Zbliżył mi nóż do gardła. — Powiedz: „Jestem niczym”. Powiedz! — wykrzyczał mi w

twarz. — Chcesz się dowiedzieć o swojej rodzinie? To powiedz: „Jestem niczym!”.

— Jestem niczym.

Naciął mi biceps. Nie spojrziałem na ramię, ale wiedziałem, że krwawi. Nie chciałem okazać słabości bez względu na to, co się teraz ze mną stanie.

Pomachał nożem.

— Tak bardzo chcesz zobaczyć rodzinę? To chodź. Zobacysz, co z nich zostało. *Ye ye!*

Rozdział 142

Powlokłem się w stronę pogrążonego w ciemnościach domu, który wyglądał na opuszczony. Zastanawiałem się, czy Nana, Ali i Jannie naprawdę tam są.

Im byłem bliżej, tym mniej wydawało się to prawdopodobne. Bałem się, że aż do tej pory nie chciałem pogodzić się z prawdą — już od kilku dni.

Nagle chodzenie, a nawet stanie, zaczęło mi sprawiać trudność. Zmuszałem się jednak do wytrwałości i krok po kroku brnąłem ku ciemnej farmie kryjącej tajemnice, których być może nie chciałem poznać.

Do budynku prowadziła kręta, gruntowa ścieżka. Szedłem noga za nogą kilka kroków przed Tygrysem i jego zabójcami. Czy to te same krwiożercze diabły, które wymordowały rodzinę Ellie?

Czy ten w koszulce Houston Rockets był prawą ręką Tygrysa? Czy wraz z nim podróżował tam i z powrotem z Afryki? Co ich łączyło z wydarzeniami w Lagos oraz w delcie Nigru? Czy wojna domowa mogła się zmienić w światową? Czy tym razem zaczynała się w Afryce?

Nagle zostałem mocno uderzony w plecy. Zachwiałem się i prawie runąłem do przodu, ale jakimś cudem utrzymałem równowagę.

Obróciłem się i zobaczyłem, że Houston Rockets przymierza się do kolejnego ciosu kolbą strzelby.

— Stój! — wrzasnąłem. — Ty śmieciu, ty mały tchórze.

Jakże pragnąłem rzucić się na niego, jak bardzo chciałem skrócić mu kark.

Tygrys roześmiał się, może ja go rozbawiłem, a może bezwzględny zabójca.

— Nie, nie, Akim! Ma być przytomny. Otwórz drzwi, Cross. To ty jesteś detektywem. Dotarłeś aż tutaj. Teraz się przekonasz. Otwieraj drzwi! Rozwiąż wielką zagadkę.

Rozdział 143

Przekręciłem zardzewiałą gałkę, po czym mocno pchnąłem zacinające się drewniane drzwi. Otworzyły się z głośnym jękiem.

Początkowo niewiele widziałem, chociaż latarka za moimi plecami rzucała do wnętrza słabe światło.

— Gdzie oni są? — zapytałem.

— Wejdz i zobacz — powiedział Tygrys. — Tego chciałeś: dowodu śmierci.

Wszedłem do domu i wciąż nikogo nie widziałem. Serce mi łomotało. W pierwszym pomieszczeniu wszystko cuchnęło pleśnią, brudem i starością, a może śmiercią.

— Nic nie widzę. Jest za ciemno.

Nagle zapaliło się światło. Strefa pokoju dziennego była teraz jasno oświetlona. Mieściła dwie małe sofy, głębokie fotele, stojące lampy — ale wciąż nikogo nie widziałem.

Obróciłem się, by spojrzeć na Tygrysa.

— Gdzie oni są?! — krzyknąłem. — Tu nikogo nie ma!

— Powiedz mi, co wiesz — odparł poważnym, rzeczowym tonem.

— Czego się dowiedziałeś od tej suki Adanne? Co wiesz o delcie? Gadaj!

Spojrzałem mu w oczy.

— Ty też pracujesz dla CIA? Oni również chcieli wiedzieć, co mi powiedziała Adanne.

Roześmiał się w głos.

— Pracuję dla każdego, kto płaci. Gadaj, co wiesz!

— Nic nie wiem. W Afryce niczego się nie dowiedziałem. A gdybym się dowiedział, to myślisz, że bym ci zdradził? Widziałem, jak mordujesz Adanne Tansi. Tylko tyle wiem. To, co widziałem na własne oczy.

Ktoś wyszedł z przylegającego korytarza. Obróciłem się i zobaczyłem Iana Flaherty'ego.

— On chyba rzeczywiście nic nie wie. Możesz go zabić — odezwał się do Tygrysa. — Wtedy dołączy do rodziny. No dalej. Niech już będzie po wszystkim.

Przez moją twarz przemknął straszny grymas.

— Więc CIA była w to zamieszana od początku?

Flaherty wzruszył ramionami.

— Nie, nie CIA. Tylko ja. Zabij go wreszcie. Skończ z tym. Wtedy zabrzmiał inny głos.

— Ty zginiesz pierwszy, dupku.

Z cienia wyszedł Sampson. Mój samochód miał zamontowany nadajnik. John dotarł za sygnałem aż tu, do Marylandu. I nie był sam.

— Będą dwa trupy — powiedziała Bree. Stała obok Sampsona.

— Zginiesz ty i Tygrys. Chyba że zaczniecie gadać. Gdzie są Nana i dzieci?

Zbir w koszulce Houston Rockets przeładował strzelbę. Bree trafiła go w policzek pod lewym okiem. Krzyknął i padł na ziemię. Tygrys wyskoczył przez drzwi frontowe.

— Nie mam broni! — odezwał się Ian Flaherty, podnosząc ręce. — Nie strzelajcie. Nie wiem, co się stało z twoją rodziną. Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie strzelajcie!

Pchnąłem go mocno ramieniem i pobiegłem za Tygrysem. Po drodze Sampson rzucił mi pistolet.

— Użyj go! — zawołał.

Rozdział 144

Na dworze panował mrok, wręcz przerażająco czarny, a przy tym było chłodno jak w środku zimy. Na niebie dostrzegłem tylko sierp księżycy i niskie, szybko przemykające chmury. Nigdzie nie widziałem Tygrysa.

Po chwili jednak coś mignęło na prawo od ścieżki, którą tu przyszliliśmy.

— Alex! — usłyszałem za plecami głos Bree.

Nie odpowiedziałem. Pobiegnę przed siebie z nadzieją, że ona za mną nie pójdzie, że nie zauważy mnie w ciemności. Chciałem dopaść Tygrysa pierwszy. Sam na sam, tylko ja i on.

— Alex! — zawołała znów Bree. — Nie w ten sposób! Alex! Alex!

Podążałem za śladem ruchu, ledwie widoczną sylwetką biegnącego człowieka. Czasami słyszałem tylko dźwięk, szelest gałęzi. Właśnie na nim się koncentrowałem — kiedy spośród zarośli wyskoczył na mnie cień.

Obróciłem się w bok i wystrzeliłem w klatkę piersiową zabójcy w białej koszulce i czapce z daszkiem. To jeden z tych chłopców! Jęknął i zwałił się na ziemię. Pobiegnę dalej za Tygrysem.

Poruszał się szybko, ale ja też. Jak dwaj narciarze alpejscy na

ciemnym stoku. Doganiałem go, lecz zbyt wolno. Nie zawołałem. Biegłem, ile sił w nogach. Myślałem wyłącznie o tym, by go złapać. Już nie o zachowaniu ostrożności. Nie o strachu o własne życie.

Słyszałem jego ciężkie kroki i urywany oddech. Ale wciąż nie zawołałem. Podniosłem broń i wystrzeliłem — dwukrotnie. Nisko, by przez przypadek go nie zabić. Musiałem zachować go przy życiu, inaczej nie dowiem się, gdzie moja rodzina.

Chyba go nie trafiłem, ale obrócił się i przez to się potknął. Jeszcze bardziej przyspieszyłem. Już go doganiałem. Widziałem go wyraźnie.

Wtedy rzuciłem mu się pod nogi!

Mało brakowało, a bym nie trafił, ale udało mi się go złapać za kostki. Runął twarzą w dół i głową mocno uderzył o kamień.

Przezołgałem się po nim, po czym uniosłem się i uderzyłem go z całej siły.

Pięść trafiła w szczękę. Pot i krew trysnęły na boki.

— Skurwiel! Zdrajca! — wrzasnął.

Ryczał jak dziki kot napadnięty w dżungli.

— Moja rodzina! Gdzie jest moja rodzina? Co się z nią stało!

Potem znów go uderzyłem — jak najmocniej, zbierając cały swój gniew, całą wściekłość. Tym razem wybiłem mu ząb, ale Tygrys był silny. Pomimo bólu w końcu zdołał mnie zrzucić.

I wtedy sam mnie przygniótł! Osloniłem głowę ramionami, więc trafił mnie w nadgarstek. Chyba mi go złamał. Ale nawet nie pisnąłem. Wygiąłem się o kilka centymetrów. Chwyciłem go za szyję i nie puszczałem. Nie wiedziałem, skąd biorę siłę ani kiedy się wyczerpie.

Próbowałem uderzyć go bykiem, ale z powodu niewłaściwego kąta trafiłem w grdykę. Zakrztusił się, po czym splunął flegmą i krwią.

— Moja rodzina! — wrzasnąłem ponownie.

— Pieprzyć twoją rodzinę! — zaklął. — Pieprzyć twoje dzieci! Pieprzyć ciebie!

Wtedy zdołał wyciągnąć nóż. Wciąż byłem przekonany, że muszę go zachować przy życiu — nie ja musiałem przetrwać, ale on. Trzymałem za nadgarstek jego rękę z nożem, lecz uchwyt słabł. Szala przechylała się na korzyść Tygrysa. To koniec, zrozumiałem. W ten sposób zginę. Nigdy nie poznam losu Nany, Alego i Jennie. To właśnie było najgorsze — niewiedza.

Nocną ciszę przeszył huk wystrzału.

Tygrys wyprostował się, ale zaraz potem rzucił się na mnie z nożem.

— Giń! — wrzasnął. — Tak jak zginęła twoja rodzina!

Drugi strzał trafił go tam, skąd przed chwilą wpatrywało się we mnie prawe oko.

— Gdzie oni są?! — krzyknąłem ponownie. — Gdzie jest moja rodzina?!

Nie powiedział już ani słowa. Jego zdrowe oko było pełne nienawiści. Reszta twarzy zmieniła się w krwawą miazgę. Tygrys nie mógł odpowiedzieć. Opadł na mnie martwy.

— Gdzie oni są? — szepnąłem.

Rozdział 145

Bree podbiegła, a ja zepchnąłem z siebie masywne zwłoki. Nawet teraz, kiedy Tygrys był martwy, wciąż nienawidziłem sukinsyna z całego serca. Bree ukłękła i przytuliła mnie.

— Przepraszam, Alex. Tak mi przykro. Widziałam tylko nóż. Musiałam strzelić.

Ścisnąłem ją, kołysząc się miarowo.

— To nie twoja wina. Nie twoja wina.

Ale wtedy zacząłem się trząść. Wiedziałem, co właśnie straciłem. Wiedziałem, że Tygrys był moją jedyną szansą na odnalezienie rodziny.

Zostawiliśmy ciało i powlekliśmy się do budynku. Nadjeżdżały wozy policyjne z sąsiednich miejscowości, rozświetlając drzewa czerwono-niebieską poświatą.

Gdy się zbliżyliśmy, z wnętrza wyszedł Sampson.

— Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia. Nikogo tu nie ma. Nie widziałem też żadnych śladów. Ani krwi, ani niczego innego, co rzucałoby się w oczy. Wątpię, żeby twoja rodzina tu kiedykolwiek była.

Skinąłem głową. Starąłem się odnotować fakty z miejsca zbrodni i zrozumieć ich znaczenie.

— Chcę wszystko jeszcze raz obejrzeć. Muszę to zrobić sam. —
Nagle coś sobie przypomniałem: — Co z Flahertym?

— Na razie zabrała go policja stanowa. Wylegitymował się, że jest z CIA. Nie wiem, co teraz. Chyba nie mogą go zatrzymać.

Rozdział 146

Przeszukaliśmy dom i pobliską szopę oraz stodołę — aż wreszcie nastał dzień.

Wtedy zaczęliśmy przeczesywać okoliczne tereny. Pracowało z nami już ponad trzydziestu policjantów i agentów FBI, ale wciąż uważałem, że to za mało.

Teraz wszystko wydawało się jeszcze bardziej nierealne. Byłem tu, ale znów jakby mnie nie było. Nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu. Równie dobrze mogłem się znajdować na farmie od paru dni albo od paru minut.

Dowód życia, pomyślałem. Tego właśnie chcę, prawda? A jeśli nie, to dowodu śmierci.

Natrafiliśmy na furgonetkę Nissan, którą musieli tu przyjechać Tygrys i jego młodociani mordercy. W środku znajdowały się broń ręczna, ubrania oraz gry wideo w kartonowych pudłach.

Nie było jednak żadnych śladów krwi ani sznurów, którymi mogliby kogoś związać. Niczego, co by sugerowało, że autem wieziono Nanę i dzieci.

W pobliżu domu odnaleźliśmy więcej śladów opon, ale wszystko wydawało się zwyczajne. Sądząc po wyglądzie, z farmy nie korzystano co najmniej od kilku lat. Z urzędowych dokumentów wynikało, że

należy do niejakiego Leopolda Gouta, ale do tej pory nie zdołaliśmy się skontaktować z właścicielem. Kim był Leopoldo Gout? Co wiedział o tutejszych wydarzeniach?

W końcu, około szesnastej, Bree zaprowadziła mnie do samochodu. Potem zawiozła na Fifth Street. Powiedziała, że w tym stanie nie mogę kontynuować poszukiwań, i miała rację.

Wbrew rozsądkowi liczyłem na szczęśliwe zakończenie, ale dom był pusty. W kuchni wciąż panował bałagan i postanowiłem go nie ruszać.

Na pamiątkę.

Kuchnia Nany. Jej ulubione miejsce.

Rozdział 147

Wszystko było tak zaskakujące, tak niezrozumiałe, złe pod każdym względem.

Bree i ja przez chwilę zastanawialiśmy się, co dalej, ale nie potrafiłem się skoncentrować. Myślałem zbyt chaotycznie. Byłem zbyt oszalały, zbyt nie zrównoważony i zagubiony. Nie chciałem rozmawiać, nie chciałem jeść, nie mogłem spać. Kiedy położyłem się na kanapie w salonie, nie potrafiłem zmrużyć oka. Przyszło mi do głowy, by wybrać się na przejażdżkę autem, ale uznałem, że nie. Nie teraz.

— Idę pobiegać — oznajmiłem w końcu. — Oczyszczę umysł. Na pewno coś musiałem przeoczyć.

— Dobrze. Będę tu czekać. Powodzenia.

Nie zaproponowała mi towarzystwa. Wiedziała, że chcę być sam. Po to, żeby obmyślać plan, zrobić coś, co nadałoby sens tym wydarzeniom.

Biegłem, z początku znajomymi ulicami w pobliżu domu, a potem odchodzącymi od Fifth Street, chyba nigdy nie dotarłem tam pieszo.

Wreszcie mogłem się nieco lepiej skoncentrować, zacząłem więc rozmyślać o tym, co Adanne powiedziała mi w Lagos.

Czy jej tajemnice stały się przyczyną tych wydarzeń — śmierci jej rodziny, jej samej, niewiadomego losu Nany, Alego i Jannie?

„Alex, wiem straszne rzeczy — powiedziała mi wtedy. — Piszę o tym artykuł. Muszę komuś przekazać to, co odkryłam”. Bała się, że coś jej się stanie.

Cóż, rzeczywiście się stało.

Biegłem dalej i czułem, że nabieram fizycznej siły, a przynajmniej przyspieszam. Jakiż ten świat potrafi być okrutny. Jezu. Nie w ten sposób zwykle go postrzegałem. To nie w moim stylu. Niestety, od teraz już tak.

Nic nie zauważyłem, dopóki szara furgonetka nagle nie zatrzymała się przy krawężniku i nie otworzyły się rozsuwane drzwi. Z wozu wyskoczyło trzech mężczyzn. Otoczyli mnie, przewrócili, wgnietli mi twarz w trawę i piach przed czyims domem.

Potem poczułem ukłucie w udo.

Igła?

Trzej mężczyźni, nie chłopcy. To nie zespól Tygrysa.

Więc kto?

Kto mnie teraz pojmał?

Czego chciał?

Rozdział 148

Na twarzy miałem mokrą szmatę, jakiś kaptur, który śmierdział skażonym spirytusem. Poderwano mnie na nogi. Musiałem stracić przytomność, lecz nie wiedziałem na jak długo.

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem, ale na pewno nie w pięciogwiazdkowym hotelu. Czuję zapach, a niemal wręcz smak potu, odchodów i moczu. Pod stopami miałem szorstki kamień, a może beton. Czy mogłem z tego coś wywnioskować?

— Ręce płasko na ścianę i rozstaw nogi. Stój tak. Nie ruszaj się, bo zostaniesz zastrzelony.

— Gdzie moja rodzina? Gdzie oni są? Kim wy jesteście!

Zamiast odpowiedzi usłyszałem głośny terkot.

— Stój bez ruchu albo zaraz zginiesz. Wtedy nigdy się nie dowiesz, co się stało z twoją rodziną. Nigdy to mnóstwo czasu, doktorze Cross. Pomyśl o tym.

Najpierw pomyślałem o innych rzeczach. Kto mnie porwał z ulicy i kto mnie teraz więził?

Czy to kolejny Tygrys? Ktoś inny z Nigerii?

Sądząc po głosie mężczyzny — nie. Brak akcentu. To Amerykanin. Czyżby z CIA?

— Gdzie moja rodzina? — spytałem ponownie.

Nikt nie odpowiedział. Stałem bez ruchu ze związanymi rękami,

opartymi o ścianę nad głową. Wiedziałem, że ta forma tortury ma nazwę — stanie pod ścianą. Jednocześnie założono mi kaptur, wystawiono na działanie hałasu i pozbawiano snu. Słyszałem o takich praktykach. Teraz sam padłem ich ofiarą.

Nikt nie odpowiadał na moje pytania i zastanawiałem się, czy jestem sam. Czy zacząłem majaczyć? Czy mi się to wszystko śniło?

Pierwsze zdrętwiały mi dłonie.

Potem poczułem klucie w kostkach i stopach. Następnie fale bólu zaczęły przepływać po całych nogach.

Kręciło mi się w głowie i czułem, że zaraz zemdleję.

— Muszę się wysikać — powiedziałem. — Nie wytrzymam.

Cisza.

Powstrzymywałem się, jak długo mogłem, ale w końcu oddałem mocz po nogach, po gołych stopach. Nikt nie zareagował. Czy ktoś tu był? Czy zostałem sam?

Stanie pod ścianą. W amerykańskim rządzie niektórzy uważali, że takie techniki są dopuszczalne wobec podejrzanych o terroryzm.

Czy uważali mnie za terrorystę? Czym ja na to zasłużyłem? Kto mnie torturował?

Ręce miałem całkowicie odrętwiałe i bardzo chciałem spać. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym i oddałbym wszystko za możliwość położenia się na ziemi. Ale nie mogłem się poddać.

Stanie pod ścianą. Dam radę.

Rozważałem odejście od ściany. Ciekawe, jakie miałyby konsekwencje. Prowadziłem wewnętrzną dyskusję. Przecież mnie nie zabiją, prawda? Jaki by to miało sens?

W końcu obróciłem tułów tak, że do ściany przylegała tylko jedna ręka. Czy to się liczy? Czy już naruszyłem zasady?

Natychmiast zostałem mocno kopnięty pod kolana! Runąłem na posadzkę. Była zimna. Łóżko — nareszcie!

Ale zaraz mnie podźwignęli i przycisnęli do ściany. Wciąż nikt się nie odzywał. Przyjąłem narzuconą pozycję. Teraz drżały mi nie tylko nogi. Wszystko — całe moje ciało potwornie się trzęsło.

Kto jeszcze był w pomieszczeniu?

Czego ode mnie chciał?

Rozdział 149

A potem rozmawiałem z Jannie. Tulilem ją i tak bardzo się cieszyłem, że jest cała i zdrowa.

— Gdzie Ali? Gdzie Nana? — spytałem podekscytowanym szeptem. — Nic ci nie jest, kochanie?

Wtem ocknąłem się i zrozumiałem, że zasnąłem na stojąco. Jannie tutaj nie było.

Tylko ja.

Miałem wrażenie, że to już drugi dzień niewoli. Albo i trzeci. Wzdrygnąłem się, gdy nagle ktoś uniósł mi kaptur ponad nos. Oczy wciąż pozostawały zakryte.

— Co? — wymamrotałem. — Kim jesteś?

Kiedy się odezwałem, zrozumiałem, jak bardzo zaschły mi wargi i usta.

Dostałem wodę. Nagle skądś chlapnęła, może z butelki. Lała mi się do gardła i rozplywała po twarzy.

— Tylko nie bądź zachłanny — powiedział ktoś i zarechotał.

Porywacz z okrutnym poczuciem humoru. — Jedz! Powoli. Nie udław się.

Nakarmił mnie trzema krakersami, jednym po drugim. Nie udławiłem się, lecz obawiałem się, że zwymiotuję zaraz po zjedzeniu.

— Wody — poprosilem. — Czy mogę jeszcze trochę wody!

Gardło ścisnęło mi się z bólu.

Nastąpiła długa cisza, po czym znów przytknięto mi butelkę do ust. Tym razem również piłem łapczywie.

— Za szybko — powiedział ktoś. — Będziesz miał skurcz. Nie chcemy, żebyś się męczył.

Potem znów ustawiono mnie pod ścianą.

Rozdział 150

Po pewnym czasie zaczęły się halucynacje. Może do wody lub do krakersów dodano jakiś środek.

Myślałem, że wróciłem do Afryki i zgubiłem się na bezkresnej pustyni. Wiedziałem, że wkrótce umrę, i wcale mi to nie przeszkadzało. Wręcz się cieszyłem, ponieważ po drugiej stronie spotkam się z Naną, Jannie i Alim. Czy Maria też tam będzie? I wszyscy inni, których straciłem?

Otrzymałem mocny cios w plecy – i znów upadłem na kolana.

– Zasnąłeś na stojąco. Nie wolno, spryciarzu.

– Przepraszam.

– Jasne. Chciałbyś, żeby to się skończyło? Chciałbyś iść spać? Na pewno byś chciał.

Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

– Gdzie... – zacząłem.

– No tak: gdzie twoja zaszracona rodzina? Konsekwentny jesteś. A może raczej uparty? Albo głupi? Posłuchaj mnie teraz uważnie. Pozwolę ci zasnąć. Powiem ci, co się stało z twoją rodziną... Nadążasz? Rozumiesz, co mówię?

– Tak.

– Co tak? Powiedz, na co się zgadzasz.

— Powiesz mi o mojej rodzinie. Pozwolisz mi spać.

— Pod warunkiem że co?

Że się na ciebie nie rzucę i cię nie zabiję, sukinsynu. Jakbym chciał, tobym mógł.

— Że odpowiem na pytania.

— Bardzo dobrze. Chcesz jeszcze wody, spryciarzu?

— Tak.

Uniósł mi kaptur do połowy twarzy i zbliżył butelkę do moich ust. Wypiłem, ile chciałem, ale potem nastąpiła cisza. Cholernie mnie to wystraszyło. Czy sobie poszedł? Człowiek, który znał los mojej rodziny. Ten, który przez minutę ze mną rozmawiał.

— W Afryce widziałem straszne rzeczy, szczególnie w Sudanie — powiedziałem. — Wątpię, żeby to cię interesowało. Zamordowano rodzinę, nazywali się Tansi. W Lagos. Może zginęli dlatego, że ze mną rozmawiali. A może z powodu artykułów Adanne. Możesz je zdobyć. Jesteś tam? Chciałeś, żebym mówił, prawda? Słuchasz mnie? Adanne Tansi i ja zostaliśmy zabrani do więzienia. Tam ją zamordowano. Na moich oczach. Zabił ją Tygrys. Nie wiem, kim byli pozostali, którzy nas więzili. Nie wiem nawet, kim ty jesteś! Zanim nas pojмали, Adanne opowiedziała mi o długim artykule, nad którym pracowała. Miał się ukazać w Londynie, w „Timesie”! Może również w innych gazetach, nie jestem pewien. Dowiedziała się, że Stany Zjednoczone manipulują frakcjami w nigeryjskiej delcie... żeby pola naftowe pozostały we właściwych rękach. Adanne miała taśmy z wywiadami. Zabrano je. Musi je teraz mieć ten, kto nas porwał... To wy macie te taśmy, prawda?

Zamilkłem i czekałem na odpowiedź. Jakąkolwiek. Ale nikt się nie odezwał. Na tym polegała ta technika. I wiecie co? Była skuteczna. Mówiłem dalej:

— Adanne opowiedziała mi, że mężczyzna znany jako Tygrys opłacany jest również przez nasz rząd. Nie wiem, czy to prawda. Wy

to pewnie wiecie, co? — Znów zamilkłem, po czym kontynuowałem.
— Pewnie przez CIA, może firmy naftowe? Kogoś stamtąd. Adanne o tym napisała i przekazała te informacje innej autorce, Ellie Cox, którą zamordowano z powodu tej wiedzy. To wszystko, czego się dowiedziałem. Wszystko, co odkryła Adanne. Nic więcej nie wiem!

Znowu zamilkłem. Wciąż nie padła żadna odpowiedź. Przesłuchujący nie odezwał się ani słowem.

Czekałem.

Czekałem.

Czekałem.

Rozdział 151

Człowiekowi wydaje się, że wie, co go czeka w życiu. Ale tak naprawdę nigdy tego nie wie. A niespodzianki rzadko kiedy bywają przyjemne.

Bardzo długo nikt się do mnie nie odzywał. Czekałem, aż wreszcie przyłożą mi lufę do głowy i pociągną za spust.

Po wielu godzinach od przesłuchania usłyszałem kroki. Więcej niż jednej osoby. Co najmniej dwóch.

Odsunąłem się od ściany i ruszyłem przed siebie. Potknąłem się i upadłem na kolana. Podźwignąłem się, a ktoś złapał mnie za ramię.

— Skurwiel nawet chodzić sam nie może.

Usłyszałem rozsuwane drzwi. Na twarzy poczułem powiew chłodnego powietrza. Pociągnięto mnie naprzód, po czym wepchnięto do jakiejś furgonetki czy półciężarówki.

— Jedziemy! — powiedział ktoś z przodu. — Nie mamy na to dużo czasu.

Na co?

Co się teraz dzieje?

Nie miałem pojęcia, dokąd mnie wiozą, ale wiedziałem, że zapewne zginę. W przeszłości nieraz byłem mile zaskoczony, że przetrwałem aż tak długo. Mimo to myśl, że w ciągu najbliższych kilku minut

zapewne stracę życie, zdawała się nierealna. Modliłem się za swoją rodzinę, a potem za siebie samego.

Jako dobry, tylko trochę błędzący chrześcijanin żałowałem nawet za grzechy.

Potem wóz się zatrzymał. Już po wszystkim.

— Koniec trasy! — zawołał jeden z łajdaków.

Wypchnięto mnie z auta. Wylądowałem twardo na ulicy i usłyszałem, że odjeżdżają. Żwir chrząścił pod kołami.

Dopelzłem do krawężnika i po prostu tam leżałem, trochę na trawie, a trochę na chodniku.

Nie zabili mnie.

Wciąż żyłem.

W końcu zasnąłem.

Rozdział 152

A potem się obudziłem. Tak mi się w każdym razie wydawało.

— Jestem posterunkowy Maise. Policja stołeczna. Nic panu nie jest? — Funkcjonariusz odezwał się do mnie, unosząc mój kaptur. — Dlaczego ma pan związane ręce? Co się panu stało?

— Nazywam się Alex Cross. Jestem detektywem z wydziału specjalnego. Zostałem porwany.

Całkiem zdjął mi kaptur, ale na razie nic nie widziałem, nawet jego twarzy. Oczy powoli przyzwyczajały się do światła, a konkretnie do lamp ulicznych. Było ciemno. Noc.

— Rozumiem, detektywie. Wszyscy pana szukaliśmy — powiedział posterunkowy Maise. — Zaraz to zgłoszę.

— Jak długo... szukaliście?

— Trzy dni.

Wreszcie dostrzegłem jego twarz. Zdradzała troskę, ale i zdziwienie. Znalazł mnie. Żywego. Nie było mnie przez trzy dni.

— Może mi pan zdjąć sznury?

— Najpierw zgłoszę, że pana znalazłem. Zaraz potem się nimi zajmę.

— Żadnej prasy — zastrzegłem.

— Oczywiście. Dlaczego miałbym wzywać prasę? — spytał.

— Nie wiem. Chyba jeszcze nie myślę trzeźwo.

Rozdział 153

Posterunkowy Maisie zawiózł mnie do domu. Dom przy Fifth Street był ciemny i oczywiście pusty. Bree nocowała u mnie co jakiś czas, ale nie sprzedała mieszkania, więc pomyślałem, że właśnie tam dziś pojechała. Po co miałaby tu zostać sama?

Zamierzałem wkrótce do niej zadzwonić, ale w tej chwili musiałem wejść do domu. Przeszedłem przez werandę i minąłem milczące pianino. Wyobrażałem sobie, że gram na nim dla dzieci, a czasem tylko dla siebie.

Nie, raczej wspominałem.

Kuchnia była już uprzątnięta. Pewnie Bree się tym zajęła.

Teraz panował porządek — jak gdyby nikt nie mieszkał w tym domu.

Szedłem dalej z pokoju do pokoju. Wszędzie panowała cisza, która napawała mnie niesłychanym smutkiem. Po drodze zapalałem światła; czułem się jak gość we własnym domu. Miałem wrażenie, że nic w moim życiu nie jest takie, jak należy. Że nie jest nawet prawdziwe. Świat rzeczywiście stał się okrutnym, niebezpiecznym miejscem. Jak do tego doszło?

Ile winy ponosiła Ameryka i czy przyznanie się do niej komukolwiek by pomogło? Czy nie nadszedł czas, by skończyć z krytyką i zacząć przedstawiać rozwiązania? Krytykiem być łatwo, nie potrzeba

do tego wyobraźni. Rozwiązywanie problemów to dopiero cholerny zgryz.

W końcu dotarłem do mojego gabinetu na strychu. Usiadłem przy biurku, wyjrzałem na ulicę i zastanawiałem się, czy wciąż jestem obserwowany.

Czy ci, którzy mnie przesłuchiwali, uwierzyli mi? Czy to miało znaczenie? Uderzyła mnie myśl, że tak naprawdę niewiele wiem o świecie, a w każdym razie o jego pełnym wymiarze. Ale kto w dzisiejszych czasach wie?

Może nikt. Właśnie dlatego wszystko wydaje się tak przerażające i odbiera wolę działania — oraz nadzieję. Stąd bierze się poczucie, że nad niczym nie mamy władzy. Skoro tak, to kto ją ma? Ktoś przecież musi — ale kto? Ktoś musi znać odpowiedzi. Ktoś mnie porwał i torturował.

Wciąż snułem się po domu. Musiałem zadzwonić do kilku osób. Do Damona — miałem nadzieję, że wciąż przebywa w bezpiecznym schronieniu. Do Bree i Sampsona. Ale jeszcze nie teraz. Nie wiedziałem, co im powiedzieć ani jak stanąć z nimi twarzą w twarz.

Nie, nie o to chodziło. Tak naprawdę nie chciałem ich narażać na niebezpieczeństwo. Komuś wciąż mogło się wydawać, że coś wiem. Coś ważnego i groźnego, a może po prostu kompromitującego.

I wiecie, co było najbardziej przerażające?

Jeśli tak, to ten ktoś miał rację.

Rozdział 154

Przesłuchującym powiedziałem o możliwym powiązaniu między CIA a Tygrysem, ale to nie było dla nich ważne. W końcu mnie wypuścili, prawda? Temu wszystkiemu mogli zaprzeczyć — a zresztą Tygrys już nie żył. To zagrożenie sam usunąłem im z drogi.

Nie zdradziłem im jednak prawdziwego tematu artykułu Adanne: Ameryka, Francja, Holandia, Wielka Brytania oraz kilka wielkich korporacji współpracowało w delcie Nigru z Chińczykami. Chiny potrzebowały ropy naftowej jeszcze bardziej niż my. Ich rząd szedł na skróty. Był gotów zapłacić ogromne kwoty i zawrzeć dowolne układy. Przez te właśnie interesy zginęły tysiące Afrykanów — mężczyzn, kobiet i dzieci. To jedno wiedziałem z pewnością. Właśnie to badała Adanne i o tym pisała.

To w tej sprawie skontaktowała się z Ellie Cox. Opowiedziała jej o wynikach swych badań. Z powodu tych informacji rodzina Ellie została zamordowana.

Adanne opowiedziała mi koszmarnie historie, zwłaszcza o życiu i śmierci w Sudanie. Bronią był tam gwałt. Wykorzystywano już pięcioletnie dziewczynki. Czasem robili to żołnierze „sił pokojowych”. Odkrywano setki i tysiące masowych grobów, lecz rzadko o nich

donoszono. W policji jak epidemia szerzyły się korupcja i brutalność — doświadczyłem tego na własnej skórze. W rejonie delty, a zwłaszcza w Port Harcourt, działali porywacze.

Wreszcie zdrzemnąłem się na kanapie, która stała w salonie Nany, odkąd byłem chłopcem. Ale nie spałem jak dziecko. Takiego snu miałem już nigdy nie zaznać. Tak naprawdę pogodziłem się z tym, że moja rodzina odeszła, tak jak tyle innych zamordowanych rodzin. Nic nie będzie już takie jak dawniej.

Rozdział 155

Obudziłem się wczesnym rankiem. Ktoś wchodził do domu!

Słyszałem, że to kilka osób.

Zerwałem się z kanapy. Usiłowałem błyskawicznie zebrać myśli i ustalić, w jaki sposób czym prędzej dotrzeć do pokoju, w którym miałem broń. Wtedy do salonu wpadli dwaj mężczyźni!

Byłem zaskoczony — nie: zszokowany — gdy zobaczyłem, że to Steven Millard i Merrill Snyder z CIA. Pierwszy odezwał się Millard.

— Detektywie Cross, nie wiedzieliśmy, że pan tu jest.

Właśnie...

Do salonu wszedł ktoś jeszcze. Staął za Millardem i Snyderem. O Boże, to Ali!

Wyglądał na całego i zdrowego.

To niewiarygodne — bezpieczny, żywy, znowu w domu.

— Ali! — zawołałem i ruszyłem do niego. — Ali!

— Tato! Tato! — pisnął, podbiegł i rzucił mi się w wyciągnięte ramiona. Płakał i cały się trząsał.

Nie, nie — to ja płakałem i trząsałem się. Ali tylko niezwykle mocno mnie trzymał. Wciąż powtarzał:

— Tato, tato!

Nie mogłem się tego nasłuchać.

Co tu się działo? Spojrzałem na mężczyzn z CIA w poszukiwaniu odpowiedzi. Zobaczyłem, że do domu weszli również Eric Dana i mój znajomy Al Tunney.

Wtedy usłyszałem:

— Alex? Czy to ty? Jesteś tutaj?

Głos należał do Nany, ale następną osobą, która pojawiła się w salonie, była Jannie.

Biegła do mnie z wyciągniętymi rękami i ze łzami w oczach wpadła mi w ramiona.

— Och, moja ty słodka, ukochana — szepnąłem, gdy wtuliła się we mnie. — Och, Jannie, skarbie. Moja mała córeczko.

— Nic mi nie jest, wszyscy jesteśmy zdrowi — powiedziała. — Trzymali nas w jakimś pokoju. Zadawali bardzo dużo pytań. Nie wiedzieliśmy dlaczego, tatusiu. Przecież my nic nie wiemy.

— Oczywiście, że nie.

Wtedy do pokoju weszła zgarbiona Nana. Wyglądała strasznie i zarazem wspaniale. Podeszła i wszyscy czworo zaczęliśmy się tulić. Agenci CIA przyglądali się, chyba z sympatią, ale nic nie mówili.

— Nie skrzywdzili nas — powiedziała Nana. — Dzięki Bogu znów jesteśmy razem. Wszyscy bezpieczni.

W tym niewiarygodnym momencie, najbardziej emocjonalnej chwili mojego życia, to mi wystarczyło: byliśmy razem i byliśmy bezpieczni.

Rozdział 156

Dobry nastrój zburzył Steven Millard z CIA.

— Detektywie, mogę poprosić na słowo? Kiedy będzie pan gotów.

Wyszedłem z Millardem, który, jak podejrzewałem, był najwyższym rangą reprezentantem CIA w tym domu. W końcu kierował tą grupą, prawda? Przed domem parkowały cztery służbowe auta. Na chodniku stało troje agentów, mężczyzna i dwie kobiety. Ciekawe, czy wybrano je, żeby powrót do domu był dla mojej rodziny mniej stresujący.

— Gdzie oni byli? Jak ich znaleźliście? — spytałem Millarda. — Kto ich porwał?

Mężczyzna szedł wyprostowany jak struna. Doszedłem do wniosku, że zanim trafił do CIA, musiał być wojskowym. Wydawał się bardzo pewny siebie, świadom tego, kim jest i jaką tu odgrywa rolę. Więc jaką? Kim, u diabła, był Steven Millard? Czym się zajmował?

— Już mówiłem, detektywie: my jesteśmy ci dobrzy. I to wciąż prawda. Większość z nas ciężko tyra, żeby wywiązywać się z zadań i dbać o bezpieczeństwo tego kraju... Ian Flaherty był wyjątkiem. Sprzedał nas, może nawet kilka razy. Ostatnio Chińczykom. Możliwe, że takiej samej czarnej owcy jak on.

— Moja rodzina — przypomniałem Millardowi, o co pytałem.

— Obserwowaliśmy Flaherty'ego, odkąd przybył do Waszyngtonu. Proszę mi wierzyć. Zaprowadził nas do pańskiej rodziny. Nie wiem, czy zamierzali ją wypuścić. Przebywało tam kilku najemników, którzy pracowali dla Flaherty'ego. A on pracował dla Chińczyków. Pana rodziną przesłuchiowano, ale przede wszystkim miała stanowić zabezpieczenie. Flaherty bał się, że rozszyfrował go pan w Lagos.

Pokręciłem głową.

— Łapówkarstwo stało się tam sposobem na życie — powiedziałem. — Adanne Tansi wiedziała, że Chińczycy są zamieszani w handel ropą w delcie. Jak pan wie, zamordowano tam tysiące Nigeryjczyków.

— Owszem, wiemy o tym — odrzekł Millard.

— I wiedzieliście, że zbliża się wojna domowa, ale nie kiwnęliście palcem, żeby jej zapobiec.

— Nic nie mogliśmy zrobić. Nie potrzeba nam drugiego Iraku, prawda?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

— Gdzie jest teraz Flaherty?

— Mamy go — odpowiedział z kamienną twarzą. — Właśnie go przesłuchujemy. W końcu zaczniesz gadać. Wiemy, że pracował dla niego Sowande, czyli pański Tygrys.

— To wszystko, co pan mi może powiedzieć!

Millard pokręcił głową.

— Nie. Powiem panu coś jeszcze: proszę wracać do rodziny, detektywie. Oni są wyjątkowi. Zbyt długo ich pan nie widział.

Kiwnąłem głową. Nie zamierzał odsłonić kart, więc nie mieliśmy już o czym rozmawiać. Obróciłem się i ruszyłem w stronę domu.

W jednym miał rację: moja rodzina była wyjątkowa.

Czekała na mnie na werandzie. Gdy się zbliżałem, podjechał kolejny ciemny sedan. Wysiadł z niego Damon. Spojrzał w moją stronę i na wpół pomachał, na wpół zasalutował.

Lecz zaraz potem rzucił się biegiem i ja również.

Rodzina Crossów znów była razem. Może tylko to się liczyło.

Epilog

Ostatni z tych dobrych

Rozdział 157

Nie mogłem pozwolić, żeby to się tak skończyło — to po prostu nie w moim stylu. Pewnej nocy, kilka tygodni później, nieco po trzeciej nad ranem przybyłem do domu w Great Falls w stanie Wirginia. Co ciekawe, choć nader upiorne, kilka dni wcześniej zadzwonił do mnie psychopata Kyle Craig. Opanowany jak zawsze oświadczył mi, że cieszy się, iż odzyskałem rodzinę, po czym odłożył słuchawkę, zanim zdążyłem się odezwać.

W skupieniu podszedłem do drzwi frontowych obsesyjnie zadbanego domu kolonialnego z czerwonej cegły. Kilka razy zadzwoniłem i czekałem. Spojrzałem na zegarek: trzecia jedenaście. Po kilku minutach włączyło się światło na ganku. Następnie powoli otworzyły się drzwi.

Steven Millard z CIA stał na progu w granatowym szlafroku frotte. Miał gołe nogi i stopy. Bez garnituru i krawata nie wyglądał już tak imponująco. Z góry dobiegł kobiecy głos:

— Steve, czy wszystko w porządku?

— Śpij dalej, Emmo. Przyszedł ktoś z pracy — odpowiedział. Następnie jego wzrok spoczął na mnie. — Czego pan tutaj chce o trzeciej nad ranem, detektywie? Oby to było coś ważnego.

— Może mnie pan zaprosi do środka, to wszystko panu opowiem. Nie pogardziłbym kawą. Panu też się przyda.

Rozdział 158

Weszliśmy do domu i usiedliśmy w kuchni, która wyglądała na świeżo umeblowaną. Millard nie podał kawy ani żadnego innego napoju, więc zacząłem wyjaśniać, dlaczego w środku nocy wybrałem się do Wirginii.

— Zanim wyjechałem do Afryki, spędziłem trochę czasu w domu Ellie Cox. Pańscy ludzie odwalili tam kawał dobrej roboty. Oczywiście znalazłem część jej manuskryptu, a nawet trochę notatek, które zrobiła w Nigerii. Wszystko zdawało się w porządku. Nic obciążającego.

Millard słuchał cierpliwie, kiwał głową i czekał na puentę.

Przez chwilę mu się przyglądałem i rozmyślałem o idei „tych do-brych”. Czy jeszcze w ogóle ktoś taki został? Sądziłem, że tak. Na to w każdym razie liczyłem.

— I dlatego pan tu przyjechał? Żeby mi powiedzieć, że wszystko w porządku? — odezwał się znów Millard.

— Zdawało się w porządku — poprawiłem. — Dokładnie tak, jak powinno. Ale w zeszłym tygodniu wróciłem do domu Coxów. Minęło dość czasu, bym znów mógł się stać prawdziwym detektywem. Porozmawiałem z redaktorem Ellie w wydawnictwie Uniwersytetu Georgetown. Nie dostał ostatniej części jej manuskryptu, co bardzo go

zdziwiło. To właśnie ten fragment, który opisywał wizytę w Nigerii.

— Może nie zdążyła go napisać — zasugerował Millard. — To by miało sens, prawda? Może właśnie dlatego została zamordowana.

— Może i tak. Ale w takim razie co bym tutaj robił o trzeciej nad ranem, skoro mógłbym spać we własnym łóżku?

Millard zmarszczył czoło. Zaczynał okazywać irytację i wcale mu się nie dziwiłem.

— Może dlatego, że nigdy nie podziękował mi pan należycie za odnalezienie pańskiej rodziny? Nie ma za co. A teraz może pan wracać do domu. Już.

Wtedy go uderzyłem. Mocny cios prawą ręką poderwał go z krzesła i rzucił na sosnową podłogę. Z nosa poleciała mu krew, ale nie zemdlał. Widziałem, że jest jednak oszołomiony. Dłońmi szukał punktu oparcia.

— Dziękuję, że sam ją najpierw porwałś — powiedziałem. — Ellie miała maszynistkę, która przepisywała jej manuskrypty. Mieszka w Waszyngtonie, nazywa się Barbara Groszewski. Dowiedziałem się o niej z comiesięcznych rachunków Ellie. Dobra wiadomość, a przy okazji przyczyna mojej wizyty jest taka, że Groszewski miała ostatnią część manuskryptu Ellie, opisującą podróż do Lagos i spotkanie z Adanne Tansi. Kilka razy pojawia się tam nazwisko Iana Flaherty'ego. Twoje też, Millard. Adanne wiedziała, co knujecie. To właśnie ty zorganizowałeś spotkania z Chińczykami w sprawie ropy. Ty brałeś od nich łapówki. I ty zatrudniłeś Sowande, czyli Tygrysa. Jesteś aresztowany, Millard, a CIA cię nie ochroni. Już cię nam przekazała. Może rzeczywiście zostało na świecie jeszcze paru „tych dobrych”.

Millard, o dziwo, się uśmiechnął.

— Manuskrypt? Właściwie fragment? Autorskie notatki! Nic na mnie nie macie.

— Chyba jednak mamy — odparłem. — Nawet na pewno.

Otworzyłem drzwi kuchenne i wpuściłem do domu kilku agentów FBI, w tym mojego kumpla Neda Mahoneya. To z pewnością byli ci dobrzy.

Zwróciłem się znów do Millarda:

— Aha, nie powiedziałem jeszcze najlepszego. I najważniejszego. Otóż znaleźliśmy Iana Flaherty'ego. Kłamałeś, że go zatrzymaliście. To my go teraz mamy. I zaczął śpiewać. Dlatego cię teraz aresztuję. To twój koniec, Millard. Popełniłeś wielki błąd.

— Niby jaki? — spytał w końcu.

Teraz to ja się uśmiechnąłem.

— Powinieneś był mnie zabić, gdy miałeś okazję. Jestem bardzo wytrwały. I nigdy się nie poddaję.

Tako rzecze Pogromca Smoków.

Okolo piątej rano, gdy jechałem do domu, zadzwonił telefon. Podniosłem go z fotela obok i odebrałem.

Usłyszałem głos, którego nie chciałem usłyszeć nigdy, ale szczególnie teraz.

— Cholernie mi imponujesz, Alex. Jestem z ciebie strasznie dumny — powiedział Kyle Craig. — Może mi nie uwierzysz, ale byłem z tobą w domu Millarda. Chyba też jestem wyjątkowy. I też nigdy się nie poddaję.

Po tych słowach Kyle się rozłączył.

Jak zwykle nikt nie był równie przerażający jak on.

Alex Cross siada z nami na kanapie, by odpowiedzieć na kilka palących pytań

W jaki sposób pańskie dzieciństwo wpłynęło na wybór ścieżki kariery?

Już w dzieciństwie musiałem być twardy. Moi rodzice odeszli z tego świata, gdy byłem bardzo młody — ojciec był alkoholikiem, a matka zmarła na raka płuc, kiedy miałem dziewięć lat. Zostałem wysłany do Waszyngtonu i zamieszkałem z babcią, Naną. Miałem szczęście, że wychowałem się w dobrym domu, ale już niniejsze szczęście, jeśli chodzi o okolicę, w której zamieszkałem. Dlatego od młodości surowo spoglądałem na życie. Wcześniej nauczyłem się sam sobie radzić, no i chyba wykształciłem w sobie hart ducha i wolę walki.

Gdzie pan studiował? Na jakim kierunku?

Studiowałem psychologię. Zrobiłem doktorat na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore. Przez jakiś czas prowadziłem prywatny gabinet psychologiczny. Czasem wciąż przyjmuję pacjentów i jest to bardzo satysfakcjonująca praca.

Co sprawiło, że przyszedł pan do policji?

Byłem rozczarowany rozpolitykowaniem społeczności medycznej i zrozumiałem, że mogę wiele zrobić dla mojej okolicy. Że mogę

walczyć z przestępczością na ulicach. Lubię praktyczne działanie. Odszedłem z FBI, żeby otworzyć prywatny gabinet. Po jakimś czasie okazało się, że nie potrafię się nie angażować, więc wróciłem do waszyngtońskiej policji jako konsultant. Wciąż czuję ten głód. Chcę brać sprawy w swoje ręce i nie spocznę, póki nie doprowadzę śledztwa do końca. Jestem Pogromcą Smoków.

Czy sądzi pan, że wykształcenie psychologa pomogło panu w pracy policjanta?

Oczywiście. Moim głównym zadaniem jest opracowywanie portretów psychologicznych przestępców. Potrafię przeniknąć umysł nawet najbardziej zwyrodniałego mordercy. Bywa to przerażające, czasem wydaje się, że ci ludzie są zdolni do rzeczy niewytłumaczalnych. Jednakże jeśli zajrzeć dostatecznie głęboko, zwykle można zrozumieć, co ich napędza, jak działa ich umysł i dlaczego chcą popełniać tak straszne zbrodnie. Wtedy pozostaje mieć nadzieję, że uda się wyciągnąć te wnioski, zanim zbrodniarze wyrządzą zbyt wiele krzywdy.

Proszę nam opowiedzieć o swym pierwszym śledztwie.

Pierwsze śledztwo, które naprawdę głęboko przeżyłem, miało kryptonim „W sieci pająka”. Ten facet, Gary Soneji, miał manię kontrolowania. Był skrajnym sadystą i przez jakiś czas nieźle z nami pogrywał. Cierpiał na schizofrenię i dotarcie do jego drugiej osobowości okazało się trudnym zadaniem. Nawet gdy wreszcie rozgryzłem sprawę i wsadziłem go za kratki, wspomnienie dręczyło mnie jeszcze przez lata.

Czy to najstraszniejszy przestępca, z jakim się pan zetknął?

No cóż, na pewno jeden z najgorszych, ale było też kilku innych. Najbardziej przerażający był chyba Tygrys. Jego brutalność nie miała granic, a co gorsza, kontrolował cały gang młodych chłopców. Potrafił

znaleźć osoby wyzbyte jakiegokolwiek nadziei i zwerbować je, by walczyły dla niego. Osoby, które poświęcały życie, by zyskać jego szacunek. To straszne nadużycie władzy. Moim wielkim wrogiem jest też Supermózg. Oczywiście z czasem okazało się, że to ktoś bliższy, niż sądziłem.

Co pan czuł po zamknięciu swego pierwszego śledztwa? Jak to pana zmieniło?

Duże śledztwo w sprawie morderstwa całkowicie człowieka pochłania. Żeby złożyć wszystkie fragmenty układanki, wykonać robotę i postąpić właściwie, potrzebne jest całkowite poświęcenie. Prędko się nauczyłem, że nie zawsze można grać według reguł. Trzeba działać za wszelką cenę. Gdy rozwiąże się jedną sprawę, natychmiast przechodzi się do następnej, a czasem trzeba sobie radzić z kilkoma jednocześnie. To wymagająca praca, ale należy prędko się podnieść i walczyć dalej. Staram się znajdować czas dla najbliższych — potrzebuję ich miłości i wsparcia.

Proszę nam opowiedzieć o swojej rodzinie.

Mam troje dzieci: Damona, Jannie i Alexa juniora. To świetne dzieciaki, szybko rosną i są takie mądre. Dzięki nim twardo stąпам po ziemi i jeszcze nie zwariowałem. Matka Damona i Jannie, moja żona Maria, zginęła, gdy byli mali, a mama Alexa mieszka w Seattle. Nie potrafiła sobie radzić z moją pracą. Dlatego sam wychowuję dzieci, ale nie podobałbym temu bez Nany. Mieszkamy razem, a ona opiekuje się nimi, gdy praca wymaga, żebym wyjechał.

Co lubi pan robić w wolnych chwilach?

Mało ich mam. Kiedy nie pracuję, spędzam czas z rodziną— zbyt rzadko mam okazję. Dla odprężenia gram też na pianinie. Poza tym pomagam w jadalni dla ubogich przy kościele Świętego Antoniego.

Dla ludzi, którzy tam przychodzą, nie jestem ani psychologiem, ani detektywem. Jestem Orzechowym Ludkiem.

Jaka jest pańska okolica?

Mieszkam w slumsach Waszyngtonu. To niezbyt miły rejon, ale stałem się częścią tutejszej społeczności. To mój dom, chcę go chronić, a także moich sąsiadów. Chyba dawno mógłbym się stąd wyprowadzić, ale jakoś nie wydawało mi się to właściwe.

Pańskim partnerem w pracy jest John Sampson. Proszę nam opowiedzieć o waszej znajomości. Jak to jest pracować razem z nim?

John i ja przyjaźnimy się, odkąd mieliśmy po dziesięć lat. To nie tylko mój partner, ale i najlepszy przyjaciel. Jest ojcem chrzestnym Jannie. Bardzo dużo nas łączy. Na tego faceta zawsze mogę liczyć, a pracowaliśmy razem przy wielu trudnych sprawach. Niektórzy uważają, że razem budzimy strach. John to człowiek góra, tak na niego mówię! Czasem muszę działać sam, lecz on mnie w tym wspiera i pozwala, żebym robił to, co muszę. Ale zawsze mnie ubezpiecza, a ja zawsze będę dbał o niego. Zaryzykowałbym dla niego życie. No i nikomu innemu nie wolno do mnie mówić „cukiereczku”!

Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, z jakimi styka się pan w pracy, czy trudno panu nawiązywać z ludźmi bliski kontakt?

Czasem nie wiadomo, komu ufać. Zdarzało mi się już zbliżyć do ludzi, którzy okazywali się potem kimś innym, niż myślałem. Trudno to znieść. Nauczyłem się, by tak naprawdę ufać tylko sobie. Teraz musi minąć sporo czasu, zanim do kogoś się zbliżę. Moja praca utrudnia emocjonalne zaangażowanie. Mimo to Bree Stone jest wspaniałą kobietą, a poznaliśmy się na służbie.

Jakie to uczucie wnikać w umysł podejrzanych? Jak to jest mieć świadomość, że pańscy koledzy z pracy tego nie umieją, więc zawsze trafia pan w sam środek śledztwa?

Bywa bardzo ciężko. Umysł części przestępców to naprawdę okropne miejsce. Niektórych piekielnie trudno rozgryźć. Człowiek rozpaczliwie chce odkryć następny ruch przestępcy, by go powstrzymać, zanim wykona kolejny ruch. To chyba znaczy, że jestem uważany za klucz do zagadek kryminalnych, więc często znajduję się w sytuacjach, z którymi nikt inny wokół mnie by sobie nie poradził. Każdy w zespole ma swoje zadanie i wszyscy ciężko pracują przy każdym śledztwie. Czasem zostaję jednak wciągnięty w sam środek sprawy i wtedy nabiera ona osobistego wymiaru.

Gdyby dzieci chciały pójść w pana ślady, to zachęcałby je pan czy wręcz przeciwnie?

Jeśli zapragną takiej kariery, to będę je wspierał. Są mądre i na pewno by sobie poradziły. Jednakże człowiek nigdy nie przestaje się martwić o swoje dzieci, prawda?

Ze względu na charakter tej pracy pan i pana rodzina często znajdowaliście się w niebezpieczeństwie. Jakie to uczucie i czy kiedykolwiek rozważał pan rezygnację ze służby, by chronić najbliższych?

Rzeczywiście, to trudna sprawa. Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda. Niech Bóg czuwa nad każdym popaprańcem, który spróbuje wmieszać w to wszystko moją rodzinę. Moi najbliżsi nigdy nie powinni być zagrożeni, ale chyba niektórzy uważają ich za mój słaby punkt, dzięki któremu mogą mnie dopaść. Jednak pracowałem już nad wieloma niesamowicie trudnymi sprawami i jak dotąd nikt nie był dość silny, by mnie złamać. Jasne, niejeden mnie skrzywdził, zadał mi ogromny ból fizyczny i emocjonalny, lecz jestem silny i stoję

się coraz silniejszy. No i nikt nie dał rady Nanie, bo choć ma już osiemdziesiąt osiem lat, jest nie lada kobietą! To wszystko tylko mnie motywuje i zawsze będę bronił rodziny.

Brał pan udział w wielu trudnych śledztwach, często bardzo osobistych. Które z nich było dla pana najtrudniejsze?

Wróciłem do policji, ponieważ John miał informacje na temat faceta, który zabił Marię. Nie mogłem zrezygnować z okazji, by zmierzyć się z sukinsynem, który odebrał mi żonę. Tak wiele poświęciłem tej sprawie, że kompletnie mnie pochłonęła.

Jeśli chodzi o skalę przedsięwzięcia, to właśnie zamknąłem ogromne śledztwo. Zaczęło się od dochodzenia w sprawie śmierci mojej przyjaciółki ze studiów. Nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Przejechałem Afrykę, widziałem wiele potworności, walczyłem o życie, zostałem zdradzony, ale przetrwałem. Są rzeczy, wobec których jako policjanci jesteśmy bezsilni — na przykład los ludzi, których tam spotkałem, tamtejsza bieda i przemoc. Ale zawsze będę robił wszystko, by pomóc, jeśli to tylko możliwe.

Czy detektyw Alex Cross powiedział już ostatnie słowo?

Nie. Zawsze mogę dać z siebie jeszcze więcej. Na razie nie mam zamiaru się poddawać. Uwielbiam swoją pracę — zarówno robotę w policji, jak i spotkania z pacjentami. Nigdy z tego nie zrezygnuję.

Spis treści

Prolog

Wtargnięcie 7

Część pierwsza

Spóźniony 15

Część druga

Znak krzyża..... 85

Część trzecia

Obóz 203

Część czwarta

Znowu w domu303

Epilog

Ostatni z tych dobrych377

Alex Cross siada z nami na kanapie385